na pamiątkę
Rom. Podbereski

ROCZNIK LITERACKI.

PISMO ZBIOROWE.

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.



WILNO.

1849.

Dzieła wydane w Petersburgu, staraniem
Romualda Podbereskiego.

Rocznik Literacki, pismo zbiorowe, ozdobione drzeworytami, litograf. portretami i muzyką, 1843. ROK PIERWSZY . . r sr. 2
— — — 1844. ROK DRUGI . . . . . r. sr. 2
— — — 1846. ROK TRZECI . . . . r. sr. 2
— — — 1849. ROK CZWARTY . . . r. sr. 2

Ktoby życzył nabyć wszystkie Tomy od początku, otrzyma je (*tylko u Wydawcy*) z przesyłką za cenę . . . . r. sr. 6

Frenofagjusz i Frenolesty, powieść wyjęta z papierów nieboszczyka *Pantofla*, a ułożona przez jego kuzynkę Eleonorę Sztyrmer. Ozdobiona 30 winjetami i drzeworytami, podług rysunków *Aleksandra Kocebue*, rzniętemi przez najpierwszych Petersburskich artystów, jako to: Barona Klot'a, Deriker'a, Pólkownika Masłowa i t. d. sr. kop. 75

Miłość u Surgunta, opowiadanie humorystyczne i *życie biednego Skowronka*, przyrodo-baśń przez Ludwika Podbereskiego, oraz *życie Motylkowe*, podanę do druku przez Pannę Różę Podbereskę, z widokiem Druskienik, wiejskiego domku na Litwie; w ozdobnie litograf. okładkach, 1844 . . . . sr. kop. 75

Panorama miasta Połocka, ze strony miasteczka Ekimanji, Obywatelstwu Białoruskiemu poświęcone przez wydawcę; z natury rys. p. Alb. Minjatt'a, przerys. przez Alb. Żamett'a, odciśnięto zaś dwóma odcieniami na wielkim arkuszu w litografji Paryzkiéj Pana Paul-Petit . . . . r. sr. 1

Poezje Tadeusza Łady-Zabłockiego, z portretem Autora r. sr. 2

Wyjdą z druku po Nowym Roku:

Przygody człowieka, który przedał swój cień, fantastyczna powieść, w jednym tomie . . . . r. sr. 1

Aerolit, przez *Ludwika Podbereskiego* . . . . r. sr. 1

Krótki przegląd Dziejów W. X. Litewskiego, od początku aż do r. 1387, przez *Zegotę ONacewicza*, z dodaniem wiadomości o życiu i pracach Autora, wyjątków z jego korrespondencji, oraz urywków, które kiedykolwiek były drukowane; także Genealogji powinowactwa rodu W. X. Lit. Gedymina z najpierwszemi panującemi domami w Europie, i Genealogji domu Jagiellońskiego sr. kop. 50

Msza Święta, wierszami, z klassycznych Pisarzy Polskich wybranemi, objaśniona. Ze wstępem o duchownej poezji polskiej *) sr. kop. 50

(*Wszystkie powyższe dzieła są w druku, i ktoby je wypisywał wszystkie razem, otrzyma bez kosztów przesyłki*).

*) **Dochód przeznacza się na rzecz Dobroczynności Wileńskiéj.**


Rys: K. Rypiński.
Stanisław Moniuszko

ROCZNIK
LITERACKI.

PISMO ZBIOROWE.

ROK CZWARTY.

Z portretem St. Moniuszki i winietami Wincentego Smokowskiego.

TUDZIEŻ

z widokiem Chatki Syberyjskiéj i wnętrza świetlicy ruskiéj.

POD REDAKCJĄ

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1849.

Pozwolono drukować pod warunkiem, złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1848 r. 17 Października.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego, Radzca Kollegialny i Kawaler Jan Waszkiewicz.

JÓZEFOWI ŚNIADECKIEMU

Umiejącemu cenić pamiątki krajowe

AUTOROWI WIADOMOŚCI

O POLESIU

w dowód szacunku w hołdzie poświęca

Romuald Podbereski.

PRENUMERATOROWIE.

Ancuta Michał, Ob. Pt. Nowogródzkiego.
Antuszewicz Konstanty, Ob. Pt. Nowogródzkiego.
X. Armatowicz Tomasz, w Niżgorodzie.

Bartoszewicz Józef, Dr Med. i Chir. w Witebsku.
Bagieński Ignacy, Deput. i Ob. Gub. Wołyńskiéj.
Bieliński Ignacy.
Bieliński Teofil, Urz. Orenbursk. pogran. straży.
Bielikowicz Antoni, Ob. Pt. Połockiego.
Bielikowicz Ludwik, Marszałek.
Biliński Cyryli.
Bohomolec Ignacy, Ob. g. Witebskiéj.
Bohdanowicz Alexander, Prezydent Pt. Rosieńskiego.
Bohuszewski Alexander, Kapitan.
Bromirska Józefina.
Bromirski Konstanty.
Brunak Jan, Ob. g. Podolskiéj z okolic Baru.
Brzozowska Michalina.
Burba Klety.
Butler Laurenty, Radźca honorowy.
Budzyński Profes. Matem. w Lesnym Korpusie.
Bujnicki Kazimierz, Ob. g. Witebskiéj.
Butrymowicz Grzegorz, w Moskwie.

de Conti, Baron Edward, w Żytomirzu.
Chłopicki Jan, Por. wojsk polsko-francuskich, Ob. Pt. Rosieńskiego.
Chodźko Soter.
Chodźkowie Cezara i Dominik.
Chrapowicki Ignacy, Ob. g. Witebskiéj.
Chabrzyński Mikołaj.
Chawłowski Alexander, Geometra.
Chełstowski Kazimierz, Ob. Pt. Trockiego.
Cejzik Michał, w Orenburgu.
Ciepliński Rygobert, Ob. Pt. Słonimskiego.
Cwirko W.
Czomber Grzegorz.

Darowski Adam.
Darowski-Weryha Alexander, w *Kamieńcu Podolskim.*
Danejko Lucjan. Dr. Med. Ob. Pt. Nowogródzkiego.
Danejko Alexander, Sędzia, Ob. Pt. Nowogródzkiego.
Danilecki Albert, Prezyd. S. Ziemsk. w Grod.
Denisko Mokosiéj Ludwik, Ob. g. Podolskiéj.
Domejko Kazimierz, Ob. Pt. Nowogródzkiego.
Domaniewski, Sztab Rotmistrz półku Ks. Hessen-Kasselskiego.
Doroszkiewicz Hijob, Chorąży w Niżgorodzie.
Drozdowski Dymitr, Radźca honorowy.
Dziekoński Józef, Sędzia Pt. Grodzieńskiego.

Eynerowicz Samuel, Gubernski Wil. Lustrator.

Firs Felicja, Wice-Gubernatorowa w g. Tambowskiéj.

de Galli Edward, Dr. w Żytomierzu.
X. Galimski Ostjan, Kapelan garnizonny w Kazaniu.
Giedymin Kiejstutowicz Witold.

Giedymin Kiejstutowicz Józef, Ob. Król. Polsk.
Gołyński Cyprjan.
Gorski Władysław.
Grużewski Hippolit, Poruczn. Ob. Pt. Wiłk.

Hoppenowa Johanna, Ob. Pt. Wiłkomierskiego.
Hryniewski Adam, Ob. Pt. Nowogródzkiego.
Hryniewicz Wincenty, Ob. Pt. Nowogródzkiegn.
Hrebnicki Justyn, Marszałek.
Hrebnicki Stanisław, Marszałek.

Janczewski Marszałek Pt. Rosieńskiego.
Jankowski Karol.
Janowski Wincenty, Gubern. Sekr. Ob. g. Witeb.
Jachowicz Mikołaj, w g. Tomskiej, w Karabaku.
Jaroszyński Stanisław.
Jabołkowski Jan.
Jantkiewicz Teofil, w g. Kostromskiej.
Jastrzębski Winc. w g. Orenburskiej w *Ileckiej Zaszczycie*.
Jeleńska z Rejtanów Helena.
Jelenski Zygmuntek.
Jelski Porucz. półku Ks. Hessen-Kaselskiego.
Imbra, Junkier półku Ks. Hessen-Kasselskiego.
Irzykowicz Michał.
Jucewicz Ant. Dr. Medycyny.
Iwanowski Eustachy.
Iwanowska Felicja.

Kalinowska z Hrabiów Puttkamerów Zofja.
Karłowicz Jan, Starościc, Stud. Gym. Wil.
Karłowicz Bernard, Starosta.
Kajzer Józef, Dyrekt. domu handl. Hr. Branickich, w Kijowie.
Kaszyc Konstanty.
Kaszuba Jan, Ob. g. Mińskiej Pt. Słuckiego.
Kamocki Michał, Sekret. Lustracji.
Kirejowa Barbara.
Klukowski Rafał, Ob. Pt. Starokonstant.
Kostrowicki Staś, Ob. g. Wileńskiej.
Kostrowicki Łucjan, Ob. Pt. Lidzkiego.
Kościelski Bonawentura, Ob. g. Wołyńsk.
Kossakowska Weronika Hrabina.
Kolenda Antoni, Ob. g. Mińskiej.
Kołłupajło Wincenty, Ob. Pt. Słonimskiego.
Komarowski Józef, Sekretarz Gubernski.
Korbut Józef, Radźca honor.
Koziełłowa Kazimira.
Konopacki Szymon, Ob. Pt. Woł. Szambellan.
Kossakowski Hrabia.
Korejwa w Mińsku.
Korzeniowski Józef, Dr. Medycyny i Chirurgji.
X. Krasiński Stanisław.
Krukowski Jan, Kowieński Gub. Lustrator.
Krukowska Justyna.
Kwiatkowski Piotr, Kapit. w Niżgorodzie.
Kwiatkowski Witalis, Naucz. muzyki w Odessie.

Leduchowski Hrabia Józef.
Lewicki Alexander, Sekretarz Gubernski.
Leniszewski Wincenty, Ob. Pt. Trockiego.

Łopatecki Kajetan, żołnierz w Orenburgu.

Łazarewski Teodor, Urz. w Orenburgu.
Łyszczyński Józef Ob. g. Mohilewskiej.
Łukowicz Florjan, w *Małmyżu*, Wiackiej g.

Markowska Justyna, w okolicach Zofijówki.
Marszycki Xawery, Szambelan Dworu J. C. Mości Kurator Instyt. płci żeńskiej w Kijowie, Radźca stanu i Kawaler wielu orderów . Ex. 20
Malewski Franciszek, Dr. Med.
Mackiewicz Krzysztof, Prezyd. Pt. Święciańskiego.
Matczyńska Katarzyna.
Małyszczycki Józef, Kap. w *Arzamasie*, Niżgorodzkiej g.
Machwitz Michał, Ob. g. Kowieńskiej Pt. Nowo-Alexandr.
Maruszewski Felix, Naucz przy Gym. w Kownie . . . . . . Ex. 20
Mirski Napoleon Światopelk.
Medeksza Adam, Chorąży Artyl.
Mostowska z Hrab. Güntherów Hrabina.
Mostowski Hr. Edw. b. Gubern. Wil. Marsz.
Morawski Dr. Med. i Chir.
Mohuczy Alexander Półkownik.
Mołochowiec Jan, Kandyd. Obójga praw Petersb. Uniwers., Wileń. Powiat. Lustr. b. Profes. historji prawa w Pskowie, Koll. Ass.
X. Moszyński Ant. Rekt. Zgr. XX. Pijar. i Dziek. Piński w Lubieszowie.
Mołochowiec Franc. Gub. Architekt w Archangielsku nad morzem Białém.
Mołczanowski Mirosław, Ob. g. Podolskiej.
Mohl Franc. Hrabia.
Mohl Julja, Hrabianka, w Imbrodach.
Mudrowicz Sztab-Rotm. p. Ks. Hess. Kasselsk.

Nabiel Anna, z Pawłowiczów Rotm.
Narbutt Teodor Ob. Pt. Lidzk.
Narbutt Kamilla, Ob. P. Lidz.
Niełowicki Karol.
Nosalewski, Rotm. p. Hess. Kasselsk.

Ogińska z Hrab. Platterów, Gabrjellowa, Księżna, Ob. Pt. Trockiego.
Ogiński Ireneusz, Książe.
Odyniec Władysław, Ob. Pt. Trockiego.
Opacka Żaneta.
X. Ostapowicz Jan.
Ostromęcki, Ob. g. Grodzieńskiej.
Orwid Bolesław, Ob. Pt. Trockiego.
Oziembłowski, Jul. Naucz. Gym. Niżgorodzkiego.

Parczewska Róża, Ob. Pt Wileńskiego . . . . Ex. 6
Parczewski Antoni, Ob. g. Grodzieńskiej.
Panasewicz Romuald, Lustrator Pt. Lidz.
Padlewski w Odessie.
Paszkiewicz Józef, Geometra Pt. Wil.
Parznicki Jan, Rad. Kol. Lustrator g. Podolskiej.
Pilecki Romuald, Ob. Pt. Trockiego Sędzia Grodzki.
X. Piotrowski Kajetan, Pijar.
Pietraszkiewicz Stanisław, Komornik.
Pilecki Zenon, Sztab-Lekarz.
Pietraszkiewicz Adam, Rewizor Dóbr Skarb.
Pizani Porucz. p. Huzars. Ks. Hess. Kasselsk.
Piłsudzka Antonina.
Pietkiewicz Jerzy.
Piottuch-Kublicki Ign.
Pleśniewicz Józef, Koll. Sekretarz.
Platterowa Hrabina w Nidokach.

Pluta Konstanty, Ob. Pt. Białost.
Podbereski Michaś.
Podbereska Marja z Foglów.
Pomarnacki Juljan, Ob. Pt. Wilk.
Pokrowska Natalja.
Popow Alexander, Radźca honor. Lustrator g. Mińskiej . Ex. 5
Postempski Hieronim.
Pruszyńska Emilja, Marszałkowa.
Pruszyńska Olga, Marszałkówna.
Pruszyńska Aniela, Ob. Pt. Ostrog.
Pruszyński Dyonizy, Stud. Liceum Ryszeljewskiego w Odessie.
Pruszyński Romuald, Ucz. Gymn. w Żytomirzu.
Przygocki Jan, Kand. Filozofji Paryskiego Uniwersytetu.
Przyłuski Jan Nepom. Mar. Pt. Lip.
Przeciszewski Adolf, Mar. Pt. Ros.
Przesmycki Jan, Marszałek Brac.
Pudzemski Michal, Urz. Pogr. straży w Orenburgo.
Puchalska Nepomucena.
Pusłowski Fran. Wileń. Gub. Mar.

Rabsztyński Dominik, Ob. g. Pod.
Rauba Kazimierz Sztab-Lekarz.
Raciborowski Stanisław.
Rakowski.
Richter, (b. Wyd. Wiad. Bruk.)|
Reutt Winc. Gozdawa, b. Marsza- Pt. Połockiego.
Remiszewski, Por. Art. w Oren.
Römerowa z Burbów Aniela.
Rodziewicz Ludwik Sekr. Ks. Witg.
Roszkowski Juljan.
Rokosz Felicjan, Kandydat Filoz.
Rościszewski Adolf.
Rożański Por. puł. Ks. Hes. Kassel.
Rudkowski Stefan, Urz. w Orenb.

Sakowicz Eugeniusz, Lustr. g. Grod.
Sakowiczowa.
Sajewicz Maciej.
Sarnecki Józef, Sztab-Rotmistrz od Huzar. puł. Ks. Hessen Kassel.
Siekłucka Józefa, Ob. Pt. Lidz.
Siedlecki Franciszek Sal. Porucz.
Smorczewski Józef, Ob. g. Wołyń.
Sokołowski Tomasz.
Sokołowicz August, Sędzia.
Ślizień Rafał, Ob. Pt. Nowogródz.
Sołtan, Por. p. Huz. Ks. Hes. Kas.
Spasowski Stanisław, w Kazaniu.
Staniewicz Felix, Ob. Pt. Rossień.
Stankowicz Jan.
Szczytt Justynian, Ob. g. Witeb.
Sztejn Erazm.

Symonolewicz Dominik, Rotmistrz.
Szczyrzecki Aug. Major, Niżg. g.
Szczuka Wincenty.
Szumkowska Anna, Ob. g. Kowień. Pt. Trockiego.
Szyłejko Konstantyn, Radźca Dworu.
Szyłejko Adolf.
Szymański Seweryn, Chor. Artyl.
Szaniawski Kasp., Dr. M. w Tobol. g.
Strutyński Hrabia Felix.
Strutyński Hrabia Juljusz.
Suchej Jan, Dr. Med.
Świątkowska Izabella, w ok. Tulczyn.
Sklimo Samujło, Ob. Pt. Orsz.

Turkull Ignacy, Członek Rady Państ. Minister, Sekr. Stanu Król. Pol.
Tańska z Białłozorów.
Tarkowski, Podpółk. Huzar. Ks. Hessen-Kasselskiego.
Tarasewicz Rajmund.
Towarnicki Tomasz.
Tyszkiewiczowa Hrabina.
Tyszkiewiczówna Marja, Hrabianka.
Tubanowski Konst. Ob. Pt. Nowogr.
Turski Ksawery, Ob. Pt. Lidzkiego.
Turski Benedykt.

Ururg Hrabia.
Urazowa Felicja.
Urbanowicz Jan, Weteryn. w Mirze.

X. Warchowski Józef, Kan. Łucki Prob. Przewulski.
Wańkowicz Zygmunt . . Ex. 5
Wańkowicz Piotr, w Orenburgu.
Wereszczakowa Helena, Prezydent.
Wereszczaka Stefuś, Ob. Pt. Nowogr.
Węgrzynowski Arkad. w Orenburgu.
Wierzbicki Waler., Prez. Sądu Tyfl.
Wisznicki Erazm, Urz. w Minister. dóbr Państwa.
Wilamowski Michał.
Wieliczko Bolesław.
Wieliczko Aurora.
Wolfgang Ksawery, Dr. Med. i Chir.
Wołkowicki Marszałek.

Zapolski.
Zaszczyński Michał.
Zabiełło Helena.
Zabiełło Józef, Hrabia.
Zalewski Zenon.
Zienkiewicz Julian, w Orenburgu.
Zwierowicz Adolf, Ob. Pt. Wołk.

Żyliński Jan, Półkownik.
Żukowski Stefan, Adwokat, Ob. Pt. Włodzimierskiego.

PÓŹNIEJSZA LISTA.

Bezobrazów Jan, Marsz. Pt. Kowrowskiego, g. Włodzimierskiéj.
Błoszczyński Florjan Dr. Radź. Hon.
Brawiński, Strabczy Gub. w *Ufie*.
Fiłatow Anna, Majorowa, g. Niżegor.
Iwanowski Eust. Ob. g. Podol. Ex. 5
Iwanowska z Zaleskich Felicja, Ob. g. Kijowskiéj.
Jentkiewicz Teofil, Porucz. w gub. Tambowskiéj.
Jentkiewicz Wład. Rotm. g. Niżgor.
Kasperowicz Henryk, Porucz. Inżyn. w *Bałachnie*, g. Niżegorodzkiéj.
Kasperowicz Wiktoryn, Niżgor. g.
Korzeniewski Ign. Reg. Ob. g. Wol.
Koprowski Józ. Ob. g. Wołyń.
Korejwa M. w Mińsku.
Kossakowski.
Kulwieć Piotr, b. Sędzia Ziem. Kow.
Łukaszewicz Jakób.
Łukaszewicz Bolesław, Kol. Registr.
Małyński Michał, Ob. g. Woł.
Malecki Karol, Ob. Pt. Wiłkomier.
Matczyński Józef, Ob. g. Woł.
Nowodworski Jan, Doktor.
Osiecimski Rudolf, Gub. Sekret.
Ossowski Marcellin Józef, b. Ass. Pt. Ihumeńskiego.
Plewiński Stefan, w *Woronežu*.
Strokowski Radźca St. Prez. Izby Skarb. w *Ufie*, g. Orenburskiéj.
Sokolnicki Wincenty, Ob. g. Wol.
Szubin Michał, Porucz. Gwardji.
Szymkowska z Sosnowskich Helena, b. Gubern. Wil. Sędzina, Major. Ob. Pt. Kowieńskiego.
Slewiński Józef, Ob. g. Woł.
Trzebiński Adolf, Ob. g. Woł.
Wolski Stanisław, we *Włodzimierzu nad Klazmą*.
Żabicki Urzędn. do osóbn. porucz. w *Ufie*, g. Orenb.

PODZIĘKOWANIE OD REDAKCJI.

Za wyrozumiałość, gorliwość, bezinteressowność i najszczérsze chęci podtrzymania tego pisma, Redakcja składa publicznie podziękowanie Szanownym PP. Kollektoróm: JW. *Xaweremu Marszyckiemu*, Szambellanowi i Kuratorowi Inst. płci żeńskiéj w Kijowie, P. *Alex. Weryha-Darowskiemu* w Kamieńcu-Podolskim, P. *Franc. Salezemu Siedleckiemu* Por. i Rządcy dóbr Hr. Potockich w Ihumeniu, P. *Erazmowi Wisznickiemu* Urzędn. w Min. Dóbr Pańs. w Peterzburgu, P. *Winc. Reuttowi Gozdawie*, b. Marsz. Pt. Połockiego, P. *Antoninie z Mołochowców Karłowiczowéj*, Ob. Pt. Lidzk. P. *Janowi Mołochowcowi*, Lustr. Pt. Trock. P. *Romualdowi Panasewiczowi*, Lustr. Pt. Lidzkiego, P. *Józefowi Bartoszewiczowi* Dokt. Med. i Chir. w Witebsku, P. *Felix. Maruszewskiemu* w Kownie, P. *Arkad. Węgrzynowskiemu* w Orenburgu, P. *Leonowi Janiszewskiemu* w Tyflisie, P. *Teofilowi Jentkiewiczowi* w Tambowie, P. *Tomaszowi Sokołowskiemu* w Łuckim pow. P. *Ant. Pruszyńskiemu*, Marszałkowi,— w okol. Berdyczowa, P. *Mirosławowi Mołczanowskiemu*, Ob. g. Woł. X. *Ant. Moszyńskiemu* w Lubieszowie, X. *Ign. Bąkowskiemu* w Bielsku, i t. d., i t. d.

PÓŹNIEJSZA LISTA.

[illegible]

PODZIĘKOWANIE OD REDAKCJI.

Za wymienioną, gorliwą, [illegible] i najszczersze chęci poświęcenia tego pisma, Redakcja składa publicznie podziękowanie Szanownym PP. Kollektorom: JW. [illegible] Wierzejewskiemu, Szambelanowi i Kawalerowi [illegible] w Kijowie, JP. [illegible] w Kamieńcu-Podolskim, P. [illegible] i Rządcy dóbr Hr. Potockich w [illegible], P. [illegible] w Min. [illegible] w Petersburgu, P. [illegible] [illegible] w Warsz. [illegible], P. [illegible] Mechanikowi, [illegible] Lustr. [illegible] P. [illegible] Lustr. Pr. [illegible], P. [illegible] Med. i Chir. w [illegible] w Kownie, P. [illegible] w [illegible], P. [illegible] w Tylżycie, P. [illegible] w Tarnowie, P. [illegible] w [illegible], P. [illegible] w okr. Berdyczowa, P. [illegible] [illegible] Ks. [illegible] w [illegible], [illegible] w Biel-sku, [illegible]

„W zawodzie pisarskim nic mi tyle nie pochlebiało, jak oburzenie się na moje pisma ludzi, których i stopniem ukształcenia i sposobem myślenia, pogardzałem. Jestto uczucie tak błogie, iż tylko pochwały ludzi, których się szanuje, im sprostać mogą.... Wyznaję, że nic mię tyle nie martwi, jak pochwały głupców. *Vituperia stultorum laus est.*"

PRZY wydaniu IV Tomu *Rocznika literackiego*, musi też coś Wydawca od siebie powiedzieć. Choć między Bogiem a prawdą, co tu pisać?—Oto macie książkę—podoba się, czytajcie, nie!—rzućcie,—miejcie tylko przynajmniej to uczucie słuszności i zachowajcie tę przyzwoitość, aby nie ganić ją z widoków lub powodów osobistości. Wszystkie zarzuty dotąd spotykające *Rocznik*, pochodziły ze złéj woli piszącéj spółbraci, co wcale jest nie pięknie: kto brał książkę do ręki wiedział, że wydawca robił co mógł ze swego położenia i ze swéj miejscowości. Jeżeli nie wydobył z mozgu tych, których wezwał do swéj kollaboracji genjalnych pomysłów, to też nie jego wina!... On ofiarował białe kartki swéj książki: »Oto piszcie!—wołał do młodzieży, a dzieła wasze przejdą do potomności za pośrednictwem oto tych pięknych liter, co jak perły sypią się na papier, w jednéj z najlepszych typografij stolicy..." Oto w czém była cała jego zasługa! Swoją zaś grzeczność i zaprzanie się miłości autorskiéj do tego stopnia posunął, że dając miejsce ze stron obcych przyby-

szóm, własne swe imie albo do *szarego końca* swej książki cofał, albo w postronnych pismach drukował. Oto jest niewyjaśniona strona czteroletniéj exystencji *Rocznika* prawie bez udziału w nim autorskiego samego wydawcy! Zbywszy się nareście autorytetów, które go tak ciężko, oderwanemi i bez związku z czémkolwiek ułomkami przywalały, postanowił sam rozwinąć samodzielniejszą redakcję, opierając się więcéj na własnych siłach i pomocy ograniczonéj liczby, l cz pełnych zapału do nauki, spółpracowników.

Silną dzwignią dotąd, jak mogli zauważać czytelnicy, znajdował on w pełnéj życia i zapału młodzieży Kaukaskiéj, co jedną ręką rąbiąc wrogów, drugą w wolnych chwilach imała się pióra, i na pobojowisku zapisując wrażenia swej poetyckiéj duszy, tworzyła sympatyczny łańcuch, łączący ją z oddaloną rodziną. Takim sposobem publiczność poznała ś. p. ***Tadeusza-Ładę Zabłockiego***, ś. p. ***Władysława Strzelnickiego***, wkrótce pozna P. ***Leona Janiszewskiego*** i wielu innych. Prace ich, jakkolwiek dorywcze, zawsze miały na celu pożytek strony z któréj wyszli, a książka moja była dla nich niejakim rodzajem pocieszenia Chrześcijańskiego w tęsknocie ich po rodzinie. To już jedno uczucie, było dla mnie wynagrodzeniem, i dawało siły iść daléj do celu, nie zważając na niedołężne kąsania much krytykujących.

Prócz wymienionych wyżéj, obudziło się tam wielu innych: ale najlepszy obraz prac i zajęć naszych rodaków na Kaukazie, da następny wyjątek z listu ś. p. T. Ł. Zabłockiego w r. 1843 z Tyflisu 10 Czerwca do mnie pisanego, który tu w odsyłaczu załączam *).

---

*) »Nie uwierzysz, jaką uczułem radość, gdy po ośmiomiesięcznym tułaniu się po lewém skrzydle Kaukazu, wróciwszy pozawczoraj do Tyflisu, zastałem drogie pismo twoje od d. 1 Sierp. Wyrazy szczerego spółczucia, jakiemi nacechowałeś odezwę swoją, zniewalają mię do zarzucenia płonnych form światowego ugrzecznienia w stosunkach naszych i do uściśnienia cię nawzajem po bratersku. Racz przyjąć najszczersze dzięki w imieniu wszystkich tu ziomków, za te kilka słów pociechy, któreś wlał w serca przepełnione goryczą.....
...... Dotychczas spotykane niepowodzenie w zawodzie nauko-

Z tego listu widzą czytelnicy, iż moja książka nie była martwą związką papieru, dorzuconą do massy bezużytecznych stosów; obudziła ona żywe sympatje w młodzieży, podobno więcej mającej zasługi w obliczu kraju, niż owa fanfaronada Warszawska,

---

wym, odstręczało mię od pracy... Gdyby *Ignacy Ciechanowiecki*, wydał w Lipsku, jak miał zamiar, te proby, co w r. 1836, prawie gwałtem zabrał u mnie i nawet zebrał na nie prenumeratę na Białéj-Rusi, — jużbym dotąd zyskał imie w ojczystéj literaturze, i zostawiłbym po sobie daleko lepszą pamiątkę. Byłem bowiem dobrze przygotowany i miałem w duszy tyle zapału, tyle chęci! — A teraz zawód się mój już skończył. Rozszerzenie się serca (*aneurisma*), skutek pięcioletniego oderwania się od swoich, — któremu uległem i gwałtowny ból piersi, przeszkadzają mi zająć się czemś ważniejszém. Ani podróże po Kaukazie, pod czas których zapomniałem o wszystkich książkach, ani starania moich przyjaciół medyków, nie przyniosły najmniejszéj ulgi. Pomimo najostrożniejszego życia które teraz prowadzę, bardzo wątpię abym mógł długo zatrzymać w zwątlonem nieszczęściami ciele, wydzierającego się zeń ducha. I dla tego to tak się starałem, aby przed śmiercią widzieć cokolwiek ze swoich probek w druku. — Przekonany jestem że moja poezja, nie jest poezją. Przy innych okolicznościach, zapewna nie zostawiłbym po sobie żadnego wiersza. Namiętnie lubiłem filologją słowiańską, oddawałem się jéj kiedyś z zapałem i od rannéj młodości zgromadzałem materjały do napisania *Historji cywilizacji i literatury Słowiańskich ludów*. Większa część tych materjałów u Ciechanowieckiego, o które ty, jako mój przyszły wydawca, upomnieć się masz prawo... Lecz po tak okropném zwichnięciu mojego losu, nie miałem najmniejszych środków do urzeczywistnienia; jednéj myśli mojego życia. W nudach długiego odosobnienia, w ciągłem tułactwie po świecie, oddałem się poezji, bo tylko jedna kraina wyobraźni, nie była jeszcze przedemną zamkniętą. Nie przywiązując więc najmniejszéj ceny do moich próbek, uważam je tylko jako grosz wdowi, rzucony na ołtarz krajowego piśmiennictwa, i jako taki wolałbym gdyby poszedł w obieg, niż gdyby się zatracił w ukryciu.

Zaproszony do uczęstnictwa w *Roczniku Literackim* posyłam kilkanaście wierszy swoich i Strzelnickiego, które jeszcze w r. 1839, były posłane do Redakcji *Tygodnika Petersburskiego*, ale osobliwszym obyczajem téj gazety, nie były ani wydrukowane, ani zwró-

co pisała paszkwile na moją publikacją. Tem boleśniéj mi było widzieć zapoznanie mojego celu w stronie, od któréj raczéj zachęty, niż nagany, spodziewać się miałem prawo...

Wszakże nie należąc do rzędu ludzi upadających pod pier-

---

cone. Strzelnicki przed kilką miesiącami był w Tyflisie i czytał w niektórych domach nową napisaną przez siebie powieść p. t. *Mahmudek*, którą miał posłać do Warszawy. Poemat *Rej-Bułat* już skończył.... *Onufry Pietraszkiewicz*, autor *Dwóch Olbrzymów*, w ostatniéj wyprawie w góry, raniony był w brzuch kulą, która się tam została. Cierpienia konwulsyjne, jakich od tego zaczął doświadczać, spowodowały go udać się do *Piatihorska*, do wód mineralnych, gdzie zostaje dotąd, a ztamtąd, jeżeli wyżyje, ma udać się do kraju, bo już otrzymał uwolnienie... *Leon Janiszewski* ogłosił w Warszawie *Barkarolę*, wyjątek z poematu i swój przekład *Cyganów Puszkina*, o którym tak się chlubnie odezwał P. *Michał Grabowski* w Tygodniku. Dwa zaś tomy poezji, które miał drukować w Wilnie—nie wyszły, z powodów od niego nie zależących... Szczególnie poemat dramatyczny *Dwa Dni*, uderza oryginalnością pomysłu i głębokością uczuć i myśli. Teraz pisze *Obrazy* i *Wrażenia z podróży na Kaukaz*, które będą wyższe od *Marlińskiego*, a témbardziéj od *Wojc. Potockiego*. Zakomunikuje ci muzykę do *Barkarolli* i do jednéj z moich piosnek, tudzież wiadomość o swoich kompozycjach muzycznych. *Michał Andrzejkowicz* ciągle pracuje nad *Opisaniem Kaukazu*, pod względem historycznym, etnograficznym, statystycznym i t. d. Wyjątek z tego dzieła, pełnego niemieckiéj erudycji, odesłał Kraszewskiemu do *Atenaeum*. Teraz pisze *Szkice Kaukazu*, w których historja, etnografja, archeologja, będą podrzędną rzeczą, i wyda je pod imieniem *Butowta*. *Hugo Korsak*, młody chłopiec, pisze powieść z podań Gruzji, pod tytułem: *Kikoli*. Będzie to obraz zwyczajów, obyczajów, przesądów i charakterów mieszkańców tego kraju. Wyjątki, które mi czytał, odznaczają się trafnością postrzeżeń. *Jan Wierzbicki* przegląda Kaukaz pod względem medycyny i Historji Naturalnéj, i rezultata swoich badań przygotowywa do druku. *Konstanty Zach*, obeznawszy się z tutejszemi językami, śledzi podań i tłumaczy gminne piosnki *Tatarów Zakaukaskich* i Persów.

Oto są główniejsze prace, którym się oddają ziomkowie nasi na Kaukazie. Pomijąm innych którzy się zajmują tłumaczeniem powie-

wszym powiewem przeciwnego wiatru, wierny raz przyjętéj zasadzie, nie wdawania się w rosprawy, a tylko *sumiennego, sprawiedliwego działania, w raz obraném przez siebie kółku*, dotąd odpowiadał wydawca wzgardliwém milczeniem, trzymając

ści Marlińskiego lub nowszych franc. romansów, bo te podejmują więcéj dla ukształcenia się w języku, niż dla innych celów.

W przeszłym roku straciliśmy *Stanisława Winnickiego*. Młody ten chłopiec wielkich nadziei, umarł z gorączki w fortecy *Groźnéj*. Poemat jego *Artem Popowicz*, którego początek ogłoszony był w piérwszéj, zda się, części *Rusałki*, już był skończony, lecz przy jego śmierci nikogo z ziomków naszych nie było, i poemat ten gdzieś się zawieruszył. Ostatnią jego poezję posyłam do Rocznika; jest to ostatni oddźwięk lutni, tak zawcześnie rozbitéj, tak pełnéj dźwięków i myśli. Ułomek *Kaf-Kaz* miał być początkiem poematu; napisał go autor na dwa dni przed śmiercią.

Literatura nasza zaczyna interessować i tutejszych mieszkańców. Książe *Erystawi* przełożył na język gruzyjski *Sonety Krymskie* M. i improwizacją jego zaczynającą się od słowa: *Samotność*, a Książe *Tumanawi* jedną z moich poezij p. t. *Alazańska dolina*. Jeżeli mi zdrowie pozwoli, dokończę mój *Rzut oka na piśmiennictwo Gruzyjskie*, nad którem pracowałem uprzednio.

Ale przy tém wszystkiém, pomimo najlepszych chęci i usposobień, wszystkim nam prawie brakuje nie tylko materjalnych pomocy, lecz nawet czasu i zdrowia. Skorom tylko wrócił z expedycji, nie uśpiałem jeszcze się obéjrzeć, gdy mię obarczono nie wdzięczną pracą, z któréj ani sława i korzyść dla mnie, ani pożytek ogólny dla narodu może wyniknąć. Siedzę bowiem od kilku miesięcy nad tłumaczeniem na język rossyjski *Historji wschodniéj części zakaukazkiego kraju* przez Półkownika *Abbas-Kuli-Chana-Bakińskiego* napisanéj. Pracę tę wykonywam z urzędu, pod okiem samego autora, a więc sławę i korzyść odniesie sam tylko autor Abbas-Kuli. Moje imie nawetjako tłumacza nie będzie znaném. Około sześciu godzin wdobę zabijam nad tą nudną robotą, i tak mi się przykrzy, iż aby uwolnić się od niéj na czas niejaki, korzystałem przed dwóma miesiącami ze szczęśliwéj okoliczności i zwiedziłem jeszcze przez nikogo z naszych nie zwiedzaną *Armenją Wielką*. Byłem w *Erywanie*, *Nachiczywanie*, *Ordubacie*, *Eczmiadzynie* na *Araracie*, w *Irdyrze* i t. d., słowem wzdłuż po granicy Persji i

się niezachwianie w swojem przedsięwzięciu i prosto dążąc do celu. To już samo dowodzi, że miał cel wyższy, niż zaspokojenie miłości autorskiéj... Wszakże godność jego osobista wymaga, by go *niektórzy* nie uważali za zwyciężonego,—aby jednym abcugiem, swoich tak nazwanych *krytyków* i ich *krytyki*, odprawił. Były one prawie wszystkie osobiste i pochodziły z nader nieczystego źródła. Najlepszym dowodem tego, że żadna z nich nie przyniosła mu ani jednéj rady życzliwéj, która-by mogła dopomódz do ulepszenia jego pisma, i uczepiając się tylko za niedostatki, nie wskazała ani jednéj dobréj strony: były to *szpargalikowe* zaczepki, fanfaronujące *niby* z wysokiego stanowiska

---

Turcji. Wrażenia z téj podróży, zanotowane w pugillaresie, dotąd leżą *in crudo*. Oprócz czasu obecnie zajętego przez Abbas-Kuli, muszę jeszcze ze trzy lub cztery godzin zmarnować na lekcje francuskiego języka, dla utrzymania materjalnego bytu. Oto życie obecne tego, którego ty zachęcasz do życia i każesz myśleć o wpływie na dobro ogólne.

Jeżeli nie dla sławy, to przynajmniéj dla pożytku spółziomków chciałbym z ochotą i mógłbym pracować. I jedynie w ostatnim celu, jak tylko mi czas pozwoli, zajmę się przerobieniem *Historji zakaukaskiego kraju* na polski. Abbas-Kuli, aby nie narazić dla siebie potomków kilku historycznych osób, kilka faktów przemilczał lub sfałszował. Ja wiem o tém, i mógłbym w polskim tłumaczeniu sprostować te błędy. To dzieło byłoby ważném dla historji literatury naszego kraju.

Co do wydania moich poezij, nie chodzi mi o sławę, któréj znam cenę, ani o pochwały krytyków, które mię już nie mogą ani zepsuć ani poprawić,—jedyne czucie we mnie jest boleść fizyczna i moralna,—jedyna myśl—myśl o grobie nieznanym, nie sławnym, na ziemi obcéj i niegościnnéj. Większa część piosnek moich ochrzczonych gorzkiemi łzami cierpienia, wyrwała się z pod serca. Może więc w nich znajdzie się choć jedna myśl pobożna, szlachetna, wznioślejsza, co harmonizując się z duchem narodowym, zapadnie choć w jedno cnotliwsze serce; o! wtedy byłbym wynagrodzonym za całą przeszłość, z całéj duszy byłbym rad z ich ogłoszenia i wdzięczny temu, coby to na siebie przyjął."

europejskiego, a w rzeczy saméj, oparte na przewrótném dowcipkowaniu.

Takie bazgraniny są zwykle poduszczeniem drobnostkowych namiętnostek mierności i niedołęstwa, usiłujących wysunąć się z nicości: aby zeszkalowaniem cudzego imienia, swoją nicość podnieść. Są bowiem ludzie, których cała działalność mozgowa koncentruje się w podburzeniu ducha, w rozdrażnieniu w pocie czoła pracujących, — odwieczna reakcja *zła* przeciw *dobremu*, ciemnoty przeciw światłu, materji przeciw duchowi,—bo są tak mali, tak nikli sami sobą, że nie są w stanie uczucia zemsty obudzić. Nie mogąc wznieść się sami, usiłują poniżyć tych, co ich nie znają, co ich *nie drapują* w poufałych posiedzeniach. Dla takich mamy uśmiech politowania!

Przypatrzywszy się w stolicy żurnalistyce na obszerną skalę rozwijanéj, wiem dobrze, iż każdy Redaktor dziennika, ma zawsze na zawołanie, niby łowczy sforę ogarów, kilku nic nieznaczących pisarków, powiększéj części próżniaków i niedbających ani o opinią, ani o stosunki światowe, których w chwili nagłéj, gdy mu potrzeba kogo użądlić, a sam swego imienia na szwank wystawić nie chce,—spuszcza na wskazaną ofiarę. Skrycie, milczkiem, po jezuicku dosięga celu:

Nie splamia się podpisem, i krwią się nie maże,
Ale palcem ofiarę katu tylko wskaże...

Są to ludzie bez zdania i opinji, ale mają tę odrobinę dowcipku, który pomiędzy mniéj wykształconém towarzystwem, ma pewne powodzenie; wywierają oni wpływ, że się tak wyrażę, *uliczny*, w restoracjach i kawiarniach. Całem ich dążeniem, okrycie śmiesznością... dla pisarza dążącego do pewnego wyrozumowanego celu, ich uczepienie się jest wplątaniem się muchy w grzywę lwa; wszystkie ich usiłowania są tylko *drgającem kopytkiem umierającego osielka*. Publiczność ich nie zna, i zdania ich ma za nic, ale się smieje dobrodusznie, sama niepostrzegając, że próżny nabór słów bez znaczenia, dzieci tylko maleńkie mógłby zabawić.

Otoż przez jednego z takich *zoilków* zdarzyło mi się raz w życiu być *wykrytykowanym* w Tygodniku Petersburskim; — imienia jego niepamiętam, bo nikt nigdy o nim w literaturze naszéj niesłyszał—wiem tylko że trąci obczyzną. Z *krytyki* jego pozostało mi w pamięci tylko wrażenie, że gdy dziś idzie głównie o myśl, o postęp, o dążność, on się uczepiał do drobnostkowych błędów stylowych, do *puryzmu*, i te kwestje żakowskie popierał licznemi znakami wykrzykników i zapytań, które wszakże jak każdy wie dobrze, niczego nie nauczają, i do niczego nie prowadzą. Skutek to nieudolności osobistéj, mierności umysłowéj kompletnéj w *soi-disant'owym* krytyku.

Nicowanie słów jest nędzą, godną politowania: u nas, aby imponować zdaniu publiczności mało jest mieć tylko żądło; trzeba jeszcze znać się na rzeczy, mieć smak i sąd wykształcony, i udowodnić swe pretensje na sądzenie innych, *siakiemi*, *takiemi* osobistemi zasługami: tymczasem ów *krytyk*, miał wszędzie na celu więcéj osobistość wydawcy, niż jego książkę; i zamiast wykazać z pobłażaniem dobre lub złe, ze względu na czasy i miejsce, przywiązywał się tylko do osobistości, bo, — śmiem twierdzić, miał jedynie na celu zabić wydawcę i zachwiać byt jego pisma... Spełniwszy swoje posłannictwo, wylawszy swe jady zawiści, skrzętnie przez długi czas skupiane w ubogiem ukryciu; ów intruz do obcego sobie towarzystwa, chwilowa kreatura Tygodnika, skrył się znowu bez wieści w swoje ciemne antypody, zkąd bez wieści na obcy mu horyzont przyszedł.

Nie obwiniam o to wprost samego Redaktora *Tyg. Pet.* który oddawał niejednokrotnie słuszność moim usiłowaniom, śród nader trudnych okoliczności, który może dziwił się jak mógł wydawca wytrwać do końca... gdy tyle zasobniejszych przedsięwzięć błysnąwszy zrazu jak zorza północna, znikły na zawsze.... ale P. Redaktor dał swoje *tacitu consensu*... Zasługujący więcéj na uwagę, uważałbym zarzut o niejednostajności charakteru w artykułach, powszechnie pismom zbiorowym czyniony, lecz przy baczniejszém zastanowieniu się, i ten nie zdaje się być właściwym; bo jak, pro-

szę, może być głów kilkanaście, dorywczo i przygodnie zebranych, jednego przekonania, jednakowéj dążności i sposobu widzenia?... Maszyna chyba mogłaby wypełnić podobne żądanie; już same nazwanie *zbiorowe* wskazuje, że jedności kompletnéj w niem być nie może. Jedności szukać trzeba w pismach *specjalnych*, wyłącznie jakiemu przedmiotowi poświęconych, i przez pewne towarzystwo ludzi jedynie temu oddanych, wydawane. Jeszcze nie mówię, w dziennikach mniéj więcéj perjodycznie wychodzących, gdzie jest zwykle większy natłok i pracowników i materjałów, ale nie w pismie raz na rok wydawanem— i gdzie niema *płatnych* spółpracowników, jak za granicą, którzy piszą w duchu dzienników,—a tylko są z dobréj woli autorowie, którzy szlą, co się im w swobodnéj chwili napisać zamarzyło. Pismo zbiorowe pod takiemi jak nasze warunkami wychodzące, jako zbyt ograniczone zewnątrz i zbyt cząstkowe w sobie, nie może być zwierciadłem społeczności i wyrażać myśli ogółu. Wiadomo przy tém, że pisma do téj kategorji należące, nie mają prawa pomieszczania oddziału krytyki bieżącéj literatury, gdzie właściwie mogłaby się przejawić dążność redaktora, i jego estetyczne *widzimi się*. A tu w kraju, gdzie tak mało interessujących się literaturą, a cóż dopiero piszących,—Pan główny Redaktor nie może wcale roskoszować się w wyborze przedmiotów, bierze co mu los w rękę posłał, albo sam pisze, i stara się tylko, aby cóś pożytecznego lub przyjemnego czytelnikom udzielił, mając wzgląd baczny przytém, aby zbytniem wymaganiem nie zraził swych młodych spółpracowników, których udało się na drogę pracy pociągnąć, i których próbki już zapowiedziały talent. Z tego względu, jeden tylko *Przegląd Naukowy Warszawski*, odznaczający się uczciwemi zamiarami, z właściwego stanowiska ocenił i prace spółpracowników *Rocznika literackiego* i znaczenie stanowiska téj książki.

Prócz powyższych zarzutów, sam wyraz *wydawca*, w takiem znaczeniu, jakie zaczął u nas przybierać w ostatnich czasach, i którego obowiązki oprócz redaktorskich, musi przyjmować na sie-

bie, każdy chcący dziś u nas wydawać pismo zbiorowe,— ulega niejednokrotnie fałszywemu pojęciu w towarzystwie, w którém po raz piérwszy podobno pojawia się postać prywatnego Redaktora-Wydawcy: u nas ani rola, ani czynność jego nie są wcale pojęte,— chciałbym przeto wykazać rzecz tę w rzeczywistszém świetle, ze stanowiska więcéj spółczesnego, aby też nie wydał się dziwowiskiem w oczach większéj połowy naszéj poczciwéj publiczności....

Trud *wydawcy-nakładźcy* zaczyna dziś przybierać wyższe znaczenie, osobliwie u nas na Litwie, w kraju w którym— jak mawiał poczciwy ONacewicz, na tyle miljonów ludności ***nie urodził się dotąd ani jeden Mecenas nauk!*** Bo proszę mi wskazać pomiędzy naszymi bogatymi ludźmi, choć jednego, coby zasłużył na to nazwanie, w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu?.. Tu i ówdzie przeświecają talenta, tu i ówdzie powstają potrzeby i życzenia ogółu wydawania zbiorowych pisemek, tu i ówdzie znajdują się rękopisma bardzo warte ogłoszenia, ale gdzież jest człowiek, coby choć miljonową cząstkę swoich dochodów na publikacją ich poświęcił? Na miłość Boską ukażcie mi choć jednego??? Hrabia *Edward Raczyński* był jedynym, ale i to nie u nas!— był on alfą i omegą. U nas dają bale, dają obiady, wiwatują szampańskiem, jeżdżą w przepysznych ekwipażach i mieszkają jeszcze w przepyszniejszych salonach, ale gdzież jest choćby najmniejsza książeczka ich kosztem wydana, chociażby jéj nakład niedochodził i połowy rocznego utrzymania jednego z ich zbytkowych kuchcików?!.. Gdzież jest choć jeden zdolniejszy młodzieniec, rospaczą i nędzą w moralnym upadku pogrążony, coby ich ręką został z niedoli podźwigniony?.. Każdy szamoce się o własnych siłach, i dla tego tém odkrytszą wzgardą płaci bogaczowi, przy pierwszéj zręczności wzięcia się za pióro, i ta wzgarda zamienia się w prawdziwie ***demokratyczną*** nienawiść... Oto przyczyny niepojednanego rozdziału, pomiędzy arystokratą-szkatuły i arystokratą-myśli!.. Widząc obok siebie, tuż pod bokiem, zbytek rozwalający się na axa-

micie w pozłocistym salonie, *z wiecznym dymem w ustach*,— człowiek w pocie czoła w osamotnieniu, w ubogiéj izdebce pod strychem na kawał chleba pracujący, którego wszystkie dążenia ku dobru ogółu skierowane, czyż niéma niejakiego prawa lekceważenia sobie nadzianego złotem futerału?!..

Otoż w takim stanie rzeczy, w tym wiecznym rozbracie ubożca z bogaczem, jedynemi *Mecenasami* byliby u nas *Księgarze*, gdyby nie wyłączny ich cel spekulacji, i brak podpory w czytelnictwie,— a w samém czytelnictwie wzgląd wyłączny na chwilowy, *modny* gust publiczności,— nie zmuszał ich do oglądania się na swój interes, i nie odwodził od podawania ręki pomocy dzielniejszym prywatnym przedsięwzięciom. Ale czyż Księgarzowi, obracającemu pewny kapitał, aby wyrobić swoje procenta, (co jest bardzo słuszna!) wznosić dla kraju pomniki, które zaledwo kilkadziesiąt osób oceni, a nikt wyłożonego kapitału nie wróci? Czyż nie słuszniejsza uczynić to temu, co bez osobistéj pracy, szczęśliwy posiadacz ziemi ślepym trafem odziedziczonéj, ciągnie łatwe dochody z licznych swych włości?...

Otoż, kiedy Księgarze zaczęli otrząsać ręce, musem konieczności powinni byli pojawić się Redaktorowie-Wydawcy, bo przecież myśl narodu musiała znaleść dla siebie drogę, przywodząc w ruch czccionki; ztąd powstał *Rocznik literacki* w Peterzburgu, *Lud i Czas* w Wilnie, *Gwiazda* w Kijowie, *Rubon* na Białéjrusi i t. p. Uparta obojętność Księgarzy wywołała spółubieganie się prywatne, które się może zamienić w przedsiębierstwo na większą skalę, jak już dała dowody tego spekulacyjna Warszawa w swojéj *Bibliotece*.

Tak tedy pojawił się u nas wyraz *Wydawca* we wcale nowém znaczeniu, takiém, jakie wyrobił sobie ten tytuł w zachodniéj Europie. Podług większéj części panujących u nas po miastach wyobrażeń, wydawcą nazywa się kapitalista, używający swoich pieniędzy na drukowanie cudzych utworów, nie mając zręczności albo usposobienia puszczać się na innego rodzaju antrepryzy. Wszakże takie pojęcie, wynikłe wprawdzie z rze-

czywistego stanu rzeczy, jest w gruncie jednostronnem: trudno nam wyobrazić edytorstwo, jako osóbną gałąź *pracy*, trudno przypuścić, że ono wymaga takiego zamiłowania, i takiéj znajomości rzeczy, jak wszelka inna gałąź pracy dokonywanéj z samouznanięm znaczenia swéj działalności. Ów poświęca się handlowi zbożem, ów lnem i pieńką, inny ciągnie z fabryk korzyści,— inny browarami opaja stan wieśniaczy i razem tuczy woły karmne na sprzedaż, dla czegożby Wydawca dzieł użytecznych, mogących wywrzeć wpływ moralny, nie mógłby stanąć jeżeli nie wyżéj, to przynajmniéj na równi z tymi użytecznymi dla kraju ludźmi? A nawet w pewnych okolicznościach i czasach, czyż nie jest to rodzajem służby sprawie publicznéj oddanéj?... Tak tedy przyszedł już czas, że wyraz Wydawca i *w wyobrażeniach* naszych powinien nabyć *prawo Obywatelstwa* ..

Ale wracając do głównego przedmiotu,— niech sądzą czytelnicy z niniejszego tomu, czy *Rocznik* nie jest na drodze postępu? i czy nie przybiera, wedle możności, coraz wyraźniejszego kierunku?... Ten kierunek poważniejszy wykaże się wybitniéj w nastąpić mającéj reformie, którą Wydawca zamierzył zrobić, wydając nadal toż samo zbiorowe pismo pod nazwaniem *Pamiętnika naukowo-literackiego*, i nadając mu więcéj naukowo-popularny kierunek. Potrzeba podobnego pisemka coraz więcéj czuć się daje w kraju, gdzie tyle jest pochopnéj do nauki młodzieży, ale gdzie nie ma źródeł z niéj korzystania,— w kraju— bez wyższych naukowych Zakładów. Wyznamy nawet, że taki kierunek był zawsze bliższy z naszémi pojęciami i przygotowaniem, niż *ulotno-belletryczny* któregośmy użyli tylko, aby wprowadzić książkę w ręce tych czytelników, którym trudno się zbliżyć do książek: cała jéj powierzchowność tego dowodzi. A czyż i w tym nie miał słuszności Wydawca, mając na celu tę najliczniejszą u nas klassę, podstawę naszego towarzystwa? Wszakże zamierzając rozwijać więcéj widoki pedagogiczne, Wydawca niezaniedba strony literatury, tak zwa-

nej *nadobnéj*, o ile wartość utworów zgadzać się będzie ze stanowiskiem książki, które jéj zająć w bieżącéj literaturze, przeznaczył.

Jestem bowiem tego zdania, że dobrze obmyślone belletryczne utwory, w nowém znaczeniu, zasadzone na rozwiciu pewnych socjalnych kwestji, mają ten niezaprzeczony użytek, iż zmuszają do myślenia nawet te osoby, które zgoła nie przywykły myśleć, i któreby bez nich nigdy na tę drogę nie weszły: w ogólném przeto znaczeniu, często utwory te są użyteczniejszémi od głęboko pomyślanych dyssertacji, przystępnych tylko dla małéj liczby wybranych, i wyłącznie naukom poświęconych.

W takim znaczeniu celem belletrystyki jest umysłowe wychowanie téj części publiczności, która jeszcze nie stanęła na stopniu takiéj dojrzałości, aby mogła znajdować przyjemność w książkach, poświęconych jedynie logicznemu rozwinięciu najważniejszych pytań o nauce i życiu. Belletrystyka taka *przywabia* leniwego czytelnika do sfery czystego myślenia, przedstawiając ją w tak łatwych i powabnych formach, że ta musi się koniecznie im podobać, jak czyni zręczny pedagog, który chce ucznia swego czegoś wyuczyć, nie dając pozoru, że *uczy*. Wszystko dąży do tego, iż zbliża się czas, w którym *belletrystyka* coraz więcéj utracać będzie ze swego dawnego znaczenia, a natomiast przybierać nowe, że wreście sama logiczna wartość myślenia, będzie spotykać w massach czytelników tyleż spółczucia, ile i estetyczne jéj wyrażenie. Ale póki to nastąpi, póki wychowanie domowe i publiczne będzie zostawać na stopniu dzisiejszym, dopóty większa część publiczności, jak wszędzie indziéj tak i u nas, będzie znajdywać i przyjemność i pewną korzyść w belletrycznych utworach, pisanych z nowszém pojęciem tego rodzaju literatury.

Prócz wielkiego zbliżenia między belletrystyką a pedagogiką, i spólnego ich celu,— pierwsza oświecania łatwym i przyjemnym sposobem osób dojrzalszego wieku, druga: udzielania

umysłowego wychowania młodzieży,— belletrysta i pedagog używają jednychże środków dla osiągnienia swoich celów: jeden i drugi udzielając wiadomości, starają się działać na rozwicie umysłowych sposobności. Ten cel w obu tych *zwrótach* czyli działach równie jest ważny: przeto z dwóch różnych stron należy je rozważać: ze strony materjalnéj, to jest, wiadomości, które wprost przez nie udzielają się, i ze strony moralnéj, to jest: działania ich na rozwicie sposobności myślenia. Ten ostatni środek i cel gimnastyczny nie łatwo się osiągnąć daje,— tu bowiem koniecznie jest potrzebny pewny takt i w doborze przedmiotów i w objaśnieniu ich analizą.

Zgodnie przeto z przyjętemi zasadami, ostrzega Wydawca z góry, iż będzie nader ostróżny w doborze belletrycznych artykułów, któremi, po swojemu je rozumiejąc, zawalają nasi bazgracze Wydawców pism zbiorowych: w każdym razie dając pierwszeństwo prawdziwéj wartości artykułu, przed wygórowaném i zapleśniałém zamiłowaniem swojszczyzny,— wszelką orygînalną bazgraninę, zamieni tłómaczeniem niezaprzeczonéj wartości zagranicznego artykułu. Szczególniéj uwaga ta dotycze się oddziału poezji: gdzież tyle jak u nas, piszących *poezije* a iluż z nich mają prawdziwą wartość? Wydawcóm pism zbiorowych najtrudniéj jest obronić się od téj zapamiętałéj czeredy!.. rozmaitemi fortelami przypuszczają z różnych stron attaki: że wreście, pomimo przekonania, pomimo woli uledz musisz natręctwu, i zrobisz ofiarę z kilku kolumn druku swéj książki: postanawiamy być nadal niezachwianymi: pojmujemy bowiem sami, i chcielibyśmy, aby Panowie *Rymarze* pojęli, iż dzisiaj od *Poety*, jako i od pisarza prozą, w wyższém, szlachetniejszém znaczeniu tego wyrazu, wymagamy czegoś wyższego nad pospolitą mierność: d iś tego tylko nazywamy *poetą*, kto nam nowe drogi odkrywa, do nowego wprowadza świata: żądamy zaś nowego w poezji i myśli, nie dla tego abyśmy byli przesyceni starém,— lecz że w tém dążeniu do nowości, wyraża się ogólny duch epoki, duch protestacji umysłowéj nowych pokoleń prze-

ciwko zastojowi wyobrażeń, ugrzęzłych i splątanych w wyłącznem rozważaniu martwéj przeszłości.

Te uwagi osądziłem za konieczne dla lepszego porozumienia się z przyszłymi czytelnikami, przy nowo-zamierzonéj zmianie kierunku i ducha mojego pisma.

Co się zaś dotycze zmiany miejsca wydania, to ono posłużyło tylko Wydawcy do dania mu większéj zręczności i łatwości udzielania swym czytelnikóm artykułów i przedmiotów, pożądańszych dla ich serca i myśli... Tom pierwszy zreformowanego ***Rocznika***, czyli ***Pamiętnika naukowo-literackiego***, jest już pod prassą, i ukaże się nieodmiennie na początku roku 1849.

Tak tedy po pięcio-letniéj wytrwałości w trudnéj karjerze Wydawcy zbiorowego pisma, żegnam moich łaskawych i życzliwych Czytelników w przekonaniu, że przecież niezapoznają moich szczérych chęci i usiłowań, i że nadal zechcą podtrzymać dzieło, rozpoczęte w widokach bezinteressowności osobistéj. Podtrzymując jakiejkolwiek wartości książkę w czasach dzisiejszych, spełnia się akt obywatelskiéj posługi i językowi i literaturze krajowéj. Z tego punktu wychodząc, nie waham się spodziewać, że ***Pamiętnik*** mój odpowie potrzebóm dzisiejszego czytelnictwa i znajdzie życzliwy odgłos w dobrych chęciach spół-ziomków.

Romuald Podbereski.

Wilno.
d. 30 Listopada 1848.
W dzień Ś. Andrzeja.

PIUS IX *).

(P. Marji z Hornowskich Kostrowickiej, poświęcam).

Przed niedawnym czasem P. Felix Clavé, Francuz, bawił w Rzymie, w celu zebrania wiadomości dla napisania biografji Pjusa IX., gdy jeden z bieglejszych skulptorów francuzkich P. August Barré, przybywszy z Paryża, stanął na kwaterze razem ze swym spółrodakiem. Celem podróży P. Barré było zrobienie biustu Papieża. Za całą rekomendację przywiózł on z sobą biuścik Panny Rachel, który na wyjeździe ukończył. Pius IX. z początku odmówił mu posiedzenia. «Ta facjata (*questo grugno*), rzekł do Ojca Wentury, który go prosił w interessie P. Barré, była już nieraz odtwarzaną; nie zasługuje na cześć, którą chcą jej okazać." Ale kiedy zobaczył biuścik P. Rachel, zmienił zdanie. «To, zawołał, jest dziełem prawdziwego talentu, który należy ocenić baczniej. Przygotuj wszystko co potrzebne dla

*) *Vie et portrait de Pie IX; par Felix Clavé*. 8. 1. Vol. Paris. 1848. Ozdobione wizerunkami Piusa IX, Ojca Wentury, Kardynałów Ferreti, Cziakki (Ciachi) i Czicziruackio, z muzyką Vessilio dla *Hymnu do Papieża*; prócz tego dodatek od 100 stronnic, zawiera: 1. Pochwałę pogrzebową Daniela O'connel. i 2. Józefa Grazziozi; 3. Dekret Amnestji; 4. Cyrkularz tyczący się elekcji dla Konsulty Stanu; 5. Edykt utworzenia i organizowania gwardji obywatelskiej etc. Niniejszy artykuł zredagowany jest podług dzienników Paryskich. (*Wyd.*)

artysty, dodał obracając się do swego *maestro di camera.* Nazajutrz P. Clavé i Barré, już byli gotowi w sali Ś. Jerzego, prywatnym gabinecie Papieża, położonym pomiędzy sypialnym pokojem i salą jadalną. Przez cały tydzień mogli oni udawać się do pałacu, być obok Piusa IX., w ścisłém towarzystwie wszystkich, którzy go otaczają, bez przymusu, bez dworskiéj etykiety, stosując się jedynie do ogólnego zwyczaju chodzenia na palcach, i otwierania lub zamykania bez szumu drzwi salonu, kiedy Papież, zostawszy sam jeden, o dwa kroki od nich, w swéj sypialni odpoczywał po obiedzie o zwyczajnéj godzinie. «Łatwo pojąć, mówi P. Clavé, żem starał się korzystać z chwil tak drogich, czując całą wartość téj zręczności, która może się już nigdy nie wydarzy; w obecności samegoż Ojca świętego, w poufnéj rozmowie z nim, szczególniéj słuchając go mówiącego, nakreśliłem jego wizerunek, który, jeżeli nie inną zasługę, to będzie miał przynajmniéj wartość portretu zdjętego za pomocą dagerrotypu.»

Ta biografja, jest w pewnym rodzaju panegirykiem. I czyż mogła być czém inném?— Przyczynić się, o ile zależało od katolickiego pisarza, do obudzenia miłości, szacunku i błogosławieństwa ku temu, który nabył tyle praw być bożyszczem swego ludu,— taki był cel jéj, jak sam wyznaje, P. Clavé. Możemy dodać, iż go osiągnął zupełnie, bo po przeczytaniu jego dzieła, nie podobna jest nie doświadczyć samemu dla Piusa IX tych uczuć, które napełniały wówczas duszę pisarza, i któremi chciał on podzielić się ze swémi spółbraćmi.

Rozdział drugi— piérwszy służy zamiast przedmowy— nosi tytuł: Wizerunek Piusa IX, jego charakter, przyzwyczajenia, urządzenie dziennych zajęć; porządek dotyczący osoby Papieża i wnętrza pałacu. Rzecz tyle ciekawa, że wypiszemy tu niektóre szczegóły.

«O pół do-siódméj zrana, Ojciec święty odbywa służbę bożą sam jeden w swém Oratorjum, a potém słucha drugiéj Mszy odprawianéj przez innego kapłana. Jest to akt uroczysty, ważniejszy z dziennych zajęć Piusa IX. Uczucie z jakiém go odbywa, wywiéra przeważny wpływ na jego myśli, czynności, i stosunki z obcemi państwami, tudzież na rozporządzenie własnego rządu,— w tym to akcie skruchy chrześcijańskiéj mieści się źródło jego polityki doczesnéj i dążenia duchownego.

Pius IX pojmuje rząd doczesny sposobem wcale innym niż jego poprzednicy. Pochodzi to ztąd, że nie ścieśnia swoich religijnych powinności do sfery samych tylko spraw duchownych. Pius IX jest głęboko przekonany, że zbawienie jego na tym i na drugim świecie zawisło od sposobu, jakim będzie rządził, nie tylko Kościołem, ale i państwem papiezkiém. Ztąd ta trafiająca do serca i prosta odpowiedź, którą dał nie dawno pewnemu posłowi: «Bóg mi powierzył szczęście mojego ludu; jestem zań odpowiedzialnym."— Ten to jest główny przedmiot codziennego namyślania się, któremu się oddaje Pius IX, pomiędzy mszą, którą sam odprawia i mszą której słucha. Kiedy po spełnieniu ofiary, padłszy na kolana przed Bogiem obecnym w ołtarzu, przebiega myślą prace wczorajsze, i przygotowuje się do nowych czynów, polityka o tyle wchodzi do jego myśli, o ile religija, i błaga tego Boga— Odkupiciela, który kiedyś ma urzeczywistnić na ziemi jako i na niebie panowanie sprawiedliwości,—o zesłanie nań natchnienia dla doczesnego zarządu ludem, i dla zachowania i postępu prawdziwej wiary."

Następne sześć rozdziałów zupełnie są poświęcone historji Piusa IX przed wyniesieniem go na godność Papiezką. P. Clavé opowiada w nich w porządku chronologicznym, główniejsze zdarzenia młodości i dojrzalszego wieku swego bohatéra, zacząwszy od straszliwéj choroby, która roztrzygnęła jego przyszłość, aż do odjazdu na konklawe, które go mianowało Papieżem. Nic interessowniejszego nad to opowiadanie.

«Dnia jednego dziécko z Marshes, igrające na brzegu jeziora w okolicy majętności ojcowskiéj, nagle zostało uderzone zawrótem, i zemdlone wpadło do jeziora, gdzie byłoby niechybnie utonęło, gdyby nie przytomność młodego pastérza, świadka tego przypadku, który się rzucił i wydobył je z wody. Dziécię to było synem Hrabiego Mastaï, dziś Pius IX. Ten nieszczęśliwy wypadek, którego tylko co nie został ofiarą, zawierał w sobie ziarno, i tajemnicę, mówi jego biograf, straszliwéj choroby. Było to tak w przeznaczeniu tego człowieka, —co to opowiadał z krwią zimną, w dwódziestym drugim roku swoim przyjaciołóm w Rzymie,—jak owe czarne punkta zjawiające się na horyzoncie i zdala zapowiadające żeglarzowi burze tropikowe."

Mając rok dwódziesty drugi Mastaï mieszkał w Rzymie. Rodzina go przeznaczała do karjery wojskowéj, i on przybył

z zamiarem proszenia Księcia Barberini, starszego naczelnika przybocznéj gwardji, o honor zapisania się na liście tego korpusu. Szczęściem, że pozyskał protekcję Piusa VII, bo Książe Barberini znalazł go zanadto bladym i delikatnym. Nareście dzięki protektorowi, został wpisanym na listę, i w oczekiwaniu epoletów, zwiedzał Rzym, starając się zająć czas podług pociągów serca. Pomiędzy licznemi zakładami dobroczynnemi miasta *wiecznego*, przytułek pod tytułem: *Tata Giovanni*, odkryty dla sierot, ściągnął jego uwagę. Odwiedzał go często z początku, potém dobrowolnie został nauczycielem. Dawał tym dzieciom, do których się szczérze przywiązał, lekcje czytania, pisania, rachunków i geometrji.

«Jednego wieczora, o zwykłéj swojéj godzinie, Mastaï nie przybył do *Tata Giovanni*. Czule przywiązani do niego uczniowie, napróżno czekali go do wieczerzy. Kiedy wchodzili do refektarza, próżny pojazd zatrzymał się przed instytutem: był to pojazd Kardynała Fontena, którego stajnie i wozownie były w uliczce pobliskiéj od Santa Anna. Woźnica, zawoławszy stróża domu, oznajmił, że przejeżdżając postrzegł na bruku przy świetle lampy u obrazu Madonny, leżącego w konwulsjach młodzieńca. «Nie mogłem mu dopomódz z powodu koni moich, a inny powóz może go przejechać. Śpieszcie na pomoc.” Odźwierny z latarenką pobiegł na wskazane miejsce, i znalazł Mastaï uderzonego atakiem kaduka...”

Wiadomość ta gwałtownie wzruszyła krewnych i przyjaciół Mastaï; nadzieje na jego świetną przyszłość zostały nagle zniszczone. Nazajutrz, Książe Barberini oznajmił Piusowi VII, że jego protegowany musi być wykasowany z listy. Papież, głęboko wzruszony, chciał mu sam oznajmić tę smutną nowinę; zaprosił go do pałacu Kwirynalskiego; on natychmiast odgadł przyczynę. Stanąwszy przed tym, którego miał miejsce zastąpić, rzucił się ze łzami do nóg jego: «Nie masz dla mnie przyszłości, wszystko straciłem.”— Pius VII starał się go pocieszyć. «Któż zbada wyroki Opatrzności, rzekł mu; kto wié, czyli Bóg nie zamyka przed tobą światowéj karjery, aby pociągnąć ku sobie; sądzisz, że cię gubi, a może to dla zbawienia ciebie?... Poradź się go, on cię kocha, on ci odpowie.”—Nazajutrz Mastaï opuścił Rzym; nikt nie wiedział, gdzie się podział, co się z nim stało: lecz gdy powrócił, miał odzież duchowną, i był w zupełnym stanie zdrowia. Odtąd oddał się Bogu. Jeżeli mamy wierzyć P. Clavé, młody

Hrabia Mastaï, żywił już wtedy w czułém swém sercu bolesną tajemnicę, a walki i cierpienia miłości bez nadziei, nie były zupełnie obcémi owemu wypadkowi w uliczce Ś. Anny.

W dzień obioru Piusa IX, wszystkie znamienite osoby, znajdujące się w pałacu lub w pobliżu, były przypuszczone do ucałowania ręki Ojca świętego. Pomiędzy niemi znajdował się stary Książe Barberini. Jak tylko go postrzegł Papież, zdaleka dał mu znak, aby się przybliżył, i podając mu uprzejmie rękę do ucałowania:— «Otoż, kochany Książe, tobie winienem podziękowanie za to, co się stało ze mną; nigdyś wszakże nie sądził, odmawiając mi być Oficerem, aby Bóg dobry uczynił mię Papieżem."

Powróciwszy do Rzymu, Mastaï wszedł do *Tata Giovanni*. Przez trzy lata nauk teologicznych, odbytych pod przewodnictwem księdza Graziozi, dawał lekcje bezpłatnie młodym sierotóm, do których się coraz więcej przywiązywał. Pius VII chcąc go wynagrodzić za to bezinteressowne poświęcenie się, mianował dyrektorem tego zakładu, chociaż jeszcze nie był odebrał poświęcenia kapłańskiego. Było to przeciwko zwyczajowi; przeto ksiądz Bighi, którego miejsce zastąpił, miał do niego przez długi czas nieukontentowanie. Pewnego dnia, spotkawszy go na konnej przejazdce z ojcem Wenturą, który wówczas był tylko klerykiem, rzekł labe Bighi: «patrz, oto księżyna', który pnie się, jakby miał zostać Papieżem!" Wkrótce potém, labe Graziozi, sławny Professor teologji, powiedział wskazując go uczniom swoim, jako wzór miłosierdzia i pobożności: «W piersi tego młodzieńca bije serce Papieża."

23 Lipca, 1823 Mastaï z Rzymu udał się do Genui, aby tam wsiąść na okręt, i płynąć do Czili (Chili), gdzie był naznaczony członkiem Missji duchownej. Zaledwo przybył do Genui, ujrzał się w wielkim kłopocie. Rzeczy jego były już złożone na spodzie kajuty, kiedy się dowiedział, że okręt, na którym miał odpłynąć, wyjdzie pod żagle zaledwo za dni kilkanaście. Nie wiedząc co robić, chciał udać się do Arcy-biskupa. Z małym mantelzakiem pod pachą, z brewiarzem w ręku, poszedł go prosić o gościnność. Arcy-biskup, wówczas Kardynał Lambruschini, przyjął go czule, i naznaczył mu pomieszkanie, tuż nad swoim lokalem. «Dziwne spotkanie! mówi P. Clavé, któżby wówczas mógł powiedzieć temu księciu kościoła, że nieznany młodzieniec, udający się z pokorną missją

do Ameryki, we dwadzieścia pięć lat późniéj, zada śmiertelny cios jego ambicji, wykryje jego intrygi, i w chwili przyjęcia tjary Ś. Piotra, podstawi się na jego miejsce? któżby mu wówczas powiedział, że zdemaskowany przez publiczną opinję, ścigany przez nienawiść narodu, będzie przymuszony błagać łaski niegdyś ubogiego księdza, którego olśnił kiedyś przepychem swéj gościnności!"

Niepodobna nam towarzyszyć młodemu duchownemu z P. Clavé w jego podróży do Buenos-Ayres, ztamtąd do Santjago przez stepy *pampusów*, w czasie pobytu jego w Czili, i powrótu do Europy; ta część opowiadania zawiera tyle nadzwyczajnych epizodów, iż sądziłbyś, że jest rozdziałem z romansu. Odsyłamy do samego dzieła tych, coby życzyli bliżéj zapoznać się ze wszystkiémi szczegółami życia ex-dyrektora szkółki sierot od przybycia do Genui, aż do śmierci Grzegorza XVI,— powiémy tylko, że był obrany dyrektorem szpitalu Ś. Michała, potém Biskupem Spoletto, nareście Arcy-biskupem Imola. Jest jednak anegdota, któréj tu opuścić nie możemy.

Było to w 1831. Powstańcy w Państwie Kościelném pobici na wszystkich punktach, rzucili się do Spoletto; Austryjacy, wezwani przez Papieża na pomoc, podstąpili pod miasto; lecz Arcy-biskup— którym był Mastaï,— wstrzymał ich i zapewnił, iż nie będzie potrzebną obca pomoc do rozbrojenia insurgentów. Wzruszeni jego mowami, powstańcy złożyli broń. Mastaï zajął się w ówczas pogodzeniem ich z Papieżem, lub przynajmniéj zasłonieniem ich przed gniewem. Lista proskrypcji była przygotowaną w Rzymie, i policja robiła najczynniejsze poszukiwania na prowincji. Jeden z jéj agentów stawi się przed Arcy-biskupem: «Mogę odkryć przed rządem nazwiska, rzekł, i schronienie hersztów buntu,— oto ich spis." I oddał papier, który Mastaï odczytał z wielką uwagą. Na kominku, przy którym siedział, gorzał w ówczas ogień; ręka trzymając papier drżała. Nagle, wpierając w delatora łagodne i pogodne wejrzenie, rzekł doń z uśmiechem: «biédny synu, ty nic niepojmujesz ani w mojéj, ani w swojéj professji: wilk chcący pozrzeć owce, strzeże się dać to poznać pasterzowi trzody"— i rzucił w ogień oskarżającą listę, która spłonęła w oczach przerażonego agenta. Zaledwo się ten oddalił, Mastaï kazał natychmiast ostrzedz skompromitowanych; wszyscy wymknęli się, a nawet

wielu z nich winni byłli swoje dostanie się do Toskany i wylądowanie, pieniężnej jego pomocy.

Kiedy Grzegorz XVI umierał, Mastaï już od lat trzynastu był Biskupem w Imola. Owego dnia, w którym przyszła smutua wiadomość do Imola, Biskup nauczał duchowieństwo w klasztorze Piratello. Baladelli, jego majordomus, pobiegł do klasztoru z doniesieniem. «W drodze opanowało go jakieś przeczucie, i przybiegł cały drżący. Mastaï, sam jeden, klęczał w swojém Oratorjum. Obróciwszy się postrzegł Baladelli, i dał mu znak, aby się zatrzymał. Gdy skończył modlitwy, podniósł się, i ze zwykłą pogodą na twarzy spytał, co zaszło. Baladelli oddał mu depeszę, która donosiła, że Katedra Ś. Piotra jest wakującą.

«W rzeczy samej, rzekł biskup, złamawszy pieczęć i przebiegłszy doniesienie, Grzegorz żyć przestał."

Zauważywszy żywe wzruszenie na twarzy swego majordoma, który stał przed nim jakby w zachwyceniu, z oczami we łzach: dodał:

—«I cóż ci jest, mój kochany Baladelli. O czém tak myślisz?"

—«Ach! bo już zdaje mi się, że Imola więcej cię nie ujrzy!"

Mastaï ani przewidywał, aby mógł zostać Papieżem: znał naturę niepoetyczną Baladellego, i wiedział, że nie wdawał się w proroctwa, jednakże na ten raz uśmiechnął się na jego przepowiednią, i rzekł mu uderzając poufale po ramieniu:

«Jeżeli Bóg zechce uczynić cud, to mu nic kosztować nie będzie uczynić i dwa; będziemy go prosili zmiękczyć serce poczciwego naszego Baladelli, który może się zryzykuje zostawić rodzinne miasto, i przenieść się do Rzymu z rodziną."

Wystawiwszy ogólny stan Włoch przy śmierci Grzegorza XVI., P. Felix Clavé szczegółowie opisuje wszystkie działania konklave. Czerwca 16, 1846 odbyło się czwarte głosowanie. Mastaï, który też był głosującym, przy czwartej kolei, miał 27 głosów przeciwko 11 swego przeciwnika, Kardynała Lambruschini. Wyczytał swe imie wciąż na 17 biletach bez przerwy. Ręka jego drżała, a kiedy wyczytał je i na 18 bilecie, w oczach mu się zaćmiło, i osłabłym głosem błagał zgromadzenie przebaczyć jego wzruszeniu. Usiadł cały drżący, niemy; podano mu szklankę wody: ani pojmował, co się koło niego działo: dwa potoki łez spływały po policzkach. Ten prze-

strach własnéj wielkości, zjednał mu serca większéj części Kardynałów, którzy dotąd byli dlań obcy, i w tym wypadku rozczulenia i skromności, widzieli usprawiedliwienie swego wyboru.

Daléj opisuje P. Clavé historją Rzymu, odrodzenia się i wolności Włoch, zajmującą dwie trzecie części tomu, aż do ustanowienia Konsulty Stanu, to jest, aż do 15 Nowembra 1846. Zawiera ta część mnóstwo najciekawszych szczegółów, szczególnie dotyczących ojca Wentury, Cziczíruakkio (*Ciciruacchio*) i P. Rossi, francuzkiego posła, który się najwięcéj do wyboru Papieża przyczynił.

Kiedy się rozbiegła wieść w Rzymie o zamiarze dania ogólnéj amnestji, Austryjacki poseł przy dworze Papiezkim przybiegł, przedstawiając niebezpieczeństwo, i zagrażając mu niełaską dworu Wiedeńskiego,

—«Panie pośle, czy jesteś Pan dobrym katolikiem? zapytał go Papież?

—«Czy wasza Świątobliwość może wątpić o tém?

—«Wypełniając swoje powinności jako chrześcijanin i ojciec rodziny, spodziewasz się zbawić swoją duszę?

—«Bez wątpienia.

—«Otoż więc i ja mam moje powinności; ja też mam rodzinę, o któréj zbawienie dbać muszę.”

Gdy oprócz ambassadora, wielu Kardynałów znalazło się przeciwnego zdania, Pius IX, chciał swoją zasadę poddać pod rozbiór dyskussji na zgromadzeniu Kardynałów. Zbiwszy stare przesądy i dowiodłszy korzyście swego postanowienia, wezwał zgromadzenie, aby przedstawiło swoje zarzuty. Prawie wszyscy zgodzili się na jego zdanie, ale gdy przyszło do głosowania, wszystkie kreski okazały się czarne.

W ówczas Pius IX. zdjąwszy z głowy czapeczkę i przykrywszy nią kule czarne, wyrzekł stanowczo:

—«A teraz powinny one być wszystkie białe!”

Dziennik *il contemporaneo*, odkrył świeżo popełnione nadużycia przez kilku urzędników rzymskiéj administracji, Papież przeczytawszy ów artykuł, wyrzekł:

—«Oto jest właśnie cel, dla jakiego służyć powinna wolność druku!”

I natychmiast przywoławszy ministra sprawiedliwości, kazał mu zrobić śledztwo, aby winnych ukarać z całą surowością prawa. Śledztwo potwierdziło oskarżenie dziennika. Po

Po ośmiu dniach trzéj przestępcy ukarani stosownie do przewinień, byli zmuszeni ze wstydem powszechnym opuścić służbę. Ale aby sprawiedliwość była zupełną, Pius IX. kazał dowiedzieć się w biurze żurnału *Spółczesnika* o nazwisku autora owego artykułu. Był to *P. Paradisi*, jeden z najwięcéj poważanych uczonych Rzymskich. Papież kazał go poprosić do siebie, do Kwirynalu, dla oświadczenia mu osobiście podziękowania. Publicysta stawił się na rozkaz.

«Obowiązany jestem Panu, za usługę, którąś mi wyświadczył. Z łaski Pańskiéj, zarząd pozbył się kilku sług niegodnych. Dziękuję ci P. Paradisi. Gdybym i miał jeszcze jakie skrupuły względem wolności druku, pański artykuł zniszczyłby je zupełnie. Wskazuj mi daléj dobro, które mam czynić, i zło, którego mam unikać; spełniaj swoją powinność żurnalisty, ja będę spełniał moją powinność władzcy."

«Pius IX, mówi przy końcu swego dzieła P. Clavé, jest popularnym, ponieważ niema w nim żadnego interessu przeciwnego interessowi jego ludu, żadnéj namiętności osobistéj; żadnéj rachuby, żadnéj skrytéj myśli, mogącéj obudzić podejrzenie; jest popularnym, ponieważ umie ku sobie wzbudzić ufność bez granic; jest popularnym, gdyż każdy poddany oddaje się miłości, którą w nim obudzić umie, i którą sam nawzajem czuje dla poddanego."

PIUS IX. I GAËTANO.

Panowanie teraźniejszego Papieża w samym początku odznaczyło się rysami dobroci, miłości bliźniego, energji i rozumu, które mu zjednały powszechną miłość i szacunek.

Pius IX. począł reformę od własnego domu. Sześćdziesiąt kosztownych koni stało w pałacowych stajniach. «Połowy ich za nadto,— rzekł i kazał trzydzieści koni sprzedać na korzyść biédnych w Rzymie. Mnóstwo hultajskiéj służby tłumiło się w przedpokojach, kazał liczbę ich zmniejszyć do ilości, bez któréj się obejść nie można. Ogromne summy szły na utrzymanie Papieskich ogrodów, zmniejszył ten wydatek, nie robiąc uszczerbku

ogrodom. «Jestem ubogi sługa Jezusa Chrystusa, rzekł do swego marszałka dworu, a nie bogaty Lukullus; a więc masz nadal i karmić mię jako biednego sługę,"— odtąd na stół zaczęto podawać trzy skromne potrawy, z butelką zwyczajnego wina.

Jednego wieczora, podczas długiej rozmowy z Kardynałem Dżicci (Gizzi), o konieczności niektórych reform, kazał podać limoniady. Słudzy natychmiast przynieśli na dwóch wspaniałych złotych tacach różnego rodzaju chłodne napoje.

— «Prosiłem tylko limoniady,"— rzekł Papież.

— «Tak, Święty Ojcze,— odpowiedzieli mu;— ale musiemy stosować się do przepisanego ceremonjału i podawać wszystkie te napoje."

— «Dobrze,— rzekł Papież, a teraz przynieście mi cytrynę."

Podano cytrynę.

— «Dajcie cukru i szklankę wody."

Zrobiwszy sam limonjadę, dodał:

— «Odbierzcie tace; oddajcie napoje pierwszym ubogim, których napotkacie, a nadal podawajcie mi to tylko, o co poproszę."

Oszczędny dla siebie, Pius IX. nader jest szczodrym dla innych. Jednego razu żydowska deputacja, prezentując się w Kwirynalu, ofiarowała mu starożytny, dziwny utwor sztuki, od dwiestu lat przechowywany na przedmieściu Getto.— «Dobrze, dzieci moje,— rzekł Papież z dobrocią do Żydów;— przyjmuję wasz podarunek z przyjemnością i dziękuję wam. Ileby on mógł kotować szkudów? O cenie jego, jako utworu sztuki, nie mówię, bo to nieoszacowane."

— «Waży pięćset rzymskich szkudów,"— odpowiedział prezes deputacji.

Wtedy Pius IX. napisał na pierwszym świstku, który się znalazł pod ręką: «*Wydać tysiąc szkudów*,— podpisał, i oddając papier żydowskim reprezentantóm: «Przyjmcie też nawzajem tę summę, i rozdzielcie ją w imieniu Piusa IX. pomiędzy ubogie rodziny przedmieścia Getto."

Ludzki, litościwy dla wszystkich, Pius IX. nie czyni różnicy w rozdawnictwie swoich ofiar.

Przejeżdżał jednego razu, przez jednę z oddalonych ulic Rzymu. Tłum narodu zebrał się około starca rozciągnionego na bruku i męczącego się w straszliwych konwulsjach.— «To żyd"— krzyczał lud, i na ten okrzyk przeklęstwa, nikt nie chciał podać pomocy biednemu.— «Przedewszystkiem jest to człowiek! zawołał Pa-

pież, przebierając się w tłum;— jest to człowiek cierpiący, któremu pomódz należy."— I podniosłszy sam biedaka, kazał go posadzić do swej karety, przywiozł do pałacu, i wtedy tylko opuścił go, kiedy ten przyszedł do zmysłów. Papież go polecił swemu doktorowi.

Nie sami tylko Chrześcijanie rzymscy kochają i uważają Papieża, ale i nieszczęśliwi mieszkańcy przedmieścia Getto.

Przy wstąpieniu na tron, więzienia Rzymu zawierały mnóstwo ludzi, oddawna napróżno oczekujących sądu. Między niemi był jeden niewinny, od dwódziestu dwóch lat trzymany. Wyłączony tym sposobem z liczby żyjących, pogrzebiony w ciemnościach zamku Ś. Anioła, nieszczęśliwy ten nie mógł mieć żadnych stosunków ze swymi krewnymi, o losie których nic nie wiedział od dnia wejścia do więzienia. Człowiek ten był zatrzymany za polityczne podejrzenie.— Oto jednego wieczora, kiedy się przysłuchiwał krzykóm narodu, rozlegającym się po ulicach wiecznego miasta, drzwi otworzyły się i człowiek młody wszedł do więzienia; był to kapłan. Na widok jego więzień wzdrygnął się.— «Czego przyszedłeś?— rzekł słabym głosem;— czy dla tego, aby mię na śmierć gotować? O! tego się nie spodziewam! Śmierć na rusztowaniu byłaby jeszcze dla mnie dobrodziejstwem. Może przyszedłeś policzyć marszczki, wyryte na mojem czole przed czasem? Albo chcesz nasycić się widokiem mojej rozpaczy nieskończonej, jak złość moich tyranów? odpowiadaj..."

— «Przynoszę ci wiadomość od twojej matki."

— Od matki?! Na to słodkie imie kolana biednego więźnia zgięły się i ręka jego podniosła się ku czołu, jakby dla spędzenia zeń posępnego obrazu."— «Od méj matki! powtórzył:— mów mi o niéj; powiedz, że prędko ją ujrzę, że jutro połączę się z nią w niebiosach."

— «Ona już nie żyje! tak, umarła dla mnie, jeżeli nie dla ziemi."

— «Ona żyje jeszcze; prosiła mię pobłogosławić cię i podać nadzieję lepszego losu."

— «Pobłogosław więc mię, ojcze mój!"— I rzucając się do nóg sługi ołtarza, skłonił blade swe czoło pod rękę, która podniosła się nad jego głową w chwili, kiedy usta kapłana wymawiały: «Błogosławię cię w imie Boga miłosierdzia, który przebacza winnym, i usprawiedliwia niewinnych, błogosławię cię w imie matki twojéj!"

Więzień wstał; rzucił się w objęcia kapłana, który go uścisnął serdecznie.— «I tak Bóg ulitował się nademną,— zawołał nieszczęśliwy,— posłał mi Anioła-Pocieszyciela!"

Po pierwszych chwilach téj rzewnéj sceny, męczennik opowiedział historją swego dwódziesto-dwu letniego więzienia.

— «Powinieneś był napisać do Papieża,— rzekł mu kapłan,— i prosić o sąd, jeżeli nie o litość."

— «Czyniłem to nieraz, ojcze duchowny; zapewne pisma moje do niego nie dochodziły, bo pozostały bez odpowiedzi. Zresztą nie prosiłem u niego o życie albo wolność, błagałem tylko o dozwolenie uściskania matki mojéj."

— «Napisz raz jeszcze, mój synu."

— «Pismo moje będzie przejęte, wprzód nim dójdzie do rąk Grzegorza XVI.

— «Grzegorza XVI już niéma na świecie, napisz więc do jego następcy.

— «Nie dójdzie także i do niego.

— «Może. Wszakże sprobuj. Mówią, że Pius IX jest dobry, że przyrzekł sprawiedliwość wszystkim poddanym; napisz do Piusa IX.

— «Ale kto się podejmie wręczyć mu?

— «Dozórca zamku Ś. Anioła.

— «Nie, mój ojcze. Nie mam ni grosza, a usługi w więzieniu drogo się opłacają.

— «Więc ja sam oddam. Pisz tylko.

— «Niepodobna; nie mam ani piór, ani papieru, ani atramentu; wszystko to nader drogo kosztuje w więzieniu.

— «Oto ołówek; pisz na téj kartce mego pugillaresu.

— «Nie umiém już pisać, mój ojcze; zapomniałem przez lat dwadzieścia dwa."

Pomyśliwszy chwilę, więzień zaczął:

«Najświętszy Ojcze!

«Kiedy ulegałem pod ciężarem rozpaczy, jeden z twoich ka-«płanów przyszedł i nauczył mię błogosławić twe imie. Dwa-«dzieścia dwa lata męczę się w więzieniu Ś. Anioła; dwadzie-«ścia dwa lata oczekuję sprawiedliwości. Jeślim winien, to śmierć «będzie dla mnie dobrodziejstwem; jeślim nie winien, to niech «mi powrócą matkę moją i wolność."

Gaetano.

— Dobrze,— rzekł kapłan,— przed jutrem jeszcze Papież

przeczyta to pismo. Bądź zdrów synu mój, miej nadzieję w Bogu, błagaj go za Piusa IX i czekaj z rezygnacją.

W tej chwili wszedł dozórca.— «*Per Christo!* zawołał z gniewem popatrzywszy na zegarek,— pańska wina, Panie kapelanie, miałeś zabawić tylko godzinę, a oto godzina i piętnaście sekund. Czas oddalić się.

— Twoja wina, odrzekł kapelan, że wzywasz bluźnierczo imienia Zbawiciela. Źle będzie, jeśli się dowie Ojciec Święty.

Dozórca odpowiedział frazesem włoskim, który dosłównie wyrażał: «Papież drwi sobie ze mnie, jako i ja z niego.”

— Przewiniłeś znowu: Pius IX kocha wszystkich, i z nikogo nie drwi.

— «Jak się nazywasz?

— «A wam co do tego? Wychodź-no *subito*.

Kapłan wyszedł i natychmiast poszedł do Gubernatora zamku. Jak dozórca, tak i Gubernator był w złym humorze.

— «Znowu jakiś uprzykrzony!— zawołał,— czego chcesz mości Kapłanie? Proszę śpieszyć, jestem zajęty.”

— «Przyszedłem prosić cię o wolność dla więźnia Gaetano.

— «Czyś stracił rozum, kapłanie? Wiész, że tylko sam Papież ma prawo przebaczać.

— «Ja proszę cię w imieniu Papieża.

— «Dowody?—

— «Oto są— Kapłan, wziąwszy pióro, napisał u dołu pisma podyktowanego przez więźnia:

1) «Za tym rozkazem, Gubernator zamku Ś. Anioła ma otworzyć natychmiast drzwi więźniowi Gaetano.

2) Stróż zamku Ś. Anioła odda wojenne honory oswobodzonemu więźniowi.

3) Gubernator zamku ma natychmiast zmienić głównego dozórcę więzienia.

W dowód czego podpisujemy własnoręcznie w naszym zamku Ś. Anioła.” «*Pius IX.*”

Pierwszą czynnością oswobodzonego było biedz i uściskać matkę, która ledwie nie umarła z radości; drugą— pójść do Kwirynalu i dowiedzieć się u samego Papieża nazwiska swego dobroczyńcy.— «Nie dobroczyńca, lecz dobry twój ojciec duchowny— odpowiedział Pius IX,— ja sam nim jestem...”

Po raz pierwszy od lat dwódziestu dwóch biédny Gaetano łzę uronił: była to łza szczęścia i wdzięczności.

Przed 22 laty, siedemnasto-letni młodzieniec, obwiniony o spisek i skazany na śmierć, szedł nieustraszenie na miejsce kary. Przechodzący mimo kapłan, był tknięty jego młodością i poświęceniem się; rozważył, ile osądzony miał czasu zabawić w kaplicy,— zostawało 4 godziny. Kapłan pobiegł do Watykanu i tyle błagał panującego wówczas Papieża, że ów darował życie młodzieńcowi, zamieniwszy karę śmierci na wieczne więzienie. Tajemnicze drogi Opatrzności! Młodzieńcem owym był Gaetano; kapłanem— przyszły następca Grzegorza XVI.

Wydawca Rocznika Literackiego.





— Oto — rzekł starzec — miecz, którym ty duchy
I nieprzyjaciół pokonasz najsroższych;
Miecz to wielkiego na Litwie rycerza,
Nigdy on ręki nie zawiódł walecznej,
Nie tylko ziemskich przemoże on wrogów,
Lecz duchów nawet odpędzi od ciebie.

Witolorauda.

O SPOSOBIE
PROWADZENIA WOJNY
U STAROŻYTNYCH LITWINÓW.



...Lecz wieki przeszły— świątynie zrzucone,
Zapadłe groby pług synowski orze,
I zamki klękły siwizną omszone,
I wilcy wyją na książęcym dworze;
A wały grodów, blizny ran zgojone
Dźwigają dęby i sosny zielone....

Witolorauda.

P. Anieli z Burbów Romerowej poświęcam.

(Przekład z Litewskiego) *).

Ojcowie nasi, starożytni Litwini, wychodząc na wojnę dwóch sług zawsze przy sobie mieli, to jest, psa i konia, gdyż co

*) Jestto wyjątek z dzieła pod tytułem: *Budą senowęs Letuwiû Kal-*

wojownik na konia zabrać nie mógł, to pies wprzężony do saneczek ciągnął za nim, jako bagaże i narzędzia wojenne, a w powrócie z wojny, przynosił łup zabrany. Koń jego był jeszcze bliższym towarzyszem jego powodzeń lub przygód, gdyż niósł wojownika i z nim razem ginął. Dla tego młodzi Litwini o nic tak nie dbali, jak o piękne konie, których żmudzka rassa po świecie słynęła, i pożądaną była od Greków i Rzymian dla gładkości i połysku szerści, dla szybkości i wytrwałości, o czém do dziś dnia przechowała się sława u starych ludzi w narodzie. Dla tego-to jest dotąd tyle piosenek na Litwie, w których opiewa się konik gniady. U dawnych Litwinów ten tylko słynął młodzieniec, który miał piękniejszego konika, i dla tego każdyby z nich prędzéj wyrzekł się imienia, niż swego ulubionego konia. Dziś nawet to się wyraża w przymówisku do zasmuconego: czegoś tak markotny, czyś nie konia postradał? lub: zasmucił się, jakby koń mu ustał, albo: cieszy się jakby



konia dostał. W dawnéj Litwie tak kochano się w koniach, że po śmierci, razem z rycerzem palono je na stosach; nawet po wprowadzeniu wiary Chrześcijańskiéj, gdy rycerski Litwin zachorował niebezpiecznie, kazał stawić przed sobą bojowego konia swego, i ostatnie spójrzenie zwracając na towarzysza doli i niedoli, ducha oddawał. Z pomiędzy podarunków przysłanych

---

nienú ir Zamajtiú iszraszę pagał senowęs Rasstú Jokyb's Łaukis.* (O zwyczajach starożytnych Litwinów górnych i dolnych, wypisał podług dzieł dawnych Jakub Łaukis).** ***(Wyd.)

około r. 1257 przez Króla Litewskiego Mindowsa dla Rycerzy Niemieckich w Rydze, kronikarze najwięcéj wychwalają darowane konie. Dotąd nawet, kiedy Litewski młodzieniec nie może choć na lichéj szkapce pojechać konno do kościoła lub na jarmark, to woli iść pieszo, niż jechać w powozie. Jeśli się go zapyta, dla czego nie jedzie z kobietami wozkiem, zwykle odpowiada: alboż ja jaki niedołęga, gdybym się ciągał w kolasie! Gospodarz, chcąc zachęcić robotników, aby przyśpieszyli pokos łąki przed zachodem słońca w Sobotę, temi ich słowy zagrzewa: héj chłopcy, kończmy dzisiaj ten zagon, pozwolę wam jutro koników do kościoła! tego dość, aby choć do północy przyśpiewując, robotę przeciągnęli *). Inny autor **) pisząc o zwyczajach Litwinów, około r. 1792, powiada: Litwini nadewszystko



lubią konie i rzadko spotkać idącego pieszo do kościoła, na kiermasz, lub pańszczyznę; sąsiada też zawsze konno odwiedza. Dla

*) Rheza: *Dainos Anmerkung.*
**) Lepner.

tego w żadnym podobno języku nie masz tyle przezwisk końskich, ile w litewskim, np. siwosz, gniadosz, pstroczek, tarancik, jabłkowity, białonożka, białomorda, konik wrony, kasztan, myszaty, bułany, ciemno-gniady, jasno-gniady, łosio-włosy, zyzak, łysak i t. d. i t. d.

Wybierając się w wojenny pochód, Litwini obciągali konie swoje rohożami, okrywając cały tułów, głowę i uszy; aż do kopyt nogi przednie, a do goleni nogi tylne, dla ochrony ich od słot i deszczów, oraz aby się sierść nie zjeżyła. Takim obyczajem wystąpili Litwini na wojnę w r. 1794, pod Lipawą, Graubingen, Sałantami, na koniach domorosłych, już nie rohożami pokrytych, ale płócienkami obszytych, co do dziś dnia jeszcze nie jeden ze starych ludzi pamięta. Jadąc konno, dawniéj siedzieli oklep, to jest bez siodła i strzemion, lecz się tak mocno trzymali, że nie raz po ucięciu głowy jezdzcowi, koń niósł go jeszcze kilkaset kroków siedzącego, aż nim nareście upadł. Konie kierowane były naprzód uzdami lub tręzelkami, potém hamulcami.

Dawna wojskowa odzież, czyli czamara, mało się różniła od domowéj; żołnierz, na siermięgę lub kapotę domową wdziewał niedźwiedzią, łosiową, rysią lub innego źwierza skórę, do któréj się tak zanurzał, aby swoją czaszkę mógł pomieścić w niedźwiedziéj lub łosiowéj głowie, tak, że oczy, nos, usta, przypadały jak raz w oczy, nozdrza i pysk źwierza. W takich obłoczynach wyruszał na wojnę. Dla większego postrachu wrogów, nad głową, między rogami tura lub łosia, koński ogon zatykał, co się nazywało *szłykiem*, a twarz swoję jagodami czernicami lub węglem zamazał. Jeśli mu nie stało takowéj skóry, to wtedy wdziewał podobnym krojem uszyty płaszcz z rohoży lub grubéj paczesi, którego kapturem pokrywał sobie twarz i głowę, opasywał się rzemiennym pasem, na który zwykle nanizywał tyle obrączek miedzianych lub sprzążek, ile wrogów zabił na wojnie; na nogi kładł łapcie lub chodaki z surowcowéj skóry, do boku dębinę lub drewniany pałasz łyczanym sznurem przypasywał; jedną ręką dzierżał rohatynę czyli oszczep, na jednym końcu któréj, był wbity ostry róg, od czego i nazywała się *ragotiną* czyli rohatyną, bo w głębokiéj starożytności, Litwini żelaza nie znali; dla tego siekiery, berdysze, pałasze były z kamienia lub porcelanowéj glinki; w drugim ręku trzymał tarczę, którą od pocisków zakrywał się; miała ona kształt podługowato-okrągły, i albo wyciosaną z drzewa była, albo z giętkiéj łozy sple-

ciona. Z początku ostróg nie znali, lecz wdawszy się w wojny z niemieckiemi rycerzami, zaczęli robić ostrogi z porcelanowéj glinki, które i dziś można znajdywać w kurhanach. Nareście sajdak i kołczan strzał pełny przewiesiwszy przez plecy, siadał na koń i ruszał, jak łowiec na ptaki, wyglądając wrogów. Piechota więcéj wojowała karbowanemi kijami, czyli *korbaczami*, czego ślady można znaleść w postanowieniach późniejszego czasu w Statucie Litewskim. Zbliżywszy się ku wrogóm, piechury ciskali *palcaty*, czyli *palanty* z drzewa, lub kamienie z procy. Nie prędko późniéj, poznawszy użycie żelaza, zaczęli używać pancerzy łuskowatych, lub plecionych misiurek; wtedy też zaczęli nabijać żelazem rohatyny i bagnety. W taki rynsztunek przybranych wojowników, wzywali do boju głośną, długą, drewnianą trąbą, zowiącą się po litewsku *trimitiu*, któréj tęskna nóta przypominała każdemu, że śmierć z boku stoi. Pochody wojenne zawsze zimą rozpoczynali, kiedy rzeki i bagniska zamarzłe, utrzymywały jezdzca, aby długim obiegiem drogi nie nakładać, i w wojnie nie mitrężyć. Kiedy się zdarzyło letnią porą wyjść na wojnę, to piesi przepływali rzeki, stojąc po 4 lub 5 na turzéj skórze, rozbitéj na żerdkach, jak na płycie, a konni przywiązawszy rękę do końskiego ogona, wpław przepływali *). Z żywności brali z sobą tylko suche jadło, ja-



koto: wędzone mięso i surowe buraki, także mąkę, a nie mogąc wszystkiego pomieścić na koniu, ładowali w sanki, które za wojskiem ciągnął wielki pies z rodzaju brytanów; dla tego to Polacy, żartując z Litwinów, często ich nazywają: *Lićwiaki*,— *boćwiaki*.— U Litwina zabitego na wojnie niczém poży-

*) Kojałowicz. *Hist. Lith.* pars I. libr. III. p. 58.

wić się nie można było, chyba workiem buraków, a'i te jednakże nieraz głową przypłacano.

Kmieć najbiedniejszy jechał na wojnę zawsze samotrzeć, gdyż trzeba było mieć lóznego konia, aby, gdy padnie, drugi był pod ręką. W zażartéj bitwie, ciury obozowe stawały do szeregów; bogatsi czasem do dziesięciu osób służby swéj wyprowadzali, ztąd to w dawnych dziełach doczytujemy się, że taki to wystąpił ze swoim *pocztem*, to jest, sługami.

Bili się stosownie do miejsca, gdzie się spotkali, i tak, jak przywykli pasować się ze zwierzętami, nie skupiając się w jeden punkt więcéj jak po kilkaset, a niekiedy po kilka tysięcy, rzadko jednak do większéj liczby dochodzili; może przyczyną tego była ciasność pól odkrytych pomiędzy lasami. Pomimo to jednak, takim stali się postrachem dla wrogów, że nieraz stu ich przed jednym Litwinem pierzchało *). Ilość wojska zgromadzali podług potrzeby; wojowali zawsze swoim trybem, pomniąc jednak z kim mieli doczynienia; było u nich we zwyczaju, maszerując, nagle rozsypywać się w strony, i wnet w najlepszym porządku zbierać się do gromady; tak posuwali się coraz daléj a daléj, łupy zabierając i bijąc wrogów; najczęściéj, podzieliwszy się na małe oddziały, lubili podjazdami nacierać, i wciąż niespokoić nieprzyjaciela, który nieśmiejąc rozsypywać się, często z głodu ginął śród ostępu; i gdy jedni szturmowali z tyłu, drudzy nacierali z przodu, reszta z boków odcinała bagaże wojenne. W innym razie wroga w bój wprowadziwszy, gdy się z przodu odcinają, inna gromada z wrzaskiem z tyłu napadała **), a długą walką wycięczony nieprzyjaciel, jak liść przed niemi padał. Za uderzeniem w trąby, gromady jak zjawiska znikały; nieprzyjaciel tymczasem trwogę podjąwszy, musiał stać na jednem miejscu pod bronią pośród zawieruchy, i czuwać pośród trzaskających mrozów w nocy i we dnie, azali z któréj strony nakształt błyskawicy nie uderzą; tymczasem Litwini ciągłym odgłosem trąby, nie pozwalali dostać ani żywności, ani nawet wody; wyniszczony głodem i postrachem, marnie ginął.

---

*) Dusburg. c. 81.

**) Albertus Krantzius, *Vandaliae libr. VI. cap. 13. p. 133. Non statariam (ut olim), pugnam agentes, sed incursionibus et excursionibus omnia subruentes.*

Ostróżność przedewszystkiem była prawidłem w prowadzeniu wojny Litwinów; nigdy w otwarty bój nie wstępowali, zawsze fortelami mordując nieprzyjaciela, i nigdy się nie chełpiąc zawcześnie ze zwycięztwa podług przysłowia: *nie przeskoczywszy rowu, nie wykrzykuj hop!* albo: *biorąc się za dzieło, patrzaj na koniec*; ta ostróżność zawsze ich cechowała; takim sposobem w r. 1220 Erdziwiłł, Książe Żmudzki, podjazdową wojną pokonał Tatarów, którzy potém nieprędko odważyli się napastować Litwę: wszakże nie można powiedzieć, aby się nie zdarzały Litwinóm i wielkie wojny, jak np. w 1340, pod Rudławkami, kiedy się potykali z rycerstwem całego świata, przez Papieża podburzoném; tam się znajdowało po 100,000 z obu stron żołnierza.

Spotkawszy niespodzianie silniejsze wojsko, i nie mogąc czmychnąć w stronę, z sań wyprowadzali jakby ścianę w około szeregów, rozciągając linją powozów jak najdaléj, aby ich nieprzyjaciel otoczyć niemógł, a sami ścisnąwszy się w jednym punkcie, przypuścili silny attak, i tak przełamawszy nieprzyjacielskie szeregi, często zwycięzko wychodzili. Tak pokonali Żmudzini w r. 1275, rycerzy Niemieckich, na zamarzłéj rzece pomiędzy Rygą i Runem. Zbiwszy ostrza lub rogi z rohatyn, samemi drzewcami dawali sobie radę; nie mogąc przeszyć pancerza, uderzali tak silnie w pierś tylcem, że zsadzali z konia, i Niemiec nie prędko podnosił się z ziemi.



Jak górni tak dolni Litwini, chociaż po większéj części potykali się konno, mieli jednak ukrytą piechotę, którą z tyłu na łożnych koniach wieźli. Tak w r. 1320 Giedymin, Wielki Książe Litewski, pobił Moskwę, kiedy piechota Żmudzka wcisnąwszy się pomiędzy konnych, pomogła szeregi wrogów przełamać.

Czy to wojując w domu, czy wychodząc dla zemsty po za granice zagrody ojczystéj, gdzie plondrowali lub w otwarty bój

wstępowali, zawsze mieli za sobą obozy, w których i brańców schwytanych mieścili i nadpotrzebną broń i łupy trzymali; nie raz się zdarzało, że gdy długo w boju zabawili, jeńcy porwawszy zostawioną broń w obozie, z tyłu natarli, i samych-że Litwinów pobili. Takim sposobem ponieśli klęskę od Polaków pod Dublinem w r. 1270, gdzie im i łupy i cały obóz zabrali. Dla uświęcenia pamiątki tego zwycięztwa, wznieśli na tym miejscu kościół Ś. Mikołajowi, który dotąd istnieje *).

Stanąwszy obozem, okopywali się rowem, i z wewnętrznéj strony jego usypywali wysoki wał, zkąd się i zowie ***obozem*** a), to jest, po litewsku ***ab-eżę*** (okolna miedza lub wał), i z czasem stawał się on początkiem twierdzy; w środku tego obozu chowali broń, łupy i jeńców, w około stawali sami, rzekłby kto, więcéj swych brańców, niż własne życie, ochraniając. Zimową porą, nie mogąc się okopywać rowem, jak rzekliśmy wyżéj, saniami się ostawiali, takim obozem stojących Żmudzinów, w r. 1200 napadli Rycerze Niemieccy z Rygi nad Dźwiną (***Padaugawie***), i pod zamkiem ***Auszrodes*** wyrznęli **).

Kiedy tak Litwini słynęli męztwem ścierając się na polu bitwy, nie mniéj i w twierdzach odważnie się bronili lub sami je zdobywali.

W głębokiéj starożytności Litwini twierdz nie mieli, gdyż nieprzebyte puszcze ich twierdzami, a własne ich męztwo i wytrwałośc murami były; najodważniejszy nieprzyjaciel nie śmiał do ich lasów tknąć nosa; lecz późniéj, gdy przerzedziły się lasy, poczęli w pomiędzyborza, a osobliwie Szwedzi, przesuwać

---

*) Bandtkie: ***Historija narodu polsk.*** T. I. str. 203.

a) Nie możemy się zgodzić z szanownym autorem na tę etymologją. Nigdy Polacy nie brali wyrazów z litewskiego języka, a nawet wyraz *obóz* podobno był w używaniu u Polaków, kiedy jeszcze Litwa była dziczą, i żadnych z nią stosunków nie było. Takowe wyprowadzenie, przypomina zaperzenie się nowszych uczonych, gabinetowych pedantów, którzy na kilku wyrazach, pobudowali kolosy etymologiczno-historyczne, które za podęciem zdrowego rozsądku, jak domki z kart poupadały. Los Szwedzkiego pisarza ***Rudbeka*** z jego ***Atlantydą***, powinien im stanąć żywo w pamięci: toż samo stało się nie z jednym ze Słowiano-filów w Rossji i Indo-słowianinem w Germanji. Ich etymologiczne zapędy poszły w pośmiewisko w Europie. Lecz nie tu miejsce rozszerzać się w téj materji. (***Wyd.***)

) Arnd. ***Lifland. Chron.* str. 40.

się, wsie plądrować i z ogniem puszczać; wtedy poczęli owe międzyborza zamkami zapychać i nie jeden szlak szwedzki, takim sposobem zagrodzili, sami w nich ucieczkę znajdując; takowe zameczki do dziś dnia dają się widzieć na Żmudzi, których ruiny lud prosty *sypanemi górami (pilęs kalnajs)*, a tradycja *szańcami Szwedów*, nazywa.

Samo nazwanie zamków (*pile* od słowa *pilti*, sypać), pokazuje ich początek. Nasamprzód, stawiano zamki na równinie, z dwóch a czasem ze trzech stron zupełnie nieprzystępnej, jeziorem lub bagnem, otoczonej. Sypali wały ziemne w czworobok podługowaty, nakształt szop czyli *bud*, na kilka sążni wysoki i prawie tyleż szeroki; ze strony nieprzystępnej było wejście, a wszystkie tego czworoboku ściany, jak zewnątrz, tak wewnątrz, były rowem głębokim okopane; w zewnętrznym rowie był ostrokół dębowy, to jest, słupy końcami ostremi w górę obrócone, i jeden obok drugiego wkopane. Na wierzchu wałów, był podobnyż ostrokół. Nieprzyjaciel, zbliżywszy się do takiego zamku, gdyby chciał konno lub pieszo skoczyć przez ostrokół wyższy nad stan człowieka, musiałby na ostrzach słupa zawisnąć; jeśliby udało się przesadzić bez szwanku, musiałby z koniem w rowie ugrzęznąć; a jeśliby i z rowu wyszedł cały, to byłby przymuszony drapać się na wały wysokie, na których znowu, jakeśmy rzekli, był ostrokół, z poza którego obrońcy zamku, rażąc kamieniami z procy lub strzałami z sajdaków, sypali jak gradem.

Wkrótce potém wymyślono tarany i żelazne pancerze. Wtedy Litwini nie mogli długo wytrzymywać w takich zamkach, ponieważ nieprzyjaciel ciskając z taranów ogromne głazy, wyłamywał ostrokoły, i temiż samemi głazami zawalał rowy, a przybrany w pancerze, niedbał ani o kamienie, ani o strzały, które więzły w zbroi. Z czasem kiedy zakon Niemiecki gwałtem wiarę chrześcijańską chciał Litwie narzucić, aby ich dostatki i ziemię sobie przyswoić, oni—mężnie broniąc swoich swobód, poczęli znowu wznosić zameczki, ale już nie na równinach, lecz na górach i w miejscach nieprzystępnych; a jeśli się góra nie trafiła, to robili nasyp na zatoce rzeki lub pośród bagniska; na takim nasypie wykopawszy głęboki czworoboczny dół, cembrowali go drzewem lub kamieniem, i porobiwszy przegrody, nakrywali dachem; tam sami mieszkali, tam dobytek i łupy przechowywali, tam też i konie bojowe trzymali.

4



Zamek obronny Litwinów.

Zamki te również były okopane wałami, i tylko ze stron nieprzystępnych wejście miały. Z tejże strony, na podgórzu były ogrodzenia, aby wróg wpaść nie mógł na wierzchołek twierdzy, na którym były przygotowane brusy i kłody, aby wdzierającego się spychać niemi na dół. Mieszkali zaś sami pod zamkiem. Mieszkańcy w blizkości twierdzy osiedli, musieli ją strzedz z koleji, i ztąd do dziś dnia pozostała nazwa *okolicy strażniczéj*. Ziemianie, zebrawszy się tam na stróżówkę, wprawiali się do



boju, odbywając wojenne exercycyje;— a zrobiwszy wycieczkę w sąsiednie puszcze i złapawszy niedźwiedzia lub innego drapieżnego źwierza, dawali dowody swéj odwagi i zręczności, pod murami fortecy, niby w obliczu cyrku.

Na szczycie zamku, zatykano tyczkę wysoką, oblepioną smołą, ze słomianą wiechą na wierzchołku; jak tylko strażnicy postrzegli nieprzyjaciół, natychmiast zapalali wiechę, a widok pałającéj żagwi w nocy, albo dym we dnie, powoływał konnych i pieszych na pogróm wrogów. Zamki te górne, były niekiedy tak obszérne, że po kilka tysięcy żołnierza mieścić mogły. Wiadomo, że Olgierd i Kiejstut w 1360, po krwawéj potyczce na Rudławskiém polu z 15,000 jazdy w twierdzy Ankajme zamknęli się,

Takowe zamki w połowie do ziemi zapadłe, do dziś dnia przy miasteczkach ukazywane, lud prosty *sypanemi górami*, nazywa.

W późniejszym czasie, chociaż owe zamki pozostały w swoim piérwotnym kształcie, mieszkańcy pod zamkami osiedli, zaczęli się otaczać kamiennemi ścianami, zajmując w obręb i sam zamek; odtąd zaczęli się nazywać *twierdzowymi* czyli *mieszczanami*; wtedy wróg musiał pod takie zamki daleko większe siły zgromadzać. Takim murem było niegdyś opasane Wilno, Kowno, Płotele, Białystok, Żousławki, Birże i t. d.

Jak dzielnie broniono się w tych twierdzach, dość wspomnieć rycerza Margiera, obrońcę zamku Punie, który w 1278 broniąc się, wolał pod gruzami zamku zginąć, niż poddać się. Również w 1346, Wajdotis, w Kowieńskim zamku od Krzyżaków, a 1434, Jursza, w Łuckim, od Polaków broniąc się, tysiące wrogów wyciąwszy, sami w płomieniach dobrowolnie spłonęli. Gdy tak mężnie bronili się dawni Litwini w swoich twierdzach, nie mniéj śmiało stawili czoło, uderzając na nieprzyjacielskie zamki; śmieli rycerze jako lwy wdzierali się na kamienne wały, gromiąc i krusząc swoich pancernych ciemiężycieli *). Aby mieć pojęcie o męztwie i wytrwałości rycerstwa litewskiego, dość jest przeczytać oblężenia zamków Parnawy, Kessen, Nejermila.

Napadając na zamki nieprzyjacielskie, zawsze je otaczali silném wojskiem, tak, że nieprzyjaciel nigdzie ze swéj twierdzy głowy wytknąć nie mógł. Zamki burzyli taranami. Nim podeszli pod twierdzę, usypywali sobie okopy, i uzbrajali je na przypadek ucieczki; nieprzyjaciel też nie miał tyle śmiałości, aby robić na nich wycieczki z twierdzy. Ubezpieczywszy się od napadu, z taką szybkością szturmowali do twierdzy, że dnia spoczynku nie pozwalali sobie.

Mówiąc o męztwie Litwinów, nie trzeba przepominać i o męztwie kobiét litewskich, które nie tylko w domu pragnęły, aby je zwano *mężami*, że ich roboty zastępywały, lecz i na wojnie chciały stać obok swych mężów. Nie raz niewiasty przyprowadzały przed Krywe-Krywejtę swych mężów, braci i synów, aby ich na wojnę błogosławił. Dosyć jest wspomnieć męztwo kobiét *Naujapilęs* b) (Nowego-miasta). Kiedy w 1276, Krzy-

*) Dusburg. T. III. c. 89. 112. 113. 114.

b) Inaczéj *Nowogródek-Litewski* założony na początku XI. w. przez Erdziwilla, na lewym brzegu Niemna, w byléin później Województ-



żacy, Moskwa i Tatary zmówiwszy się, i Litwę górną i dolną splądrowawszy, tak,— że popioły tylko na pogorzeliskach wiatr roznosił,— podeszli nareście pod Naujapilę; tam kobiety zebrawszy się na ogólną radę, kazały swym mężóm wyjść za mury miasta, i w otwartém polu czekać potyczki; a same, bramy miasta zamknąwszy, weszły na wały, i ztamtąd strzałami i kamieniami raziły walczących z ich braćmi i mężami, nieprzyjaciół. Wróg nie mogąc podołać, będąc z dwóch stron spartym, nie tylko że uciekł, że omal na głowę nie został pobity,— ale niedobitki unosząc się z życiem, opuściły miasto, które męztwu i wytrwałości kobiet, ocalenie było winne. Nie można też niewspomnieć wdowy Księżny Łuckiéj, Nastazji Olelkowiczówny, która w 1504, posłyszawszy, że Tatarzy przybliżają się do miasta, porwawszy jedną ręką rohatynę, drugą niemowlę trzymając, rozkazała zgromadzonym kmieciom i załodze przysiądz nad kolebką, że prędzéj w gruzach z dziecięciem się zakopią, niż zamek poddadzą. I w rzeczy saméj, wszyscy prawie wyginęli od żelaza mężów, pobudzonych przez waleczną białogłowę.

Przyczyną męztwa Litwinów, było religijne przekonanie tego narodu, że ci tylko mogli dostąpić nieba, którzy broniąc swych domów i wolności, waleczną śmiercią polegli. Ci tylko spodziewali się znaleść, gdzieś tam na wysokościach niebieskich, białe sukmany, miękkie posłania, słodkie miody i piękne niewiasty, z któremi pijąc i żartując, mieli spędzać nieskończone noce: a może też do odwagi pobudzało i to przekonanie, że jakim kto był na tym świecie to i po śmierci takim zostawał kto był wolnym, to takim i tam pozostał, kto tu był rabem, to i tam rabem. Zważywszy, jak okropnego ucisku doświadczali nowo-pochrzczeni Prusacy i Inflanczycy *po Daugawie*, to jest: po nad Dźwiną; jak ich męczono pańszczyznami, daninami, opłatami, łatwo pojąć, że każdy wolał wolnym umrzeć, niż i na tamtym świecie takim krwiożercóm wiecznie służyć; dla tego żywot doczesny za nic uważali: to weszło nawet w przymó-

---

twie Trockiem. Ten Nowogródek nie trzeba mięszać z *Ruskim*, dotąd pod tém nazwaniem istniejącym, gdzie inny Erdziwiłł panował. Cała wtedy Litwa była podzieloną na dwie części: na *Litwę górną*, czyli *Auxtela Letua*, w któréj stolicą był wspomniony Nowogródek, oraz *Litwę dolną* czyli *Zmujdź*, inaczéj *Zamajta Letua*; do tego Nowogródka przeniosł stolicę z Krewa, Xiąże Ryngold, przybrawszy tytuł *Wielkiego Xięcia*. (*Wyd.*)

wisko ludu zachowujące się do dziś dnia: i teraz zafrasowany Żmudzin mówi: «dzień mój, wiek mój,"—«dzień—byt mój"—«nie wiek słoneczny żyć nam"— «giń ty lub ja"—albo: «umierającemu z bojaźni, wiatry dzwonić będą na pogrzebie-"— Tak Jatwieże, czyli, jak cudzoziemcy piszą, Jaćwieże w r. 1250, woleli dać się w pień wyciąć Polakom, niż im w niewoli służyć. Litwini walcząc mężnie, chcieli niebo osiągnąć. Grzebiąc umarłych, za świadectwem Stryjkowskiego, śpiewali im temi słowy: «idź nieboże do lepszego żywota, gdzie nie ty Niemcóm, lecz Niemcy tobie służyć będą."

Mając do czynienia z silniejszym nieprzyjacielem na własnej ziemi, a nie mogąc z nim otwartym bojem wojować, co mieli najdroższego z dobytku, jako kubełek z odzieżą, bydło, konie, kozy, w głąb nieprzebytych lasów zaganiali, a puściwszy z ogniem domy swoje, sami z dziećmi przenosili się tamże, aby nieprzyjaciel ni chleba, ni dachu, nie znalazł. Tak uczynili w 1340 Olgerd z Kiej-



stutem. Widząc, że tłumy Rycerstwa przez Papieża podburzonego przyszły do Prus Litewskich, (czyli Pomorza Litewskiego, inaczej *Litwy Nadmorskiéj*), rozkazali wszystkim mieszkańcóm Nadniemeńskim, w promieniu na dziesięć mil w około, zabrawszy dzieci, żony i ruchomy dobytek, a wsie popaliwszy, przenieść się w lasy Nadźwińskie, (*Podaugawie*). Krzyżacy



przeprawiwszy się przez Niemen, zastali same tylko pogorzeliska tam,— gdzie wysłani uprzednio szpiegowie, dostatek wszystkiego zapowiedzieli. Gdy Niemcy po zgliszczach przechodzili się, Kiejstut tymczasem z 15,000 jazdy wypadł z Połągowskich lasów, a Olgierd z tyląż z *Zielonéj puszczy*, i otoczywszy ich

w około, głodem, chłodem i słotami nękając, w pień wyniszczyli, że potém długo kościotrupy poników wrogów, walały się po polach, lasach, ruczajach i smugach.

Ze schwytanych na wojnie brańców, główniejszych przynosili żywcem Bogóm w ofierze, a to czynili z takim obrządkiem: na uwiązanego konia do cztérech słupów za cztéry nogi, sadzali złowionego dowódzcę, i ułożywszy stos pod nim, zapalali go. Jeśli kilku naszych wpadło im w ręce, to losowali, na kogo padnie wyrok ofiary. Zabiwszy zaś w boju bojara lub hetmana, głowę odrzynali, i zrobiwszy z niéj czarę, pili pod czas biesiady na pamiątkę męztwa i pokonania wroga; zdobyty na nich rynsztunek również na sobie nosili *). Po śmierci znakomitszych wodzów, zebrawszy czerepy pokonanych przez nich nieprzyjacielskich wodzów, nizali na łańcuchach lub żelaznych obręczach, i grzebiąc ich, pod urną w mogile kładli, co do dziś dnia w kurhanach natrafiać zdarza się. Ukończywszy pomyślnie wojnę, dziękowali Bogóm, zachowując następny obrządek: kapłani ujeździwszy do upadłego białego konia, żywcem go na stosie palili, a rozsypawszy jego popioły, zamieniali między sobą oszczepy, które na pamiątkę w poświęconém miejscu, *Zniczem* nazwaném, przechowywali. Wetując krzywdy poniesione, takim sposobem wypowiadali wojnę sąsiadóm: kapłan wziąwszy nieprzyjacielski oszczep, i uwiązawszy doń palące się zarzewie, ciskał go przez granicę do nieprzyjacielskiéj ziemi. To było hasłem do boju **).

Wypowiadając wojnę, obierali sobie wodza czyli mściciela (*atmona*), który ich miał wieść na wroga. Zebrawszy się w gromady, obierali starszych, nie z bogatszych, lecz z mężniejszych i roztropniejszych; naprzód *dziesiętników*, co prowadzili dziesięciu wojowników, potém *setników* czyli *pulkoriusów* (od słowa *pólti*, najść, napaść), co prowadzili stu ludzi, i których późniéj z teutońska, nazywali *rotmistrzami*, a nareście *chorążami*, że chorągwie nieśli i regestra żołnierskie utrzymywali. Ta starszyzna, wybrana przez wojsko, znowu z pośród siebie wybierała starszego, odznaczającego się odwagą, rozsądkiem i

*) Kojałowicz, *Hist. Lith.* T. I. p. 1. L. 11. p. 40.
**) Arndt. *Liefland. Chron.* str. 30.



Wypowiedzenie wojny.

przebiegłością; tego zwano *mścicielem* (*atmons*) *), i podniosłszy go na ramionach, obnoszono pomiędzy wojskiem, jako rozkazodawcę, którego wszyscy słuchać powinni. Miał on prawo życia i śmierci, i posłuszeństwo nieograniczone, a jeśli kto rozkazy jego przestąpił, śmiercią przypłacał. Wszakże ta władza trwała tylko do końca wojny, po skończeniu której wracał do domu, i stawał się równym wszystkim innym Obywatelem. Pamiątkę tego obioru *Semigalczycy* i *Kurlandczycy* do dziś dnia



zachowują: nowego dziedzica, obejmującego włość po ojcu, krewnym lub prawem kupna, podnoszą do góry, i odtąd tylko zaczyna się nazywać *Panem*, kiedy ten obrząd spełniono; bez tego choćby miał akt i pieniądze zaliczył, włości swéj innemu oddać nie może.

Poległego w boju wodza, ciało należało wyrwać z rąk nieprzyjacielskich i na rodzinnéj ziemi spaliwszy, pogrześć je, co było oddaniem najwyższéj czci;— wiara bowiem nauczała, iż ten tylko wchodził do nieba, kto na rodzinnéj ziemi spoczął,

*) Od słowa *atmonyti*, mścić się.

inaczéj bowiem dusza rycerza musiała tułać się po drzewach, i pustych domach, trapiąc się i wszelkie zło wyrządzając znajomym i krewnym. Dla tego w najzaciętszym boju, unoszono ciało poległego wodza; zwyczaj ten dotąd przebija się w smutku Litwinki, która w żalu po śmierci syna w obczyźnie, temi słowy utyskuje: *„najdroższe dziécie me, obca cię ziemia pokryje!"*



Jeśliby sam mściciel (*Atmons*) czyli hetman, wojując poległ, to lud z całego państwa zgromadzony, kopał ogromny kurhan, stosownie do wielkości sławy, czynów i pożytku ojczyźnie przyniesionego. Dodziśdnia mnóstwo znajduje się podobnych mogił w górnéj i dolnéj Litwie. Potém samego wodza palili na stosie, razem z bojowym rumakiem, psami, parą sokołów, wojennym rynsztunkiem i najwierniejszym sługą. Krewni i przyjaciele, przy pałającym płomieniu, opłakując go i wysławiając czyny wojenne, rzucali na stos szpony rysie i niedźwiedzie, aby te dopomogły mu do wdzierania się po stroméj górze ku wysokościóm niebieskim; potém zebrawszy popioły sypali je do naczynia

glinianego nakształt urny, nieśli je do kurhanu, śpiewając: jakoby widzieli bohatéra unoszącego się na białym koniu, obok z sokołami ku wschodowi; urnę stawili na czerepach pobitych wrogów, znizanych na żelazny obręcz, i zasypywali ziemią; dla pamiątki zaś nazywano kurhan imieniem pogrzebionego.

Takim sposobem czcili pamięć nie tylko samych wodzów, ale i innych wojowników i sławnych mężów w narodzie, i mogiły ich były uważane za miejsca, których ani pług tknąć nie mógł, ani przekopów robić, ani darna z nich zdzierać nie godziło się; taką cześć oddawano mężóm, co męztwem osobistém wywalczyli swobodę, którzy jeżeliby nie polegli na polu bitwy, ojczyzna jęczałaby w okowach ciemiężcy.



Czasami powierzali najwyższą władzę nad wojskiem mężowi obcego pokolenia, i niémasz żadnego śladu, aby kiedy *Ku-*

riejû Kuriejis (*Krywe-Krywejta*, czyli Najwyższy Kapłan) śmiał ograniczać jego władzę pod czas wyprawy *). Wiadomo jednak, że starsi kapłani wdawali się do wojennéj rady, uchwalali wyprawy, i sami walczyli na czele szeregów, dając przykład walecznéj śmierci **). Sam Krywe-Krywejta wyprawując wojsko na wojnę błogosławił je, wznosząc modlitwę, a potém rozwinąwszy chorągiew czérwoną, i wręczając ją wojownikóm, sypał sól na nię; tak roznoszono ją po szeregach ***).

W każdym powiecie był chorąży, który utrzymywał spisek swych spół-ziemian; każdego roku, zwykle w jesieni, zbierali się wszyscy do powiatowego miasta na dzień wyznaczony; tam chorąży odczytywał spiski, i oglądał każdego zbroję i konia, a jeżeli nie znalazł u kogo należytego porządku, wymazywał takiego ze spisku. Tacy jednakże musieli płacić podatek. Chorąży dzierżał chorągiew swego powiatu; urząd ten powierzano najmężniejszemu z pomiędzy ziemian, jak to widać z rejestrów Litewskiego Statutu w r. 1528. Późniéj Królowie Polscy przywłaszczyli sobie rozdawnictwo urzędów, i naznaczali z pomiędzy możniejszych; hetmani tylko widząc odznaczających się męztwem, oddawali niektórym oddziały wojska pod pośrednią władzę, z prawem utrzymania przy sobie naczelnego zwierzchnictwa w wyprawie ****). Wojując pojedynczo, często bronili tylko jednéj okolicy, płosząc i głodem morząc; czasami wpadali w obce kraje plądrując i ogniem niszcząc. Chociaż ci dowódzcy nie mieli żadnéj znajomości sztuki wojennéj, jednakże męztwem, zgodnością i niezmordowanym trudem, zyskiwali ufność i miłość żołnierzy, i széroko rozpościerali postrach i imie swoje. Tak Pipsa, Warmijski dowódzca, dla okazania odwagi osobistéj i naczelnéj władzy, sam piérwszy wpadł na nieprzyjaciół i zginął *****).

Starszyzna wojskowa składała się jeszcze, prócz wyżéj wymienionych, *atmonsa* i *półkoriusa*, z *witunasa* (kwatermistrza), który wojsko prowadził na wojnę, nie będąc ani hetmanem, ani strażnikiem, i miał staranie o drzewcach czyli broni, oraz śledził postępowanie wroga, i był jak oboźny. Był też jeszcze mąż

*) Dusburg. P. III. n. 34.
**) Praetorius Schaubine s. 1203
***) Teodor Narbutt T. I. s. 250.
****) Dusburg. P. III. c. 7.
*****) Dusburg P. III. c. 20.

zamku czyli Kasztelan, ten miał pomocnika czyli *odźwiernego*, który bramy zamknąwszy, klucze u siebie chował; bez jego wiedzy w czasie wojny nikt ani wejść, ani wyjść nie miał prawa.

O powinnościach służby wojskowej dziś z pewnością nic powiedzieć nie można, to tylko wiadomo, że ziemianie z kolei musieli strzedz zamków *). Każdy właściciel ziemi, musiał służyć w wojsku. Powiadają, że ta powinność przypadała na tych, co mieli dwie włoki. Takich ziemian w dawnéj Litwie wielkie mnóstwo było; wszyscy Żmudzi mieszkańce mieli przywileje swego kraju, gdzie nikt ani pańszczyzny, ani daniny nie znał, tylko każdy musiał mieć konia w pogotowiu na wojnę. Chociaż W. X. Litewscy przechodząc na Królów Polskich w r. 1387, 1501 i 1569, zastrzegli, że wszyscy posiadacze ziemi pozostaną podawnemu panami u siebie, czyli jak ich Statut z ruska nazywa *bojarami*, jednak nieznacznie zaprowadzali w Litwie porządki polskie, i zaczęli lud uciskać, a nawet wodzom jako poddanych, darowywać. Uprzednio bowiem, gdzie kto sobie wyrąbał kawał lasu, tam sobie i panowanie zakładał; będąc Królem swego *zaścianku*, musiał go bronić od nieprzyjaciela: późniéj zaś, gdy ziemianin nie pokazał prawa, od którego Księcia miał sobie nadanie, musiał poddanym zostać. O tym jasno z dzieł XV i XVI wieku. Gdy wszyscy obowiązani byli iść na wojnę, wojsko musiało być nader liczne; Prusacy wojując z Krzyżakami w r. 1250, wystawili 4,000 jazdy, i 40,000 piechoty; każdy powiat był w stanie dostarczyć do 500 jazdy, i do 5 lub 6,000 piechoty. Najmniéj ludny powiat mógł w potrzebie dostarczyć do 2,000 jazdy.

Wojując z Polakami i Moskwą, zwykle jedna okolica broniła siebie; często też kilka strażnictw zbierało się w jedno, podług ilości nieprzyjaciół **).

Wojsko Litwinów składało się z jazdy i piechoty; ostatnia pokrzepiała jazdę przy oblężeniach i w wielkich wyprawach. Jazdę używali do plądrowania i nagłego napadu, lub strzeżenia stanowisk i pikiet. O tym ślad w jednym pisarzu ruskim około r. 1180, który powiada, «iż w tym roku wielkie mnóstwo Litwinów w białe wory odzianych, na szybkich koniach, z długiemi drewnianemi trąbami, wpadło w okolice Mohylewa (*Mogopilio*)

---

*) Kojałowicz. *Hist. Lith.* T. I. p. 1. L. VII.

**) Dusburg P. III. c. 5.

i tam, to idąc w rozsyp, to nagle zbiegając się w gromady, wszystko splądrowali i z ogniem puścili *)."

Zdaje się, że powinność wystąpienia na wojnę konno, należała do bogatszych; innéj różnicy znaleść w pismach nie można.

O broni mówiliśmy wyżéj. Grubsze końce ***korbaczów*** nalewali ołowiem, dla silniejszego uderzenia; jedne były długie w stan człowieka, drugie krótsze, palantami zwane, mieli po 5 lub 6 za pasem zatkniętych. Za ujrzeniem nieprzyjaciela, piesi ciskali nań kamyki z proc, a jazda strzały, blisko podszedłszy, bili palantami **), nareście brali się do korbaczów, i nagle wpadali z siekierami, młotami, oraz oszczepami, na których osadzone były ostrza krzemienne. Tych oszczepów używali jeszcze w X wieku, gdyż Ś. Wojciech, wiarę w Prusiech opowiadający takim, przez kapłana pogańskiego, był przeszyty. Potém używali żelaznych obosiecznych mieczów.

Jazda miała sajdaki, rohatyny i tarcze z łozy plecione lub wyrzynane z desek; wojując z chrześcjanami miotali strzały zatrute c). Walczyła konno, siedząc na drewnianych siodłach, bez żelastwa i rzemyków, z drewnianemi strzemionami, jakowe i



dzis widzieć się dają w okolicy Krewa i Lubieszowa d). Pancerzy późniéj zaczęto używać, lecz gdy żelazo było drogie, to i broń żelazna rzadką. Dla tego żelazo z pługów odjąwszy, nabijali na drzewie rohatyn, osobliwie w bitwach pomorskich Żmudzinów z Niemcami. Ubożsi nadziewali niedźwiedzie lub

*) Karamzin. *Hist. ros. państwa.* T. III. str. 40.

**) Lukas Dawid. B. 13. 44.

c) Ciekawa rzecz, czémby Litwini zatruwali strzały w kraju, gdzie dotąd Botanika nie odkryła zjadliwych pierwiastków mogących szkodzić ludzkiemu ciału? To policzamy na karb gadulstwa starego Litwina.

d) ??... (*Red.*)

bawole skóry, a w niedostatku i tych, płócienne lub z rohoż pokrycia wdziewali, któremi i swoje konie przykrywali od deszczu i słoty, używając naprzemiany zamiast guń i płaszczów. Na taką odzież zwykle wdziewali biały trzynitny wór z rękawami.

Przed wyprawą, zebrawszy się do gromady, przez swych wieszczków czyli kapłanów, wróżyli o powodzeniu wojny. Nie poczynali nic bez porady Bogów, i dla tego złowiwszy pierwszego szpiega, przywiązywali go do drzewa, ale broń Boże, do dębu, i przeszywszy samo serce strzałą lub oszczepem, uważali: jeżeli krew potokiem płynęła, to miała się udać wyprawa, bo to było oznaką pomocy ze strony Bogów, i przeciwnie. Wąż, przesuwający się przed wojskiem, pomyślny koniec wróżył.

Stawając do bitwy, wojsko rozwijało wielką białą chorągiew, z tarczą na pół przedzieloną: górna połowa była żółtą, dolna siną: na żółtém polu korona naturalnie była wyrażoną, na dolnej w kierunku przewróconym. Niekiedy na chorągwi bywał niedźwiedź, na głowie którego siedział człowiek; u spodu był napis: «*Boże, w gniewie Twoim ukorz najezdzców.*"

Otwartego boju Litwini unikali. Ustępować, nie uważało się za hańbę: nigdy nie nacierali pierwsi; kryjąc się w krzakach i wąwozach nacierali z nienacka, znęcali do bagień i przepaści; do tego potrzeba było wielkiéj przebiegłości w wodzach.

Często zbierały się kupy Litwinów jedynie w celu plondrowania. Dowódzca zniszczywszy kraj ogniem i mieczem, wracał obciążony łupem *). Ten obyczaj zaczął się od czasu wtargnienia Niemców do Pomorza Żmudzkiego, którym przez zemstę odpłacali.

Schwytawszy Niemców Chrześcijan głowy im ścinali, lub ciężkiemi robotami do śmierci obarczali; jakoż przykuwszy do żarn, kazali je obracać; często nie mając ich gdzie podziać, zaprzedawali w niewolę Moskwie i Tatarom, wetując za braci, których Niemcy w Pomorzu zmuszali rowy kopać, bagna osuszać, warownie wznosić, do których taczkami musieli głazy dźwigać; ale wysilali się szczególniej na męczarnie księży Chrześcijańskich, jako łgarzy i oszustów, którzy byli przyczyną krwawych wojen i klęsk; lękali się przez nich podpaść takiemu losowi, jakiemu ulegli bracia w Prussiech, Semigalji, Kurlandji i nad Dźwiną (w Inflantach); złapawszy kapłana chrześcijańskiego, rozszczepiali wysokie drzewo, i włożywszy pomiędzy

*) Annal. monast. Olivien. p. 11.— Dusburg. p. 11. c. 3. p. 111. c. 72. 119.

rozczep szyję kapłana, tak trzymali, aż póki w konwulsjach życia nie zakończył *).

Zdobyte łupy na wojnie, zawsze na cztery części rozdzielali: najlepszą ofiarowali Bogóm, drugą Krywe-Krywejcie, albo kunigasowi, jego sługóm i kapłanóm; trzecią brali wojownicy, a czwarta dostawała się krewnym tych, co na wojnie polegli **), a męztwem i krwią okupili wolność ojczyzny e).

Wydawca Rocznika Literackiego.



*) Dusburg. P. 111. c. 85.

**) Lukas Dawid. 13. s. 46.

e) Dla dopełnienia tego cząstkowego obrazu obyczajów przodków na-

szych, dodajemy tu wypis z dzieła zasłużonego historyka naszego P. *Teodora Narbutta* p. t. *Dzieje Narodu Litewskiego w krótkości zebrane*,— który dopełni pojęcia o dawnéj Litwie.

„Obaczmyż teraz niektóre rysy narodowe z wieków, któreśmy prędkim oka rzutem przebiegli. Lud się dzielił na klassy rozmaitego znaczenia i powagi, podług stanów. Stan kapłański trzymał pierwszeństwo między innemi. Drugi stan był xiążąt rodowitych, pochodzących z dawnych familii, odznaczonych dostatkami i zasługą, tych u Prussów zwano *Rixe*, u Litwy *Kunigas*, u Łotwy *Kungs*. Z nich były rodziny xiążąt panujących. Trzeci stan Rycerstwo, Szlachta, u Prussów *Supany*, u Litwy i Łotwy *Bajoras*. Oni posiadali dziedziczne obszary ziem i mieli swoich wazalów, to jest za umową na ich ziemiach ludzi wolnych osiadłych. Czwarty stan, rolnicy niemający prawa wolnego szafowania własnością nieruchomą, płacący daniny za ziemię, na któréj mieszkali. Piąty stan niewolnicy, których osoba była własnością ich panów, ci nie mogli mieć własności nieruchoméj, pochodzili bowiem z brańśtwa cudzo-ziemnego, albo z zaprzedania się osób wolnych w niewolnictwo. Klassy podług znaczenia, 1) Arcykapłan, 2) xiążę, 3) rycerz, 4) Kapłan prowincjonalny *Krewe*, 5) lud wolny, ofiarnicy, mnisi *Sigenotte*, kapłani różnych bogów i obrządków, 6) lud pracą rąk żyjący, 7) niewolnicy.

Cechy fizjognomiczne Litewskiego ludu: Twarz biała, rumiana, ściągła; włos kasztanowaty, w dziecińświe światły, perłowy niekiedy; oczy pełne, modre, lub niebieskie; broda gęsto zarosła; uroda spora, często wyższa nad zwyczajną; zwinny ruch ciała i szykowny; wiek długi.

Kształt rządu: Od najdawniejszych czasów gmino-władny, ztąd wszelkie prawa były uchwałą ludu, albo przyjętą z ust prawodawców, albo postanowioną na zgromadzeniach. Arcykapłan uważany za organ bogów, był pierwszym prawodawcą. Kapłani sędziami ludu, a xiążęta stróżami porządku wewnętrznego i wodzami na wojnie.

Charakter ludu: Zamiłowanie narodowości, swobody, zwyczajów uświęconych wiekami. Niecierpliwi w uległości, do któréj tylko wola bogów skłaniała. Wojnę prowadzić umieli z odwagą, przezornością i fortelem. Mściwość wywierali zawzięcie za podeptaną ludzkość. W postanowieniach twardzi, lecz rzetelni w słowie. Do czci bogów przywiązani i zawsze serc do pobożności skłonnych. W wojnie odpornéj wszystko poświęcić gotowi dla utrzymania swéj niepodległości. Gościnni i dla cudzoziemców uprzejmi.

Prawa kardynalne i najdawniejsze te były. I. Bogów obcych nieprzyjmować do kraju. II. Krewe-Krewejta uważać za organ woli bogów. III. Bogów czcić, gdyż oni są dawcami wszelkiego dobra; nadgradzają cnoty, karzą zbrodnie w przyszłém życiu. IV. Kto z cudzoziemców szanuje nasze bogi, temu sprzyjać; kto przeciwnie, tego mieć

za nieprzyjaciela. V. Można mieć trzy żony: ale pierwsza być ma z rodu i pokolenia narodowego, i ta starszą jest w domu. VI. Obarczonemu niemocą samemu, lub takie mając potomstwo, wolno poświęcić się Bogóm, lub dzieci przez spalenie na stosie. VII. Nawet przez nabożeństwo, wolno to na zdrowym ciele dopełnić. VIII. Łamiących wiarę małżeńską spalić, popiół rozrzucić na drodze publicznej, a potomstwo niezdatne na Wejdalotów. IX. Żonę nieposłuszną mąż może spalić. X. Kto dziewicę lub uczciwą białogłowę zesromoci, skrzywdzona może go na spalenie wskazać. XI. Kto pannę uwiedzie, powinien ją wziąć za żonę. Gdy zaś ma żon liczbę prawem przepisaną, psami być ma zaszczwan. XII. Kto ziomka zabije, oddany ma być na wolą krewnych zabitego, ci mogą go życiem darować, lub zabić. XIII. Złodzieja raz pierwszy rózgami obić, drugi raz kradnącego, kijmi, trzeci raz, psom oddać na pożarcie. XIV. Nikt nikogo do pracy zmuszać niepowinien, nad miarę zobopólnéj umowy. XV. Cechą szlachectwa są czyny rycerskie. XVI. Po śmierci żony żałobę przez jedną porę odbywszy, wolno pojąć dziewicę. Za jéj zaś dziewictwo koguta i kurę spalić w ofierze bogóm. XVII. Wdowa bezdzietna może się postarać o potomstwo, a gdy się przekona o swéj niepłodności, Wejdalotką zostać powinna. Te były prawa Wejdawuta i Brutena. Inne prawa, które podanie przypisało Ermie synowéj Wejdawuta: Żonę nieprzystojnie sprawującą się, z przywiązanym kamieniem ciężkim do szyi obwodzić ode wsi do wsi, aż Krewe da rozgrzeszenie. Żona uderzająca męża, nos traci i powagę pani domu. Jeżeli młoda żona brzydkich się wyrażeń na męża dopuści, ociąć rózgami, a starą, brzydką spalić wolno. Inne prawa tejże Ermy były o panieństwie i sposoby tego rozpoznawania. Mieli praw nie mało przyjętych od sąsiad, szczególnie Skandynawów i Sławian Wenedyckich. Bieg sądownictwa był w ręku Krewów, późniéj wielcy xiążęta wyższą sprawiedliwość sobie przywłaszczyli, zwyczaje przecież dawne były zawsze wskazówką. Pojedynki były we zwyczaju. Przysięga świętością. Podział czasu prawami upoważniał się. Płeć słaba miała poważenie, dalekie od niewolnictwa wschodniego i u starożytnych południowéj Europy narodów, znanego.

Sposób wojowania był zwyczajny dawnych wieków narodóm. Stan rycerski szczególnie się rzemiosłem wojowniczém trudnił. Budowano twierdze, zapuszczano lasy i robiono błota nieprzebytemi ze strony napadów nieprzyjaznych sąsiad. W odpornéj wojnie rozmaite były hasła i znaki zwołujące obrońców kraju. W razie zaczepnéj wojny, radzono się bogów i starszych w narodzie. Wojsko było konne i piesze. Toż przed wydaniem bitwy, nawet wróżby rozmaite do rady wchodziły. Otwartéj bitwy radzi unikali, przenosząc urywkowe walki i fortele wojenne. W warowniach dzielnie i umiejętnie obronę wytrzymywali. Obwarowania obozów robili doskonale. Machiny wojenne, pancerze i oręże znane w tamtoczesnéj Europie, mieli u siebie i dobrze z niemi postępować

umieli. Mieli chorągwie, sztandary, buńczuki, kotły, bębny, trąby.

Rolnictwo jako jedyna gałęź wyżywienia się, było w szczególném poważeniu i udoskonaleniu, tak, że każda strona kraju, dotąd ma swój własny system narzędzi rolniczych, najstosowniejszy do natury ziemi.

Myślistwo nie małym przemysłem i nie mało zyskownem było. Z sieciami, z łukiem, z psami, z sokołami.

Pszczelnictwo było przedmiotem wielkiego znaczenia, ponieważ i napoje i zaprawa potraw i światło w domach, z tego źródła miały opatrzenie.

Żeglugę morską nadbrzeżne ludy znały brzegową i rybacką, rzadko są ślady dalszych przedsięwzięć; na rzekach były statki i dziś znajome.

Handel miał powagę i opiekę praw cywilnych, wojennych i religijnych. Wszelako różnica wiary i niegościnność sąsiadów, zewnętrzny handel tamując, w ręce cudzoziemców przenosiła. Ztąd ochota mała do przedsięwzięć handlowych w charakter ludu weszła.

Bogactwo było w chleba i trzod dostatku, a kamienie drogie, nabytek cudzoziemski, jako przedmiot zbytku się uważały. Wartość nawet monet zawsze od wartości wewnętrznej metalu zależała.

Rabunki: w cudzych krajach najwięcej ubiegano się za brańców i bydląt nabyciem. W domu własność każdego była święcie strzeżoną, złodzieja karano srodze.

Ubiór Litwinów starożytnych był prosty: mężczyzni szérokie kalesony, koszulę, kożuch lub płaszcz okrągły bez rękaw, wyżsi kaftany opięte; Kobiety spodnice, fartuchy, gorsety, płachty na jednem ramieniu spięte, mieli w użyciu. Rozmaite piękrzydła z metalu, do przepychu należały.

Budowle mieli z drzewa, jako w kraju w lasy obfitującym, a nie mającym ciosowych kamieni, wapno nawet nie wszędzie się znajduje i nieobficie. Heruli przynieśli z południa podobno pierwsi sztukę murowania, chociaż tego ślady ledwo spamiętane mamy. Później od Niemców z Inflant, a najpóźniej od Rusinów południowych przejęto murów stawianie.

Łaźni używanie było powszechnem. Napoje upajające znano zdawna, mleko kobyle i z niego mocny napój. Miody sycone rozmaite, piwo. Mężczyzni i kobiety zarówno mocno upijali się. Chleba dobrego pieczenie znali z dawnych wieków. Pokarmy źwierzęce górowały przed jarzynami, bo mało jarzyn znali.

We względzie miłości bliźniego, ludzkości uprzejmej, gościnności, skromności w mowie, wszyscy dziejopisowie oddają sprawiedli-

wość Litwinóm. Życie czynne było świętym zwyczajem. Żebraków, leniwców, kaleków włóczących się nieznano. Gościa, przechodnia, uprzejmie przyjmowano; na ten cel były zwyczaje i obrzędy mnogie; między rodakiem a cudzoziemcem, różnicy w tej mierze nieczyniono. Posłańców, kupców, podróżnych strzegła bezpieczeństwa bogów osóbnych opieka.

Znajomość pisma przyjść musiała ze wschodu, lecz była wielką rzadkością i udziałem zapewne wyższych kapłanów. Doszły nas tego zabytki choć szczupłe w napisach i runach litewskich."



ANTONI EDWARD ODYNIEC.

I.

WIERSZ NA PAROSTATKU.

(W Imionniku C. S.)

Wre, szumi, huczy — para wybucha,
Dzwonek zadzwonił — paropływ płynie.
Chciwie na morskie patrząc głębinie,
Myślę o pięknej Pannie Celinie—
To jest, o wierszach do jej sztambucha.

O wszystkie Muzy! o Apollinie!
Dziś, dziś wieszczego dajcie mi ducha:
Niech jak z wód perła, z serca wypłynie
Rym, coby pięknej Pannie Celinie
Lśnił jako perła śród jej sztambucha.

Lecz się kaprysza piękne Boginie,
I dumny Febus prośb mych nie słucha.—
A tyż tu po co?— Znam cię po minie!—
Tak patrzysz z oczu Pannie Celinie,
Tak mierzysz z pierwszej kartki sztambucha *).

*) Rysunek *Orłowskiego.*

Stój, stój! nie strzelaj!—grot twój nie minie,
A wiesz, że ranny gołąb nie grucha.
Precz! ja dziś muszę myśleć jedynie—
O! nie o pięknéj Pannie Celinie,
Ale o wierszach do jéj sztambucha.

Bo jutro— w drogę!— w świat, nie w pustynie—
Skąd więc ta w sercu tęsknota głucha?—
Tam się duch wzniesie, tam myśl rozwinie!...
Tak!.... a myśl o mnie w Pannie Celinie
Zniknie, jak wiersz mój na dnie sztambucha!

Lecz ja!— czy pójdę, gdzie Elba płynie,
Gdzie Mont-Blanc krzepnie, lub Wezuw bucha,
Ilekroć serce na Północ skinie,
Pamięć o pięknéj Pannie Celinie
Północną Zorzą zalśni dla ducha.

Petersburg, w Maju 1829 r.

II.

MÓJ KARDYNAŁ.

(Żarcik z okoliczności, w Imionniku M. Ł.)

Każdy człowiek musi przecie
Mieć cel dumy na tym świecie.
Otoż moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć Patronem Kardynała.

Wiecież kto jest mój Kardynał?
Ni Watykan, ni Kwirynał,
Nie ozdobił go sygnetem,
Nie przyodział fioletem,
Nie opasał paliuszem,
Nie uwieńczył kapeluszem.

Lecz Ten, który róży wdzięki,
Lecz Ten, który twarz jutrzenki,
Lecz Ten, który w głębi fali
Umalował pierś korali,
Tego dłoń w szkarłat odziała
Lice mego Kardynała.

Chociaż dla ludu pocieszeń,
Błogosławieństw i rozgrzeszeń
Nie rozdziela na wsze strony:
Kto go zna— błogosławiony!
Sam jego wzrok i uśmiechy
Wypędzają z myśli grzechy.
I choć na nóżce święcony
Nie lśni trzewiczek czerwony,
Każdy wierny żądzą pała,
Klęknąć u stóp Kardynała.

Mój Kardynał miejsc nie bierze
W Kapitule, ni w Kamerze,
Ni śród Watykańskich chorów,
Nie śpiewa mszy, ni nieszporów.
Kapitułę jego składa
Jasnych Serafów gromada;
W ich on chorze nieustanne
Nócił hymny i Hozannę,
Nim go Święty Ojciec swiata
Posłał do nas za Legata,
By na ziemi mój Kardynał
Ludziom Niebo przypominał.

O! gdybyż on chciał, jak może,
Umieścić mię na swym dworze,
W jakimkolwiekbądź honorze,
Byle nie daleko siebie:
Byłbym już jak gdyby w Niebie.
Bo choć on, jak życzę, będzie
Sto lat bawił na urzędzie;
Ja zaś wkrótce, jak snać muszę,
Kuryerem w podróż ruszę;

7

Ale nim się przez komorę
Z pakiem grzechów mych przebiorę;
Nim odbędę przepisany
Czas Czyscowej kwarantanny;
Może da Bóg, że u bramy
Rajskiej, w sam czas się spotkamy.
Wtenczas, choć tam tłok nieźmierny,
Choćby surowy odźwierny,
Święty Piotr, czy Święty Michał,
Po sto razy mię odpychał:
Pójdę naprzód z sercem śmiałem,
Tuż za moim Kardynałem.
Raj mię pewno nie ominie.
O! widziałem ja w Syxtynie *),
Nikt tym wejścia nie zagrodził,
Kto za Kardynałem wchodził.

Ztąd więc moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Jest być sługą Kardynała.

Rzym. w Kwietniu 1830 r.

XXX.

ECHO W ALPACH.

(W Imionniku H. A. z powodu przełożenia przez nią po włosku jednych wierszy Autora).

Alpejski Pasterz, gdy pieśń nieuczoną
Na prostym flecie zanóci:
Wiatry jéj dźwiękiem po dolinach wioną,
Aż z gór dalekich, cichszą, złagodzoną,
Echo ku niemu powróci.

*) Tak się zowie kaplica Papieżka w Pałacu Watykańskim, założona przez Papieża Syxtusa V., gdzie się większa część obrzędów Wielkotygodniowych odbywa.

Brzmiący z powietrza ton, chociaż znajomy,
Tyle nowego ma wdzięku:
Że mu się zdaje: Anioł niewidomy
Nad skał dzikiemi przelatując złomy,
Westchnienie przydał do dźwięku.

„Mojaż to piosnka? czy echo mię ludzi?"—
Zawoła Pasterz z pociechą.
„O! niech mych pieśni nie słyszy nikt z ludzi,
„Niech tylko każda — niech jedna obudzi
Raz jeszcze lube tak Echo!"—

Genewa, we Wrześniu 1830 r.

TĘSKNOTA.

Elegja

TOMASZA ZANA.

Czemuż siedząc śród kwiatów pod temi drzewami,
Raz się zalewam łzami,
Drugi raz wzdycham; znowu czoło zasmucone
W różną obracam stronę?
Czyliż w téj okolicy, gdziem rósł, gdziem chowany,
Jakie widzę przemiany?
Taż sama wieś, ten domek, co był moim światem,
Łąka barwiona kwiatem,
Tenże gaj, sady, drzewa, plenne kłosem niwy,
Gdziem ja nieuk szczęśliwy,
Młode i niemyślane przepędzając chwile,
Złociste łowił motyle.
Tu garbaty ślimaczek spotkany śród drogi,
Proszone wytykał rogi;
Tu nieobaczny chrzobąszcz, otrząśniony z brzozy,
Dźwigał młynki i wozy;

Chyba mię ztąd spędziła, bawiącego z wdziękiem,
Pszczółka straszliwym brzękiem.
Tu w strumieniu, co zwolna toczy nurty małe,
Niebo widziałem całe.
Jakże głębokość jego zdała się bez granic!
Nie wstąpię nóżką za nic,
Aż kijkiem dna zmiarkuję; lecz napróżno mierzę,
Oczóm złudzonym wierzę.
A tu słowiczek przerwał moje zadumienie,
Przez wdzięczne, słodkie pienie...
Gdzież ten wiek, gdzie samotny, a szczęśliwy byłem?
Niestety!.. już przeżyłem!...
Nie masz mi już rodzeństwa i Matki kochanéj,
Którym w chwili porannéj,
Jagodki i kwiateczki małą rwałem ręką.
Uśmiech był mi podzięką...
Dziś ile razy okiem na wdzięki wsi rzucę,
Tyle razy się smucę.
Tyle żałośnych wspomnień w sercu mém doznaję.
Wszystkiego tu nie staje!...



WNĘTRZE GORNICY.



CHATKA SYBIRSKA

P. Tomaszowéj Bułhakowéj, w Tusinlu.

Lit. J. Oziemblowskiego.

LISTY O SYBERJI.

Z KORRESPONDENCJI

P. Teressy z Wierzbickich Tomaszowéj Bułhakowéj,

DO RODZINY *).

P. ANTONINIE Z SULISTROWSKICH ŚNIADECKIEJ,
POŚWIĘCA WYDAWCA.

19 Sierpnia, 1839, z *Ekaterynburga*, 567 wiorst od *Tobolska*.

PRZYJECHAWSZY do Ekaterynburga, po dwudniowéj podróży z 14 na 15 w nocy, dowiedziałyśmy się, że Jenerał z Półkownikiem wyjechali oglądać zawody, (czyli rękodzielnie) i lada chwila mają wrócić. Włoch Fraut, o którym Pan Kozakie-

*) Udzielam tu tylko krótkich wyciągów, z téj pełnéj interessu korrespondencji. Posiadam znaczny zbiór jéj listów do rodziny, który już otrzymał pozwolenie cenzury, i tylko oczekuję niektórych

wicz pisał, że mu dał Europejski obiad, przybył natychmiast z uwiadomieniem, że Jenerał kazał, jak przybędziemy, ustąpić nam swoje mieszkanie i prosić, żebyśmy na niego czekały. Pierwszego nieprzyjęłyśmy, drugie było koniecznem. Kazałyśmy tymczasem obejrzeć i naprawić nasze pojazdy, bo w tutejszem mieście najdoskonalsi rzemieślnicy, i najlepszy materjał; i znowu czterdzieście rubli za moją powózkę zapłacić musiałam.

Nakoniec 18 po południu przybyli oba ci Panowie, i raczyli tejże godziny nas odwiedzić. Jenerał oświadczył, że ciągle będąc w drodze, niemógł jeszcze oddać listów Pani K... jej mężowi, i wszystkie jej wrócił; dodał, że tenże jest w Tomskiej gubernji, a że o Tomaszu niepamięta, lecz ma u siebie w spisie. Pokazałyśmy mu swoje paszporta, i ja uwiadomiłam go, że między nami jest różnica: ponieważ biorąc ślub *po dekrecie*, zostałam pozbawioną praw szlachectwa: odpowiedział, że tak niejest; że szlachcianka zaślubiając nieszlachcica, przywilejów swoich nie traci: i że to wszystko jedno, czy była pierwej żoną, czy już po wyroku nią została. Jak tylko życzy podzielać los męża, poddaje się tymże, co i on ustawom, i do śmierci jego, wrócić nie może; że jej listy przechodzić będą drogą Rządową, ale zresztą ma prawo, podobnie jak i mąż odbierać wszelkie posyłki od rodziny, jako to: odzież, sprzęty, książki, narzędzia muzyczne, nawet wymysły zbytku, prócz pereł i brylantów; że z tego wszystkiego najdrobniejsza rzecz nie zginie. Z pieniędzy zaś po tysiąc rubli assygnacyjnych na osobę do roku przysyłać wolno; coby więcej było, Rząd zatrzymuje u siebie. Kto żadnego dostarczenia niema, daje się mu piętnaście dziesięcin ziemi, (dziesięcina ma 2,400 w kwadrat sążni), i co rocznie dwieście rubli assygnacyjnych. Piętnaście dziesięcin wiele,

---

jeszcze dopełnień miejsc przerwanych, aby utworzywszy pewną całość, wydać je w osobnym tomie. Czytając te kilka listów pisanych pobieżnie i nie przeznaczonych do druku, któż nie przyzna, że mają ten żywy interes, jaki się nie wzbudzi żadną sztuką. Czytając je, jesteśmy obecni wszystkim poruszeniom, wszystkim wrażeniom autorki, podzielamy jej wszystkie szlachetne uczucia,— razem z nią czujem, razem cieszym się nadzieją i płaczem, razem tęsknim do swoich.... podzielamy trudne położenie jej towarzyszki w Permie.... unosimy się nad malowniczością widoków, które bujna jej wyobraźnia po drodze chwyta razem uspakajamy się tą dziwnie piękną rezygnacją chrześcjańską, która we wszystkich jej listach jakąś błogość rozlewa. (*Wyd.*)

(jak powiadają) na Syberji robią dochodu: pomoc ta jednak odmawia się tym podobno, o których wiedzą, że zostawili majątki w kraju. Ten ostatni artykuł przytoczył mi Jenerał, kiedy powiedziałam, że nam nic dosyłać nie będą.

— «Wiemy, powiedział, że mąż Pani miał fundusz.” Tłumaczyłam mu, że ten fundusz niewielki i zostawiony dla dzieci; ale to od *posilennego prykazu* i Wojennego Gubernatora nie od niego zależy. Co do przykrości osobistych, powiedział, że żadnéj mieć niebędziemy, że to jest zakazane prawem; zresztą lud w najwyższym stopniu uprzejmy i gościnny na Syberji. Pani K... powiedziała, że ma paszport dozwalający jéj powrótu; że zatém spodziewa się, iż od powszechnego prawa wyjętą będzie. Półkownik i Jenerał oświadczyli, że się dokładnie wywiedzą o tém; i pożegnali nas do jutra. W pół godziny przysłali do mnie bilecik, że Tomasz razem z P. Kozakiewiczem wyprawiony 12 Maja z Tobolska do Tomskiéj gubernji, w jakie miejsce?— jeszcze niewiadomo. Nazajutrz rano nasi opiekunowie stawili się znowu, i po przygotowawczym wstępie powiedzieli wyraźnie, że paszport Pani K.... jéj nie osłoni, że powszechnego prawa nikt zmienić nie zdoła; przytoczyli przykłady *Ks. Trubeckiéj* i innych wielkich Pań Rossyjskich, które przy największych dochodach, na tysiącu rubli przestają, i raz przybywszy, nie mogą przejeżdzać się tu i ówdzie, muszą aż do śmierci mężów, pozostać lub czekać ułaskawienia. Toż Pani *Le Dantu*, któréj córka, podobnie jak ja Tomasza, zaślubiła Pana *Iwaszow*, ale już po kilkoletnim jego mieszkaniu na Syberji. Matka przyjechała do niéj na mieszkanie, i już gdyby chciała, wrócić nie może, chyba wraz z córką i zięciem lub w przypadku śmierci tego ostatniego; nawet niewolno jéj odwiedzić syna będącego w służbie wojskowéj w drugiéj gubernji. Pani Kozakiewiczowa zmartwiła się niesłychanie: jechać i poświęcać syna, którego ma z sobą, (chociażby ten i mógł kiedy powrócić), wyrzekać się na zawsze córek niepodobna, a wrócić się, kiedy już tak blizko męża było! napróżno zrobić kilka tysięcy wiorst drogi; stracić z niewielkiego funduszu więcéj jak dwa tysięce rubli assygnacyjnych... to okropnie! zaczęła płakać, dostała spazmów konwulsyjnych. Jenerał posłał swoje konie po doktora; a sam widząc, że się nieuspakaja, wyszedł przyrzekając, że późniéj będzie. Jakoż przyjechał po południu (zawsze z Półkownikiem), powiedział, że jedzie nazajutrz do Tobolska, tam się dowie jeszcze

pewniéj o paszporcie Pani Kozakiewiczowéj, o miejscu pobytu Tomasza i nas zawiadomi. Ale na to dni dziesięc czekać trzeba. I ja z P. Rypińskim tę kwarantannę wysiedzieć musiemy, a przez ten czas jużbym była przy Tomaszu. Jenerał dowiedziawszy się że ja niémam służącego i pojazdu, bez żadnéj mojéj proźby oświadczył, że mi daje aż do miejsca żandarma i swój *tarantas* (jest to rodzaj pojazdów powszechnie używanych od Niżnego aż do Kamczatki), bardzo wygodny do drogi, bo nietrzęsie; pakowny i tak prostego składu, że każdy chłop w razie zepsucia, naprawić go potrafi. Na dwóch grubych drągach kilka arszynów długości, osadza się pośrodku buda kryta, najczęściéj z fordeklami i wymateracowana jak kocz; z tyłu i z przodu kładą się walizy, kufry, paki i t. p. Za 250 rubli porządny tarantas kupić można (mnie prawie tyle moja powózka kosztuje). Z tego jednego czynu można sobie wyobrazić, jak jest dobry i delikatny Jenerał. Oprócz tego obiecał mi pisać do Jenerał-gubernatora i przenieść Tomasza na lepsze miejsce, jeżeli to, w którém teraz zostaje, nam sie niepodoba. Widzicie zatém, że przyjazd żon, na cóś się mężom przydać może!...

Dziś rano tutejszy strapczy i prokuror górny, polak P. *Bykowski* przybył, ofiarując nam swoje usługi; wesoły, trzpiotowaty; jeden z tych ludzi, co to nikomu i niczemu niewierząc, śmieją się ze wszystkiego; tém jest w naszém położeniu użytecznym, że płakać przy nim nie można, profanacją byłoby mówić mu o głębokich uczuciach; on z nich żartuje i w dziwny sposób pocieszą!...: Półkownik przyjechał, jeszcze przenosząc nam pożegnanie Jenerała i zapytując czy niemamy nowych dla niego poleceń; oświadczył, że policmejster będzie się u nas prezentować i załatwi nasze potrzeby, jeżeli jakie mieć będziemy; oraz prosił, żebyśmy się tego dnia jeszcze przeniosły do jego mieszkania u Włocha Fraut, gdzie jako we środku miasta, weseléj nam będzie; bo dotąd stojemy na przedmieściu u kupca *Kuźniecowa*....

III.

20 Augusta, *Ekaterinburg*.

....Opowiem wam dopiero całą podróż począwszy od Kazania; gdyż pisząc ostatnią razą, wiele szczegółów ominąłam, w nie-

których może się powtórzę, ale pochlebiam sobie, że tém was nie znudzę. Droga począwszy od Niżnego górzysta; od Kazania poczty utrzymywane przez Tatarów, nigdzie podróżny żadnej przykrości niema, gdyż to jest lud bardzo poczciwy i porządny. Nigdzie nie wymagali, żeby płacić za trzy konie pod powózkę, jak w Moskiewskiéj i Włodzimierskiéj gubernijach; nie zatrzymywali ani chwili, a wieźli najdoskonaléj. *Tatarzy* i *Wotiaki*, (bo ta część prowincji przez owe dwa pokolenia jest osiadłą) posiadają własne grunta i tylko do skarbu płacą podatek; trudnią się rolnictwem i handlem,— ale niemają przebiegłości Rossyjskiego wieśniaka; najemnych furmanów u nich niéma i dla tego mniéj widać próżniaków; rzemiosłami się też nie trudnią; w każdéj ich wsi są kowale, ślosarze i cieśle Rossijanie. Domy ich są mniéj, że tak powiém, wytworne jak ruskich; ale zawsze o bardzo wiele przewyższają Litewskie chaty. Pod każdym względem stan naszych włościan nie może iść w porównanie z bytem klassy rolniczéj Wielko-Rossyjskich gubernji; od Smoleńska do Ekaterynburga ile mi się zdarzyło widzieć wsi, w każdéj i u każdego mieszkańca można znaleść nie tylko wyborny chleb żytni, ale i pszenny biały. Przy każdéj wsi Tatarskiéj jest Meczet, w bliskości gaju służącego za smętarz (w całéj Rossji powszechnie i Chrześcijańskie mogiły są zasadzone drzewami). Ubior Tatarów składa się, z krótkiego kaftana spodniego, z długiéj wierzchniéj sukni i mycki haftowanéj jedwabiem. Wotiaki podobnie jak *Czuwasy* i *Czeremisy* mieszkający po tamtéj stronie Kazania są panującego wyznania; ale jak mi jeden pisarz pocztowy opowiadał, zachowują jeszcze tajemnie niektóre obrządki pogańskie. Biją bydło na ofiary bóstwóm swoich przodków. Te trzy pokolenia różnią się mową i ubiorem i nie cierpią się wzajemnie. Zniewagą byłoby nazwać *Czuwasza Czeremisem* lub *Wotiakiem* i wzajemnie. Wotiaki noszą się podobnie jak Litewscy kmiecie w szarych sukmanach, łapciach i baranich czapkach. Kobiety mężatki, przywiązują na głowę rogi bydlęce, na których rozwieszają chustkę kolorową w tył spuszczoną, a po obu stronach krowie ogony. Oto estetyka *Czuwaska !!..*

O 370 wiorst od Kazania w *Czemoszarskiéj*, pisarz zrobił nam przyjemność mówiąc po polsku, bo i sam Polak *Jackowski*, rodem z Podola, mówił o Tomaszu, że był zdrów, pokazywał, gdzie on siedział.... Właśnie w téj chwili przed wystawą

zatrzymała się powózka; wyskoczył żandarm, za nim młodzieniec w kajdanach,— poznałam go.... Pamiętacie com pisała, że w Bogorodsku gdzie nas dognał *Jussewicz*, miałam przyjemność poznać jeszcze jednego rodaka i zacną Rossyjską rodzinę; teraz mogę powiedzieć jak to było. Słysząc od Wiaźmy, że jednego z wygnańców wieziono bardzo chorego, rospytywałam się o niego na każdéj stacji, sądząc, że to może Tomasz. W Bogorodzku pisarz poczciwy, jak się zdaje, i któremu miałam *szczęście* podobać się, odkrył mi pod sekretem, że w tamtejszym szpitalu znajduje się jeden Polak zatrzymany oddawna, ponieważ ciężko chorował.

— Czy niemogłabym go widzieć?— zapytałam.

— «O nie! odpowiedział, zamknięty jest pod strażą, nikomu dójść do niego nie wolno, ale ja się dowiem, kto on jest i powiém Pani.

Za kilka chwil powrócił z uwiadomieniem, że ów chory jest niejaki *Olszewski*, młodzieniec dwódziesto-letni z Królestwa Polskiego, skazany na lat pięć do kopalni.

— To być nie może, żebym go nie widziała! dla nieszczęśliwego w takiém położeniu jakażby to była pociecha, widzieć kogoś z rodzinnéj ziemi, słyszeć ojczystą mowę i znaleść współczującą istotę.”

— Poszłam pod szpital, moi towarzysze chcieli mnie wyprzedzić, ale nie trafili i w inną udali się stronę; nic mnie niepowiedzieli, mniemając, że sami tylko skorzystają z zebranych przezemnie wiadomości. W szpitalu od ulicy przez otwarte okna postrzegłam wszystkie sale puste, weszłam na dziedziniec; staruszka i mężczyzna służący, szpitalni, zapytali uprzejmie, czego żądam?...

— «Widzieć chorych i dać im jałmużnę, odrzekłam.

— «Poprzenosili większą część do turmy, ponieważ teraz malują pokoje,— odpowiedziała staruszka, jest tylko kilku, tych Pani widzieć może. Weszłam, pokazali mi kobiétę, i kilku sołdatów, mówiąc, że więcéj chorych niéma.

— «To nie był tu przywieziony z daleka?

— «Nie, nie był i niéma żadnego.

— «A ja słyszałam że jest, powiedziałam.

— «O! jest, ale to nie tutaj.”

Wsunęłam *grzywiennik* w rękę posługaczowi; poszedł naprzód, ja za nim, zaglądając w każde okno; nakoniec zatrzymał się, a ia patrzyłam na kierunek jego oczu i w załomie mu-

ru postrzegłam żelazną kratę, zasłonioną firanką; za tą przez szparę ujrzałam bladego młodzieńca w szlafroku.—Chciałam zbliżyć się, ale mnie mój przewodnik zaczął ciągnąć za suknię, błagając, żebym się wróciła, do czego mnie więcej, niż jego nalegania, skłonił widok żołnierzy patrzących z drugiego okna.

— Ale może tu jest jaki oficer, któryby mógł pozwolić widzieć się?— zapytałam.

— «Oficera niema, powiedziała mi staruszka, która nadeszła, ale niech Pani pójdzie do Sztab-lekarza, on pozwolić może, i pewno to zrobi, gdyż najlepszy człowiek w świecie; ja panią do niego zaprowadzę. Przyszedłszy znalazłam staruszka siedzącego w szlafroku nad papierami. Z góry zapytałam go, czy może rozmawiać po francuzku lub po polsku? powiedział, że tylko po rusku. Musiałam zatem jak mogłam w tym języku wytłómaczyć mu powód przybycia, po chwili namysłu zgodził się na moje żądanie i tylko za warunek położył grzeczną prożbę, żebym była u niego *na herbacie*... prezentował mi swoje córki i powiedział, że jest rodem z Ukrainy, i że się nazywa ***Ostrogórski***. Zaprowadził mnie do więzienia; kiedym weszła i przemówiła po polsku, więzień zadrżał ze wzruszenia; poczciwy starzec zostawił nas samych. Rozmawialiśmy z godzinę i kommunikowaliśmy sobie wzajemnie historję naszych nieszczęść.....

. . . .

2. Września.

Dziś w nocy jakem się spodziewała, wrócił Półkownik; rano przyniesiono mu z poczty list Jenerała, który pisze, że w żaden sposób Pani Kozakiewiczowa wróciéby nie mogła. W jakie miejsce Tomasz i Pan Kozakiewicz zostali przeznaczeni, jeszcze do Tobolska wiadomość nieprzyszła. I ja zupełnie darmo siedziałam blisko trzech tygodni w Ekaterynburgu. W ***Omsku*** w kancelarji Wojennego Gubernatora dowiem się o Tomaszu, tam dojadę z Panem Rypińskim, a ztamtąd do Tomska będę miała żandarma, jeżeli do Tomska jechać wypadnie. Jenerał zawsze upewnia, że przemieści nas, gdzie będziemy ży-

czyli. W Bogu nadzieja, że wszystko dobrze pójdzie, chociaż po opłaceniu kosztów tutejszego pobytu nie więcéj nad 350 rub. assyg. mi zostanie.... Cóżkolwiek bądź, ostatnim kawałkiem chleba z potrzebniejszym dzielić się będę, tak jak moi przyjaciele Permscy podzielili się ze mną, dowiedziawszy się, że ja tak małe mam resursa; ofiarowali przez *Dobkiewicza* 150 rub. ass. Przyjęłam, bo braterskiém sercem dane były; i teraz-to będę się oszczędzać, żebym mogła je zebrać z własnéj pracy i oddać. O! gdyby mi Bóg pobłogosławił, każdy grosz mi udzielony wróciłby w ręce właściciela, albo też dług ten wypłaciłabym nieszczęśliwym i mam nadzieję, że kiedyś przyjdzie do tego; nie troszczcie się Najdrożsi Rodzice, przy pracy i wytrwałości Bóg mnie nie opuści, już tyle razy cudownéj Jego doznałam opieki. On jeszcze wraz z Tomaszem pozwoli mnie was uścisnąć, wam cieszyć się mojém szczęściem. Bądźcie zdrowi! polecam się waszemu błogosławieństwu, was i całą rodzinę opiece Ojca Niebieskiego!

Posyłam na pamiątkę kawałek rudy żelaznéj i kilka Syberyjskich kamieni; chciałam z rozmaitych Uralskich głazów zrobić ramy do mego portretu i wam je posłać, ale na moją kieszeń trochę za drogie......

(Dotąd Listy z drogi).

IV.

20. Kwietnia 1840. *Tiusiul.*

Zdziwicie się zapewna, Najdrożsi Rodzice, że dom, którego załączam wizerunek, jest już moją własnością: mogliżcież wnosić, że tak prędko zostanę dziedziczką w górach Ałtaju, *choziajką* Sybirską, wiedząc zwłaszcza jak szczupłe miałam zapasy, wybierając się w drogę, że je musiałam wydać, i że nie większe spodziewałam się znaleść u Tomasza; oprócz tego donosiłam w ostatnim liście, że gospodarz u któregośmy stali, zmienił zamiar sprzedania swojéj siedziby i przeniesienia się w inne okolice, upadał przeto nasz zamiar kupienia domostwa i zaprowadzenia gospodarstwa: ale niespodziewanie wszystkie te przeszkody usunione zostały; P. Anisim nie długo trwał w swoém wstecznem przedsięwzięciu; nagle zaczął się wybierać w dro-

gę do osady, którą sobie obrał za mieszkanie, w bliskości miasta Bijska (leżącego o 600 wiorst ztąd ku południowi, niedaleko *Wielkiego Altaja*) i odnowił z nami targ o wyprzedaż domówstwa; skończyło się na tém, że ustąpił całą swoją posiadłość składającą się z domu mieszkalnego, śpichlerza, (*ambara*) lodowni, (*pogrebu*), chlewów (*prigonów*), ogrodów i około 20 dziesięcin ziemi, za 250 rub. ass.; umowa zatwierdzona została podaniem ręki, w dzień 3 Marca. Nazajutrz Tomasz oddał pieniądze we włości, przy świadkach, a odebrał dokument przyznający dotychczasową własność Anisima mojéj godności, gdyż kupno to uskutecznił Tomasz na moje imie. Ale zkąd się wzięły pieniądze? Na przeżycie samo, kupno naczyń kuchennych i stołowych, na zaprowadzenie rozmaitych porządków gospodarskich, wyszło przez zimę przy najściślejszéj oszczędności, kilkaset r. ass., (gdyż tu jakem już donosiła, z powodu bliskości kopalni złota, gdzie kilka tysięcy robotników pracuje, wszystkie artykuły żywności są nieźmiernie drogie). Potrzeba było przeto pożyczyć, nadzieja oddania niespoczywa na niepewnych pomocach z kraju, lecz na własnéj pracy: Tomasz ma zapewniony sobie obowiązek, z niewielką wprawdzie pensją, wystarczającą jednak do zniesienia długu; stół i mieszkanie nic nam kosztować nie będą: mamy zatem przyzwoity sposób utrzymania się. Obowiązek ten zajmujemy od Maja; dobrze, że się podobne miejsce wynalazło w *Dmitrijewskiéj* włości, gdyż za jéj granicę wydalać się nam nie wolno. Dóm w czasie naszéj nieobecności zajmie Ludwik Orda, i będzie czuwał nad uprawą gruntów i ogrodów; wchodzi bowiem z nami do spółki gospodarskiéj; okoliczność ta wielce dla nas korzystna, gdyż możemy po roku wrócić do gotowego już gospodarstwa, a mając zapasy zboża i jarzyn, nie będziemy mieli potrzeby opłacać haraczu Sybiriakóm, zyskamy na spokojności i wygodzie: już jest nајęty z kassy wspólnéj robotnik z żoną, pełniącą obowiązek kucharki, (*striapki*) i synem podrostkiem zdatnym już do pracy; płaciemy mu w rok 225 rub. ass. dajemy chleb i jarzynę, inne artykuły żywności z własnéj kieszeni kupować powinien: na tutejsze strony, gdzie o robotników nieźmiernie trudno, płaca podobna niejest zbyt drogą. Staropolskie powiada przysłowie: *chłop strzela, Pan Bóg kule nosi*, być może zatém, że i nasze wszystkie piękne widoki nie ziszczą się, lecz o ile z teraźniejszości na przyszłość wnioski wyciągnąć można, zdaje się, że nam tu bę-

dzie o tyle dobrze, o ile dobrze być może w oddaleniu od stron rodzinnych i od tylu drogich osób.

Owoż wszystko, kochani Rodzice, co naszego bytu materjalnego dotycze, a póki was zaprosiemy do własnego domku w kochanéj Litwie, opiszę wam rozporządzenie naszéj Sybirskiéj chatki.

Wnętrze Gornicy.

Drzwi ze schodkami pod literą *a* prowadzą do sionek, z których po prawéj stronie izba gospodarska, a po lewéj z ganeczkiem o kilku stopniach nasze mieszkanie (*gornica*); między gornicą, a izbą naprzeciw drzwi wchodowych, skład, gdzie się mieszczą krupy, masło, mąka pszenna, naczynia, rzeczy mniéj potrzebne i t. d. w izbie gospodarskiéj mieszka teraz robotnik z żoną; izba ta zastępuje miejsce kuchni, w niéj się trzymają naczynia kuchenne i stołowe; pod podłogą jest rodzaj sklepu, to jest, dół wykopany w ziemi, ale niczém nie wycembrowany; tu się chronią w zimie od mrozów warzywa, jaje i t. d.; Sybiriacy skład ten zowią *podpole*. Wierzch obszernego pieca, zajmującego czwartą część izby jest zwykłém miejscem przebywania Sybiriaków; tu zapraszają gościa, którego chcą najwięcéj uczcić; oprócz tego *połaty* równéj wysokości z piecem i zajmujące drugą czwartą część izby, służą za łóżko i sofę; leżeć na połacie to największa przyjemność u Sybiriaków, jak *farniente* u Włochów; połaty te i ruskie drzwi, tu powszechne, dobrze dały mi się we znaki, bom nieraz o nie głowę sobie zbiła; resztę izby stanowią ławy naokoło do siedzenia i policy w górze, do składu naczyń; okien jest kilka i dużych jak u Rossyjskich wieśniaków i tu upodobanie w światłych izbach, (*świetlicach*), jest ogólném; całe ściany rzną w okna tak, że wolnego miejsca na łóżka i do siedzenia mieć nie można; podłoga nie z cegieł lub toku jak w litewskich chatach, lecz z porządnych desek; w gornicach niema połatów i polic, są zatém przestronniejsze i wygodniejsze: nasza składa się z dwóch komnatek, których wnętrze załączam w szkicu, bo ocieniować bez pędzelków nie udało się. Pierwsza komnata ma długości $6\frac{1}{2}$ arszynów, szérokości $3\frac{1}{2}$ arsz. druga szérokości ma $2\frac{1}{2}$ arsz. długość taką jak pierwsza, lecz połowę jej zajmuje piec takiż samy jak w izbie gospodarskiéj; wchodząc przez drzwi na rysunku oznaczone (N. 1.) macie zaraz po lewéj stronie bok pieca (N. 2.), krzyżyki oznaczają deski,

którcmi jest wyłożony, przy nim (N. 3.) zydelek czyli *skamiejka*: między piecem a drzwiami do bokówki, rodzaj szafeczki szerokiej na ¼ arsz. (N. 4.), gdzie jak widzicie w górze zegarek; na niższej policzce ekrituarek, piórnik i t. d., na dole zapałki; na przeciw pieca przy ścianie łóżko, naprzeciw szafeczki, w punkcie, z którego wzięty rysunek wnętrza, okno oznaczone na rysunku chatki literą *d*, obok niego drugie z okienicą zamkniętą, zabite rohożami i zawieszone dywanami; za nim jest rog izby, gdzie w górze przytwierdzona policzka na *ikony*, obrazy; u nas miejsce ich zastępują Biblja, książka do nabożeństwa, Tomasz a Kempis i t. p. Od łóżka dwa boki ściany otacza ława; przed oknem, które tu widać, stoi stół (N. 7.), zajmujący miejsce między ławą a skrzynią (N. 5.), umieszczoną przy ścianie u bokówki, złożoną z podłużnych szerokich desek (N. 6.); skrzynia zawiera moje rzeczy, a zasłoniona dywanem służy za sofę; zasłona (N. 8.) zastępuje drzwi; zasuwa się w razie potrzeby, i robi mi osóbny gabinet do ubrania się lub schronienia przed nieżądanym gościem, (bo my tu z nikim niezaznajamiamy się, nie bywamy u nikogo i siedziemy tak cicho jak tylko być może); tu przez drzwi drugiej izby, czyli jak ja nazywam bokówką, widzimy część otworu pieca i stolik, na którym ustawione naczynia stołowe: teraz, miasto waz i talerzów, tace z imbryczkami i szklankami, puzderko z herbatą, cukrem i t. d., figurują na tym stoliku,— prawy jego koniec zakrywa obszerny zapiecek, służący za skład rozmaitych drobnostek; z lewéj strony idzie ława, gdzie samowar, kubki, miseczki, *garszki* z mlekiem etc. W rogu szafka napełniona książkami (nieocenionym skarbem na Syberji!), dolna jéj policzka zajęta apteczką, to jest, ziołami, danemi mi przez Mamę i innemi lekarstwami często potrzebnemi w domu, a o które tu bardzo trudno, bo je aż z Tomska sprowadzać potrzeba. Na przeciwnéj stronie, rozwieszona moja i Tomasza odzież, w dole kuferek z rzeczami Tomasza. Izdebka ta oświecona jest tylko malutkiém okienkiem: (patrz rysunek chatki lit. C.), które za pierwszych gospodarzów, było z brzuszka baraniego, a teraz ze szkła. Owoż macie ze wszystkiemi szczegółami najdokładniejszy opis naszego pomieszkania; przyznam się, że mnie znudził, i że nie wzięłabym się do niego, żebym pewną nie była, że te wszystkie drobnostki bez interesu dla obcych, dla was będą zajmujące i miłe. Zresztą żaden przedmiot nie zmienia swojego miejsca,

bo chociaż niektórym damom udało się dostrzedz we mnie całą abnegacją literacką, Tomasz lubo literat, nigdy się nie rozmija z porządkiem, a ja staram się, żeby całe życie moje było tylko wyrazem jego woli.

Ale bez ustępów, trzeba przystąpić do dalszego opisania, gdyż i ja trzymam z tymi co to powiadają: «albo wszystko, albo nic." Owoż, pozostał jeszcze jeden punkt nie objaśniony w rysunku chatki :] drzwi pod gornicą: (lit. b.) prowadzą do składu zwanego *podwalem*, dla tego, że się zamykają drewnianą zawałą (drągiem, nie zamkiem). Chowaliśmy tam w zimie mięsiwo, które teraz przeniesione do lodowni, leżącej trochę w bok chaty, z prawéj strony; napełniliśmy ją po naszemu lodem; sybirjaki zwyczajnie w swoje pogreby nawożą śnieg, tém nie trwalszy, iż go biorą na wiosnę, kiedy już topnieć zaczyna; naprzeciw chatki w drugim boku od dziedzińca jest spichlerz ze zbożem i mąką; zakupiliśmy kilkadziesiąt pudów żyta i cokolwiek ps e-nicy, u Anisima, żeby mieć zapas: w Tusiulu bowiem nie tylko, że drogie zboże (pud żyta 2½. przenicy 3 rub. ass.); ale często i dostać go nie można.

Z tyłu domu oddzielony płotem ogród warzywny, za nim z jednéj strony chlewy, z drugiéj banie czyli łaźnie, za łaźnią ogród *angielski*, t. j. kilkadziesiąt drzew dziko rosnących *meremchy, bojarki*, czyli wysoko-rosnącego głogu, jakiegoś drzewa równającego się z jesionem, a podobnego do śliwy, (którego nazwy miejscowéj i botanicznéj jeszcze nieznam), i ulubionéj mojéj *Wierzby* Na Kwietną Niedzielę Tomasz mi przyniosł z niéj palmę, już okrytą puszystemi pękami, nie umiem powiedzieć, jak mię ucieszyła ta zwiastunka wiosny. To już na Syberji wiosna! wykrzykniecie z zadziwieniem, mniemacie zapewna, żeśmy w téj porze jeszcze zamurowani śniegami,— bynajmniéj, od początku Marca mrozy ustały, śniegi zaczęły topnieć i słońce świeci jak w Litwie; teraz kiedy to piszę, zieleni się trawka, bydło od dwóch tygodni chodzi na pastwisko, a 6 Kwietnia już posiano jare żyto. Wielkanoc mieliśmy bardzo ciepłą: ja przestrzegając święcie rodzinnych zwyczajów, jak na Boże Narodzenie z Wilją i kiełbasami, tak nie zaniedbałam teraz wystąpić ze *święconém*: babka à la Szytler, wyrosła doskonale, pierogi wypiekły się lekkie i pulchne; szynki były kruche, auszpiki zastygły przedziwnie! słowem wszystko udało się najlepiej. Mieliśmy i źwierzynę, ale Tomasz drogo ją opłacił: bo

robiąc budkę na cietrzewie zranił sobie siekierą nogę i teraz jeszcze kuleje; wolałabym niejeść cietrzewiów! Dzieląc się jajkiem jednegośmy sobie wszyscy życzyli: dzielić się niem na rok przyszły z ukochaną rodziną; czemuż to tylko życzenie?!.. dziś rozsypani jesteśmy, jako proch po kuli ziemskiéj......

19 Sierpnia 1840 r.

Najdrożsi rodzice! Przed dwoma dniami doszedł mię list wasz z 26 Czerwca, list który był odczytany nie kilka, ale kilkanaście razy ze łzami radości i wdzięczności, które najwięcéj wzbudza to, że tak szlachetnie raczycie potwierdzać moje postępowanie, lubo wam moja nieobecność łzy wyciska; i dla mnie ona bolesna, nie ma chwili, w któréjby do was myśl moja nie przenosiła się; do lubych siostr, braci,—i wszędzie została cząstka mego życia,—jedyną codzienną moją prośbą do Boga jest to, by mi pozwolił w gronie najdroższych mi osób, używać szczęścia, które jedynie oddalenie od was niezupełném czyni. Dla czegoż nie mamy mieć nadziei, że ta prośba spełnioną zostanie? Wszakże u Boga nie jest żadne słowo niepodobném. Oby on tylko pozwolił wam wybrnąć z kłopotów interesowych i zabespieczyć na starość spokojną ustroń dla siebie, opatrzyć los siostr i braci; o mnie nie troszczcie się i nieprzysyłajcie mi nic; praca mojego anioła i posyłki od jego rodziny dostateczne są do utrzymania się: lecz o szczegółach mojego bytu wiecie już z listu pisanego w czerwcu.... Właśnie nie dawno zabrał z nami znajomość Inżynier przybyły z Kaukazu: zdejmował on tam plany gór; nieraz przeto musiał przebywać niedostępne miejsca, ciągle okrążony śmiercią od dzikich i nieprzyjaznych pokoleń, niemając innego pożywienia, prócz sucharów i kawałków kwaszonego niepieczonego ciasta z prosowéj mąki, a nieraz pozbawiony i tego. Polubił jednak to życie, przyzwyczaił się do niebespieczeństw i nauczył się znosić bez przykrości niedostatek, a przeto, wystarczać samemu sobie. Może to się stanie i z Antosiem... Za nasiona najmocniéj dziękuję, ale proszę o więcéj, mianowicie, o kalafijory, sałatę, ogórki dobrego gatunku, salery, pory, cykorję, a więcéj jeszcze nad to wszystko, o nasiona ziół

lekarskich, jakoto: rumianku, mięty pieprzowej, szałwii, melissy cytrynowej, dziewanny, ślazu białego, fijałków ogrodowych, jagod bzu białego, jałowca; może się uda, że z nasion wyrosną krzewy i zaprowadzą się w Syberji tak pożyteczne rośliny, ale—jeszcze i nasion łopianu pospolitego czyli łopuchu, podbiału i t. p. bo myślę sobie utworzyć apteczkę. Dobrzeby było, żeby to przysłać téj jesieni; gdyż wcześnie siać trzeba w rozsadnikach, żeby można było jakkolwiek zebrać, gdyż mrozy bywają tu bardzo wczesne: koło świętej Anny, trzy prawie jeden po drugim, wyniszczyły wszystkie ogórki i harbuzy, a nawet gdzie niegdzie kapustę. Wiosna tego-roczna zapowiadająca piękne lato, zawiodła nas: zimno, deszcze, kilka nieznośnych upałów, oto jest lato, któreśmy przebyli. Zresztą w tutejszym klimacie potrzeba spartańskiego przyzwyczajenia, do noszenia jednostajnéj odzieży w zimna i upały: jeżeli licząc na ciepło, wyjdziesz lekko ubrany, nagły wiatr może cię zamrozić w pół-godziny; jeżeli przeciwnie w zimno ubierzesz się ciepło, możesz być pewnym, że spotniejesz z gorąca, i znowu się zaziębisz. Wszelako dzięki Bogu, że to lato wystarcza przecię na dojrzenie niektórych jarzyn, zboża i jagód, chociaż tych trudno mi dostać, bo one w lesie daleko, a nie ma kogo posyłać. Tegoroczny zbiór z pola zapowiada wielką obfitość i taniość, wielce dla chudych pachołków pożądaną. Nieskończeniem wdzięczna drogiéj mojéj Konusi, że mi o lubych przyjaciołach donosi; uczucia jakie mam dla Dominików, nie dadzą się wyrazić. Oni przywiązali się do mnie w największéj niedoli; ich przyjaźń utrzymywała mię, dodawała odwagi; rady ich dwa razy w najważniejszéj chwili mnie wsparły, jakżebym nie miała ich kochać i błogosławić? Piszesz moja luba, że chcieliby mi co posłać,—o, tego nie potrzeba, lecz niech napiszą słów kilka....

VII.

16 Maja 1841.

***Pryjsk Mitrofanówka*, na rzece *Ałła-Kożuch*, w *Altajskich górach*.**

....Doniosłam wam o naszém przybyciu na miejsce teraźniejszego pobytu i o tém, że gospodarze są nieźmiernie dla nas grze-

czni, że Tomaszowi dali bezporównania daleko lepsze miejsce, jak się spodziewał, bo nie *materjalnego*, ale starszego dozórcy i towarzysza główno-urządzającego; obowiązkiem jego jest doglądać ogólnych robot w kopalni, a mianowicie przemywki złota, prowadzić rachunki z robotnikami, obliczać *materjalnego* czyli szafarza, zapisywać ilość wydobywanego złota, i co dwa tygodnie posyłać sprawozdanie o wszystkiem gospodarzowi, który teraz jest w Tomsku, lecz wkrótce z żoną ma tu przyjechać. Ja zajmuję się noszeniem przybranego syna gospodarza, oddanego zupełnie na naszą opiekę; mam z nim wiele zatrudnienia, lecz spodziewam się, że mi dadzą osobne wynagrodzenie, lubo nie umawiałam się o osobną pensię. Tomasz bierze 800 r. ass. w rok, przy wszelkich wygodach dla nas obojga; prawda, że i pracy ma dosyć, kiedy nie idzie na przemywalnię to musi pisać, a tak i w święto nie ma wolnego czasu... W téj porze powietrze jest tu bardzo wilgotne, i można powiedzieć, że tchnie chorobą; od 19 Kwiet. ustały mrozy, a od 1 Maja ciągłe idą deszcze, którym towarzyszą przenikliwe chłody, przypominające nasz Październik i Listopad; od kilku dni rzeki oczyściły się z lodów, i zalały otaczające nas doliny, a raczéj wędoły; jesteśmy jak na wyspie. Tu się łączą trzy wielkie rzeki: *Alla* *) (Bóg, czyli panujący), *Kożuch*, *Szaltyr-Kożuch* i *Ługowoj*, czyli *polowy kożuch*; do nich wpadają dwie pomniejsze rzeczki: *Mitrofanówka* i *Czerkowa*; przerzynają się one śród gór, wznoszących się pod obłoki, jak ściany olbrzymiéj twierdzy, które zdają się nas oddzielać od reszty świata. Na tych górach, a nawet na naszém podworzu i na torfach pokrywających złotonośne piaski, jeszcze leżą śniegi, w wielu miejscach na kilka arszynów głębokie. Kiedyśmy przyjechali, głębokość ich dochodziła do 3 i 4 sążni; dla dobycia piasku, trzeba rozkopywać śniegi i zdejmować 3 arszyny torfu: robotnicy, a szczególnie ci, którzy pracowali tu w zimie, w téj porze ulegają szkorbutowi, który w krótkim czasie do okropnego ich doprowadza stanu; dziąsła się psują, wypadają zęby, nogi puchną i czernieją jakby zgangrenowane; nakoniec tracą wszelkie siły, i śmierć rychło zakończyłaby ich cierpienia, gdyby dobroczynna przyroda obok choroby nie umieściła lekarstwa: jak tylko śnieg cokolwiek zacznie tajać, a na-

*) Nazwiska te są ponadawane przez Tatarskich myśliwych, którzy jedynie sami tylko zwiedzali te miejsca przed odkryciem kopalni.

wet i pod śniegiem, wydobywa się z ziemi roślina tu zwana ***Kalba***, ma ona mocny zapach i smak czosnku; wyrasta zrazu jak piórko cebuli, lecz rychło rozwija się w liść długi na ćwierć arszyna, szeroki na półtora cala, języczkowego kształtu; te to liście są najskuteczniejszém lekarstwem i prezerwatywą od szkorbutu; skoro ich zaczną używać, chorzy w kilka dni powracają do zdrowia; Tomasz i ja, jemy je codziennie, zamiast sałaty z octem, pomimo odrażającéj woni, żeby się uchronić od straszliwéj tutejszéj choroby. Oprócz szkorbutu panują tu jeszcze febry, silne gorączki katarowe, wrzody, dyssenterje, lecz tych się nie lękamy, mając wygodne życie, mieszkanie, ciepłą odzież i zdrowy pokarm; napastują one robotników ciągle przemokłych, przeziębłych, i cieśniących się w zatęchłych izbuszkach, skleconych z kilkanastu berwion, przykrytych ziemią;—zresztą wszelkie niebezpieczeństwo wkrótce minie, za parę tygodni będziemy mieli lato, z pod śniegu wydobywają się kwiaty: wczora Tomasz przyniósł mi pierwszy ładniutki kwiatek; zasuszyłam go i poszlę wam; jutro siać będę rozsadę etc.

VII.

.... Wierzę jak w Boga w waszą miłość dla mnie; tylem otrzymała dowodów téj miłości; dla mojego szczęścia, wyrzekliście się widoków osobistych, zgodziliście się na rozstanie ze mną, żeby mię oddać człowiekowi, którego wybrało moje serce; cóż więcéj nadto mogą zrobić rodzice dla swojego dziecka? Wiadomości o was tak mi są potrzebne do utrzymania spokojności duszy, jak czyste powietrze dla zdrowia ciała. Czy pomogły lekarstwa Surgunta? Uwierzę w jego cudowność, będę modlić się za niego codziennie, jeżeli jego zioła powrócą tak drogie zdrowie. Donoście mi najdrobniejsze szczegóły, przypominające was i strony rodzinne, dawnych znajomych i przyjaciół; staną się one dla mnie nieocenionym skarbem, droższym niż te skarby, na które patrzym. Ach! jak to miło przenieść się myślą w lata dzieciństwa, młodości, w pośród miłych sobie, w te okolice do których tyle drogich przywiązało się wspomnień... Z jakąż roskoszą odczytywałam list ***Śliwińskiego*** na czterech arkuszach: tam on opowiada i o zbiorze swojéj faworytnéj fasolki amarantowéj z białym, i o urodzaju pól, ogrodów, i o swoich gruszkach, jabłkach, śliwach,

i o tém, jak wiele zasadził jarzębin, krzakow maliny; wiele ma grządek truskawek i ogórków, jakie u niego kwitną kwiaty; gdzie jeździł, kto był u niego, co którego dnia przytrafiło się w jego domu; jakie ma doskonałości jego kochany wnuczek i t. d. Cała ta gawęda poczciwego starego przyjaciela zachwyciła mnie, bo wszystko o czém on mówi, to wasze litewskie, moje rodzinne... Zapomniałam na chwilę, że 5 tysięcy wiorst mię rozdziela od tych ukochanych okolic, i niechciało mi się wierzyć, że ja nigdy już może nie ujrzę *Szczonowa*, *Naczy* i ich mieszkańców, a nadewszystko was, moi najukochańsi!.... Oh! żeby powrócić tam kiedyś, jakżebyśmy z Tomaszem czcili, pielęgnowali waszą starość! jakżebyśmy umieli kochać was, słuchać i spełniać wasze najmniejsze życzenia! jakbym ja szczególniéj starała się nagrodzić trudy i ofiary, których byłam celem! O mój Boże, mój ojcze! dozwól mi żyć tyle, żebym mogła spełniać jednocześnie obowiązki córki i żony.... bo matką już nie będę nigdy!... przeznaczenie moje, poświęcać przez całe życie, trudy i starania cudzym dzieciom i nigdy, nigdy! nieucieszyć się własném.

. . . . . . Dziecię już było siedmiomiesięczne..., strzegłam się o ile mi dozwalało moje położenie; ale wiecie, że kto służy, ten nie bardzo może się pieścić. Mając osobną kwaterę, musiałam cztéry razy na dzień odbywać kurs do państwa Popów: rano o godzinie dziewiątéj udawałam się na lekcje, które trwają zwykle do piérwszéj lub drugiéj godziny po południu, to jest do obiadu; po obiedzie wracałam do siebie dla odpoczynku, a o 4 znowu na pańszczyznę. Wieczorem po lekcji, która trwała do 6 a niekiedy do 7, Pani P. prosiła najczęściéj, żeby przepędzić wieczór z nią, lub (kiedy sama wyjeżdżała) dopomagać Tomaszowi bawić jéj męża, który dręczony okropnym reumatyzmem w szczęce, zmuszony był wysiedzieć dwumiesięczną kwarantannę, i zostając sam jeden w domu, potrzebował rozrywki, tém więcéj, że do cierpień fizycznych przyłączyły się i moralne: niektóre osoby, chcące mieć złoto bez trudu i bez kosztów, oskarżyły go przed rządem, że nieprawnie posiada kopalnie; żądały żeby takowe oddane im były za podwyższone procenta. Rząd kazał rozpatrzyć tę sprawę, proces ciągnął się lat dwa, a tymczasem w Petersburgu zatrzymano pieniądze należące do P. Popów za złoto, i on całe dwa lata musiał zaciągać pożyczki; tu pożyczki nie to co u nas na miesiąc trzeba płacić 10ty procent, łatwo więc przedstawicie sobie, jak smutne było położenie naszego gospodarza, jak się

niepokoił o los swój i dzieci! Ledwie w ostatnich dniach Listopada, otrzymał potwierdzenie wyroku, przysądzającego mu posiadanie kopalni, ale już za podwyższony 24ty procent (zwyczajny jest 15ty), a w Grudniu przysłano i pieniądze, ale jeszcze nie wszystkie. Zaledwo skończyły się te kłopoty i zaczął powracać do zdrowia, nowy cios dotknął jego rodzinę. Jedyny brat Pani P. (który w 8 roku życia oddany do korpusu kadetów, prosto ztamtąd poszedł na Kaukaz), został zabity w bitwie z góralami; a właśnie spodziewano się, że on w tym czasie przyjedzie do rodziców za urlopem, i jego biedna matka nie widząc go od dzieciństwa o to tylko błagała Boga, żeby mogła przed śmiercią uścisnąć go i błogosławić. W tak smutnych okolicznościach, my staraliśmy się ile było w naszej mocy pocieszyć tę zacną rodzinę i ja pomimo cierpień towarzyszących brzemienności, nie miałam prawie ani chwili spoczynku; nakoniec smutek trochę się ułagodził. Matka Pani P. pojechała do Irkucka szukać pociechy na grobie męża, i przy cudownych relikwijach Ś. Inocentego; u nas znowu zaczęły się obiady, bale, wieczory, wizyty; szwaczkom nie wystarczało dość czasu szyć *obnowy* na święto; bo tu zachowują święcie, jak jedno z 10ciu przykazań bożych, obyczaj sprawić sobie cóś nowego na Wielkanoc, na Boże Narodzenie i na Nowy Rok: chociażby przyszło dla tego sprzedać starą odzież, lub założyć, pożyczając pieniądze na ogromne procenta: kobiety szczególnie miałyby za grzech przestąpić to zwyczajowe prawo, tak pożyteczne dla kupców, a tak zgubne dla wielu rodzin. Biedne przestają na perkalowej sukience, jedwabnej chusteczce na głowę, bogatszym potrzeba drogich materji, kosztownych szalów, kamieni, pereł: dodajcie do tego wzajemne podarki na nowy rok, a niezdziwicie się, że Francuz Alibieri, który w przeszłym roku założył w Tomsku galanteryjny magazyn, utargował tej zimy w czasie świąt 30,000 r. ass.!—do tej summy weszła nie mała część i z kieszeni Pana P.; żona jego jakkolwiek dobra i czuła, zapomniała prędko o niedawnych smutkach, zajmując się przygotowaniem toalety, w głębokich rozmyślaniach nad żurnałami mód, nad fasonem sukni lub czepeczka; lecz Opatrzność, jak gdyby chcąc ją gwałtem wyrwać z tego zamętu próżności, zesłała nową biedę: najmłodszy ich synek, milutki czteroletni chłopczyk, zachorował na szkarlatynę: zawsze niebespieczna choroba ta, leczona przez nieumiejętnego lekarza, jeszcze niebezpieczniejszą się stała, i kazała lękać się o życie

biednego dziecka. Kiedym przyjechała na pierwszy dzień świąt, do Państwa Popów, sądziłam, że nie dożyje do wieczora — matka i ojciec jeździli z wizytami, powróciwszy przelękli się znalazłszy go w takim stanie, dziwnie się odbijały łzy i nieudana boleść matki od wykwintnego stroju elegantki, dziwniej jeszcze było, kiedy otrzymawszy list zapraszający na wieczór, pożegnała słabego syna, oblewając go łzami i poszła zmieniać toaletę (niech mi jaki psycholog te sprzeczności wytłómaczy!, — ja tymczasem siedziałam przy chorem dziecku, czekając powrotu jego rodziców do północy, i tak było przez całe święta. W wilią nowego roku zmęczyłam się najwięcéj; zwyczajem tu jest czekać północy, żeby *spotkać* rok nowy z krewnemi, przyjacioły, domownikami, i powitać go przy wzajemnych życzeniach z kielichem szampańskiego, a u biedniejszych, z czarką gorzałki, W tym celu cały wielki świat Tomski był zaproszony na wieczór do P. *Gorochów*, byłego prokurora, teraz *zołotopromyszlenika*, mającego za sobą siostrzenicę Popowych; PP. Gorochów żyją na wielką skalę; w ich domu okna z bemskiego szkła, we dwie tafle, mahoniowe meble i obicia sprowadzone z Petersburga; buduar żony w kształcie namiotu, naokoło roskoszne sofy, stoliki do czytania z mnóstwem żurnałów, albomów, keepsaków, wszystko to ocienione festonami bluszczów; po kątach szyfonierki z kosztownemi cackami, na środku jaspisowa czasza, z któréj bije fontanna; kolorowe szkła w oknach, drzwi źwierciadlanne; jego gabinet ubrany niemniéj wytwornie; dom ten kosztuje z górą 200,000 rub. ass. a wszystkiego mają funduszu jak powiadają, 100,000, ale te zawsze w obrócie, i coroku drugie tyle, albo i więcéj przynoszą: co to jest kopać złoto! Jeszcze kosztowniejszy dom Kol. Sowietnika Ostaszowa, który posiada jedne z najbogatszych kopalni we wschodniéj i zachodniéj Syberji; on też i majątkiem przewyższa znacznie wszystkich mieszkańców Tomska. Interesa jego w najlepszym stanie, i nic dziwnego! on w swoim dworcu żyje bardzo skromnie, rzadko gdzie bywa, rzadziéj jeszcze przyjmuje gości u siebie; jego żona chociaż przystojna i młoda, ubiera się bardzo prosto: u PP. Gorochów przeciwnie, co czwartku wieczory z tańcami, gości zawsze mnóstwo, ale najwięcéj zebrało się w ostatni czwartek roku; Pani P. namawiała mię usilnie, żebym jechała na wieczór, alem się wymówiła, przedstawiając, że nie można na opiekę sług zostawić słabego dziecka; prosiła mię przeto, żebym z starszymi synami czekała ich po-

wrótu dla powitania razem N. R.; musiałam zgodzić się i pod ich niebytność urządziłam malenką siurpryzę: nauczyłam dzieci wierszów w kształcie rozmowy; jeden z nich przedstawiał N. R., ubrałam go w białą tunikę ze skrzydłami, włożyłam wieniec z kwiatów na głowę i dałam wiązankę z kwiatów w rękę; w takim kostiumie spotkał rodziców; wiersze, chociaż nie arcy-poetyczne, rozczuliły jednak (jak to zwykle bywa) ojca i matkę— zaczęły się uściski, podziękowania, podarki; dzieci dostały złote piórka, ja kolczyki, krzyżyk, brożkę, czarno-ze złotem i brasoletkę z błękitnym kamieniem: był to już trzeci podarek od przyjazdu do Tomska; na imieniny dostałam materją kosztującą więcéj sta rubli i czepeczek uszyty ręką Pani P...., przed świętami ładny perkalik, ale cóż stąd, kiedy z powodu złych interesów, pensję mnie i Tomaszowi zmniejszyli. Wróćmy jednak do N. Roku: Pan P.... kupił żonie garnitur turkusowy z perłami, kosztujący trzysta rubli, ona jemu zasłonę do świec z przezroczystej massy (wyobrażającą Madonę karmiącą Chrystusa i rój aniołków ulatujący nad niemi (presse-papier bronze antique) i takież lichtarze. Potem już o godzinie drugiéj udaliśmy się do stołu: przed wieczerzą, gospodarz rozdzielał ze wszystkiemi chleb i sól z któremi go spotkał stróż domowy, winszując N. Roku, przyczém służącym rozdawał pieniądze; nakoniec zapieniły się kielichy szampańskiego, i znowu pozdrawialiśmy się wzajemnie— pili i za zdrowie nieprzytomnego Tomasza, bo on przed samemi świętami wyjechał na wieś dla najmowania ludzi, i ja piérwszy raz w życiu tak smutnie przepędziłam wesołe dla całego Chrześcjaństwa święta i zaczęłam Rok Nowy, nikogo z bliskich sercu nie mając przy sobie. W niedzielę po N. Roku musiałam koniecznie być na wieczorze u Pani Popów, żony stryjecznego brata, który po swoim bracie Teodozjuszu, odkrywcy złota w Ałtaju, odziedziczył ogromny majątek; ten jednak wystawném życiem i wydaniem córki za Jenerała Zawilejskiego, został znacznie nadwerężony: u nich co niedziela obiad i wieczór; gości zawsze mnóstwo i mile się bawią, bo gospodyni zawsze uprzejma, a chociaż jak wszystkie tutejsze damy, niema wyższego ukształcenia, mieszkając często w Petersburgu, nabrała taktu i znajomości świata, które jéj towarzystwo bardzo przyjemném czynią; dla mnie szczególniéj grzeczna; kilkadziesiąt razy prosiła, żebym bywała u niéj, a ja téj zimy nieodwiedziłam jéj ni razu; teraz przeto nie mogłam się wymówić, chociaż mi ciężko było robić

toaletę i wyleść z rozpuszczonego szlafroka, żeby włożyć suknię z bawetem, a jeszcze tę suknię trzeba było samej prasować, bo moja służąca zrobiła projekt iść za mąż, i opuściła mnie jeszcze w połowie Grudnia: drugiéj nie mogłam tak prędko znaleść (tu w Tomsku o sługi niesłychanie trudno), od Pani P. nie mogłam wziąść nikogo; u nich słudzy mają tyle zajęcia się, że i w nocy pracować muszą. Zgodziłam więc gospodynię u której mamy kwaterę, żeby paliła w piecu, wymiatała i nastawiała samowar; uprzątać i prasować musiałam sama; i tak to mnie męczyło, że nim jedną suknię wyprasuję, kilka razy porywały mię mdłości, a jeszcze te niegodziwe czuhunne żelazka sybirskie.... zawsze trzeba popalić ręce... dobrze Kozakiewiczowéj, przywiozła z sobą sługi, siedzi z mężem na pryiskach Ostaszowa, czyta, w krosienkach szyje; szczęśliwa, że po francusku nie umie, bo w przeciwnym razie Ostaszowa wymagałaby żeby uczyła ich synka; ta Pani już wzywała mię do siebie, otrzymałam od niéj tysiąc oświadczeń, odwiedzała mnie w chorobie, ale my na ten lep niebardzo skorzy; Pan Ostaszew podobno swoim sługom nie płaci. Pracować wszędzie potrzeba: chociaż ja wolę pracę taką, jakiéj oddawałam się w Tiusiulu (gotować jeść i myć podłogi), jak uczyć dzieci i jeździć na wieczory. Zmęczona takiém życiem, na drugi dzień po Trzech Królach uczułam taką słabość, że nie mogłam wstać z łóżka i ruch dziecka coraz był słabszy; w kilka dni lepiéj mi było, zaczęłam wyjeżdżać, wkrótce wrócił Tomasz i ukontentowanie nowych mi sił dodało: ale na biedę, Panu P. przyszło do głowy zajmować się litochromiją—(to jest naprowadzaniem olejnemi farbami litografij)—do tego potrzebny extrakt terpentyny: kiedym przyjechała do państwa Popowych, woń ta tak silny wpływ wywarła, iż nabawiła mię silnego bolu głowy, a na drugi dzień zauważałam, że dziecię już niema ruchu. Możecie sobie wyobrazić moją niespokojność: udałam się do doktora, do akuszerki, oni mię uspokoili, i Tomasz ufając im, już miał wyjechać znowu, szczęściem 19 Stycznia był bal u Ostaszowa, z powodu wydania za mąż jedynej córki, nazajutrz jéj ślub; Pan P. zaproszony na te fety, niemógł oddać Tomaszowi potrzebnych instrukcij: zatrzymał się do 21, a tego dnia rano okazały się niewątpliwe znaki przedwieszczające poronienie.........

VIII.

14. Maja, 1845. *Tomsk.*

Obiecałam posłać wam nasze portrety i długi list, spodziewając się, że w tym przeciągu czasu już będzie swobodny przejazd przez rzeki, ale tymczasem inaczéj się stało: poczta moskiewska późniła się dotąd z powodu rozlewu wody, i ja niechcąc narażać naszych portretów, jakby żywych, którzy do was jadą,—na kąpiel, wstrzymałam się z niemi. Teraz, kiedy już to niebezpieczeństwo minęło, wyprawiam nasze cienie do kochanéj Litwy; żeby to można było w miejsce ich oryginałom ułożyć się w pudełko i przybyć do was choć na jeden dzień!.. uściskać siostry i braci, ucałować wasze nogi, wysłuchać i opowiedzieć powieść sześciu lat spędzonych w smutném oddaleniu... Próżne życzenia, próżne nadzieje! upływają dni, miesiące, lata, nie przynosząc z sobą żadnéj zmiany w naszém położeniu, tylko jedna tęsknota wzrasta i zjada życie. Cóż ztąd, że mamy kawałek chleba powszedniego, że zamiast nienawiści i pogardy, tutejsi mieszkańce okazują nam szlachetną litość, że wspaniałość Rządu łagodzi surową karę? My zawsze wygnańcy na obcéj ziemi, oderwani od wszystkiego, co stanowi moralne życie człowieka. Źle mówię— nie od wszystkiego: pozostała nam miłość wzajemna, ciche szczęście domowe i nadzieja, że choć tam w przyszłém życiu połączemy się z wami wszystkiemi,

«*bo tam nad ziemią znowu poznają się swoi!...*"

Odezwałam się na smutną nótę, a wiecie dla czego? Teraz wiosna, zazieleniały pola, rozpuszczają się drzewa, słońce tak pięknie świeci, kiedy niekiedy tylko zbierają się chmury, deszcz i grzmoty oczyszczają powietrze: wszystko tak jak u nas w Litwie, wszystko przypomina silnie rodzinną ziemię i obudza tęskne uczucia. Ale na biedną Litwę spadły teraz, jak piszecie, ogromne klęski, głód, upadek bydła, nędza jedném słowém, a w Syberji huczno, szumno, wesoło, bogato — My jednak tęsknim za Litwą. Przyrzekłam opisać wam jak spędziliśmy przeszłą jesień i zimę— otoż przystępuję do spełnienia słowa: wiecie już, że Tomasz zajmował się robieniem rocznych rachunków: od téj nieznośnéj pracy zaczął doznawać częstego zawrotu głowy,—wnosząc, że mu przyniesie ulgę świeże powietrze, w początku Listopada, kiedy wypadł pierwszy śnieg (bo i w przeszłym roku zima później jak zwy-

kle zawitała do nas), i kiedy już rachunki przychodziły do końca, namówiłam Tomasza żeby pojechał ze mną na *Birczyhulskie* jezioro, odległe od *pryisku* gdzieśmy mieszkali, tylko o pięć wiorst. Pryjsk ten nazwany *anastasiewski*, leży w niewielkiéj dolinie, oblanéj z jednéj strony rzeczką Tiusiulem i otoczony wkoło górami: na zachód, o kilkadziesiąt sążni od mieszkalnego domu, wznosi się najwyższa góra, któréj wierzchołek wieńczy nagie skały, wybijające się z pod bujnéj trawy, otoczone sosnami i modrzewiem. Z tego miejsca latem odkrywa się dziwnie piękny widok: u stop dolina i obszerne zabudowania pryiskowe, wyglądają jak lanszafcik zrobiony ręką doskonałego mistrza; daléj góry pokryte lasem jak zielone fale, odbijając promienie słońca, igrają nieskończoną rozmaitością cieniów. Na południe widać wioskę Tiusiul o 12 wiorst odległą; za nią obszerne płaszczyzny i prześliczne wzgórza, ciągnące się nad rzeką *Sertą* po drodze do Tomska; na zachód przez gęste gałęzie drzew, błyszczy jezioro w wieńcu błękitnawych gór (wznoszących się amfiteatrem we trzy rzędy do koła) jak w lazurowéj czaszy. Zdaje się, że już kilka razy wspominałam wam o tém jeziorze, a niepamiętam, czym opisała jego położenie, tak czarowne, że może zachwycić najzimniejszego człowieka. Cóżkolwiek bądź, teraz mówić o niem nie będę, a wrócę do rzeczy, to jest do przejażdżki, o któréj wspomniałam wyżéj: droga na Birczyhul idzie właśnie przez tę wysoką górę; właściwiéj mówiąc, jest to ścieżka wąska, stroma i kręta, pokryta pniami wyciętych drzew, gdzie zobustron gałęzie i konary grożą co chwila wykłuciem oczu lub przynajmniéj rozerwaniem odzieży. Pieszo można przejść po niéj swobodnie, konno bez wielkiego niebespieczeństwa.

Ja nieraz harcowałam tutaj na moim burym rumaku, i licząc na jego instynkt, puściwszy wodze, patrzyłam na cudowny krajobraz przy zachodzie słońca, albo unosiłam się myślami daleko... aż do was... Jechać w powozie niepodobna, chyba w małych saneczkach: my też z konieczności pomieściliśmy się w takim ekipażu, i do jeziora dostaliśmy się szczęśliwie; tam w wioseczce nakupiwszy świeżo nałowionéj ryby, wracaliśmy wesoło, gdy w tém na samym wierzchołku góry, wiozącemu przyszło do głowy obrócić się z jakąś prośbą do Tomasza; zajęty rozmową nie zwrócił uwagi, że tu zaczyna się spadzistość, i nie wstrzymał koni: te poniosły z największym pędem i on piérwszy wypadł z sanek, Tomasz nachylił się żeby podnieść upuszczone lejce, lecz

w tej chwili sanki w najgwałtowniejszym biegu uderzyły się o pień i mój biedny Tomasz poleciał na głowę.... niewiem jakim cudem ja zostałam w sankach. Konie zbywszy ciężaru, niosą i niosą jak wicher, już sądziłam, że mnie rozbiją o drzewo wznoszące się na zawrócie drogi, kiedy jeden koń wyprzągł się i zaplątawszy lejce o też same drzewo, któregom się lękała, zatrzymał swego towarzysza. Ja wysiadłam z sanek bez szwanku, ale pełna niespokojności o Tomasza, pobiegłam nazad (i wyobraźcie sobie mój przestrach!) znalazłam go z rozbitą głową; krew po twarzy lała się strumieniem, aż teraz dreszcz mię przejmuje na samo wspomnienie. Padając na pień, rozciął sobie czoło nad lewém okiém i uderzył rękę tak silnie, że lękaliśmy się czy nie jest złamaną. Wróciwszy do domu, włożył ją zaraz do zimnéj wody, ale ból był tak gwałtowny, że drżał cały jak w febrze. Głowę okładaliśmy przymoczką złożoną z równych części wody, cukru, octu i wódki, mianowicie brzozowéj naliwki, która wybornie leczy wszystkie rany. Jakoż w kilka dni doznał znacznéj ulgi, jednak ciągle czuł ból w ręku i w głowie, a tu należało koniecznie kończyć sprawozdanie i co prędzéj jechać do Tomska, dokąd w tych dniach mieli przybyć dyrektorowie kompanji — i niezważając na cierpienia, trzeba było pisać i jechać.—13 Listopada, to jest w 10 dni po tym nieszczęśliwym wypadku, już byliśmy w Tomsku. W czasie naszéj bytności na przyisku w domie Majora, robiliśmy podłogi, przestawiali piece, tynkowali ściany—te jeszcze nie wyschły—trzeba było suszyć je za pomocą żelaznych pieców. Nim to nastąpiło, musieliśmy szukać tymczasowego mieszkania w bliskości; niepodobna było na kilka tygodni przewozić się z całą ruchomością a zatém spiżarniowe zapasy, sprzęty i słudzy pozostali w zabudowaniach należących do domu; my sami tylko z pościelą i sukniami przenieśliśmy się do maleńkiéj komnatki, którą nam ustąpiła przez przyjaźń jedna zacna wdowa, dawno i dobrze nam znajoma. Nieoszacowana kobiéta, dla dogodzenia nam, zrobiła sobie największą niewygodę, bo ze starą matką i siostrą umieściła się za parawanami w piérwszym pokoju, przez który do nas był przechod. Tomasz zmuszony siedzieć w domu z powodu choroby, od rana do wieczora przyjmował roboczych sług pryiskowych, kupców, rzemieślników, jednóm słowem, mnóstwo osób z któremi musi mieć rzecz jako komissjonier czyli *totumfacki* dwóch kompanji. Był to ciągły jarmark, którego nieprzyjemność może pojąć ten tylko, co go doświadczył: nie wyczerpał

on cierpliwości prawdziwie anielskiéj naszych gospodyń, ale zapewna dał się im dobrze we znaki. Ja nie miałam najmniejszego kąteczka, gdziebym mogła odpocząć, kiedy czułam się niezdrową, o zajęciu się książką lub pismem niepodobna było i myśleć; widzicie zatem, że nie lenistwo lecz rzetelna niemożność była powodem żeście tak długo niemieli listów: mogłabym wprawdzie pisać w nocy, ale

«już ja nie ten com był wczora»—

po nocach czuwać w żaden sposób nie zdołam.

Zaledwo na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia przenieśliśmy się do domu, który odtąd miał być naszém mieszkaniem, bo Pan Popów mając obszerny dom, prosił usilnie Majora, żeby po ożenieniu się z jego córką, mieszkał z nim razem: starzec znudziłby się w swoim gmachu, zostawszy z jedną malutką córką, kiedyby starsza z mężem żyła osobno. Tymczasem jednak, za nim przyszło do szlubu, Major miał mieszkać z nami, należało spodziewać się wizyt, i ja zajęłam się ubraniem pokojów, uporządkowaniem rzeczy leżących w walizach od przyjazdu z przyisków, zrobieniem zapasów i t. d., i ledwo skończyłam to porządkowanie w wilją świąt, które przepędziliśmy z Kozakiewiczami, naszym szonownym proboszczem i jeszcze kilką przyjaciółmi, życząc sobie wzajemnie przy łamaniu opłatka, żeby każdy z nas na przyszłe święta pożywał chléb z rodzinnéj niwy z krewnemi i przyjacioły. Zawsze też same, zawsze niespełnione życzenia!....

Święta przeszły jak zwyczajnie, dla jednych w wizytach i balach, dla nas w domowém zaciszu, uprzyjemnionéni przez wyzdrowienie mojego Tomasza; ale ja po zmęczeniu się nie bardzo byłam zdrową, i panujący w Tomsku katar zmusił położyć się w łóżku na dni kilka. Tu trzeba było zająć się przygotowaniami do ślubu majora, wybraniem i zakupieniem podarunków, które według tutejszego zwyczaju obowiązany był robić krewnym swojéj narzeczonéj. Ona ze swojej strony obdarzała ich wszystkich i same podarunki kosztowały im kilkanaście tysięcy rubli assygn. Pan Popów, chociaż nie bardzo hojny, wystąpił wspaniale, oddając zamąż pierwszą córkę. Wyprawa, jak powiadają, więcéj 30stu tysięcy kosztowała; stroje, bogate srebro, porcelany, fajanse, kryształy, umyślnie zakazane w fabrykach, niektóre sprzęty były sprowadzone z Petersburga i Moskwy. Przy akcie weselnym, kobiéty mają piérwsze znaczenie i miejsce, mężowie im

tylko towarzyszą. Jedna była bardzo milutka i młoda kobiecina. Z każdej strony po dwóch drużków i tysiacki czyli swat. W dziewicz-wieczór był bal u panny młodéj:—dom rzęsisto oświecony, na balkonie w przezroczu jaśniała cyfra jéj i ojca. I u nas także była, jak to mówią *illuminacja*, to jest paliły się lampy około domu, z ulicy i od dziedzińca. Kiedy się już zebrali goście na balu, towarzystwo pana młodego przybyło po niego. Damy były wystrojone w perły, brylanty, rubiny i t. d. Po herbacie i wetach, pojechaliśmy wszyscy do narzeczonéj, którą zastaliśmy otoczoną dziewicami,—za stołem ubranym w białe draperje i wieńce z kwiatów—miała suknią blondynową przepinaną białemi różami i takież róże w czarnych włosach. Twarz niezbyt ładną upiękniał wyraz szczęścia; zakochana w swoim przyszłym mężu, na niego tylko patrzyła. Zaczęły się tańce — przyjęcie było wspaniałe, szampańskie lało się strumieniem; wieczerza wyborna, toastów bez liku—nie powiem jednak żeby było bardzo wesoło. Zwykłe towarzystwo w Tomsku, dzieli się zwykle na dwie połowy: działającą i bierną; piérwsza gra w karty i tańcuje; druga przez cały wieczór siedzi nieruchomie około ścian; rozmowy żadnéj, można przesiedzieć sześć godzin około jakiéj damy, niesłysząc jéj głosu. Mężczyźni nie zajmują się kobietami i ledwo kilku z nich odznaczają się europejską grzecznością. Nazajutrz o godzinie trzeciéj po południu, ciż sami znowu—ojciec i matka błogosławili majora *obrazem*, chlebem i solą, a potém udali się do panny dla spełnienia tego obrządku. Kiedy Major ukląkł do błogosławieństwa, przypomniałam sobie, że on ma rodziców, brata—ale ci daleko,—i obcy ludzie błogosławią go w najważniejszéj chwili życia—i żal mi ścisnął serce: z głębi duszy, szczerze pobłogosławiłam go, może szczerzéj jak wszyscy inni—i on rozczulił się... wychodząc z domu pożegnał nas ze łzami; przeprowadziliśmy go do cerkwi, gdzie wkrótce przybyła panna młoda w towarzystwie swoich krewnych. W białéj atłasowéj sukni, obszytéj we dwa rzędy szerokiemi korunami, z perłami na szyi, na głowie miała blondynową zasłonę, przytrzymywaną wieńcem z pomarańczowych kwiatów, z pod któréj wybijały się pukle kruczych włosów; jéj czarne oczy błyszczały tak żywą radością, tyle szczęścia jasniało na jéj czole, że patrząc na nią z pociechą, pomyśliłam sobie: to małżeństwo będzie prześliczne! i tak jest rzeczywiście. Ona skromna, łagodna, a te przymioty są pewniejszą rękojmią pomyślności w domowém pożyciu, jak szuba

na którą przed ślubem posadziły ją ciotki. Damy składające orszak weselny, miały białe morowe szaty, pełno blond i drogich kamieni; Filimonowa tylko miała suknię aksamitną amarantową ze szlakiem leciutko haftowanym srebrem, bez żadnych więcéj dodatków, oprócz brylantowego *collier*, wielkiéj ceny: brylantow jéj i pani Gorochow nie powstydziłaby się i udzielna xiężna. Rospoczęła się ceremonja; włożono państwu młodym bronzowe korony, długo bardzo ciągnęły się śpiewy i modlitwy; po trzy razy zamieniono małżonkom obrączki i kapłan związawszy im ręce stułą, oprowadził trzy razy około *naloja*; scisk był tak wielki, że ledwie pośrednictwo policji utorowało im drogę. Nakoniec dano napić się wina i obrzęd się skończył. (Opisuję wam te wszystkie szczegóły, boście pewno ani razu nie widzieli ślubu według obrządku wyznania greckiego). Z cerkwi sami tylko krewni i bliżsi znajomi, byli zapraszani do państwa młodych, a jednak zebrało się do kilkadziesiąt osób; ale dziewic już nie było: od wczorajszego wieczora bawiły one przy pannie młodéj, aż do szlubu, przed wyjazdem do cerkwi pożegnała je obdarzając każdą. Guwernantka tylko i ciotka niezamężna zostały w domu, lecz ubrane bardzo skromnie, chowały się w kąteczku i nie stawały do tańców. Mężatki same z nową towarzyszką rej wodziły, i wyznam wam szczerze, że było weseléj jak na dziewicz-wieczór.

O 11stéj podano wieczerzę, drużkowie za stołem wykrzykiwali zdrowie wszystkich krewnych, nowych małżonków i przytomnych gości, wymieniając zawsze, (podług właściwego jednéj Syberji zwyczaju) naprzód mężczyzn, potém kobiety. Nieco piskliwa orkiestra Tomskiego batalionu, przygrywała wiwatom, i jak tylko wstano od stołu, zabrzmiała marsz tryumfalny; przy jego nie arcy-harmonijnym odgłosie, grono mężatek otoczywszy pannę młodą, powiodło ją przez dziedziniec usłany dywanami do pawilonu, gdzie było przygotowane małżeńskie łoże. Za niemi udali się i mężczyźni. Pokój sypialny był ubrany bogato i gustownie. Nad orzechowém łóżkiem, spadały z pod bronzowego baldachimu zielone atłasowe firanki w białe bukiety, pościel okryta korunową kapą na białym atłasie, takież same poduszki; u okien sztory z indyjskiego muślinu, z draperją odpowiednią firankóm łóżka. Piękna toaleta także z orzechowego drzewa, ostawiona mnóstwem cacek służących do gotowalni; *etażerki* gnące się pod ciężarem srebra i wśród tego wszystkiego stara niańka Pani Mitkiewiczowéj, uszczęśliwiona że wydała za mąż swoją wycho-

wankę. Zamknięto drzwi sypialni i *pryma-donny* zdjąwszy z pani młodéj wieniec, zasłonę i suknie, ubrały ją w czépeczek i szlafroczek szyty, tiulowy na różowym atłasie. Wtenczas otwarły się podwoje, wszedł pan młody, podano szampańskie, wszyscy z kielichem w ręku pożegnaliśmy małżonków i zasłona zapadła. Nazajutrz krewni jeździli pozdrawiać młodych... był obiad familijny. Staruszek ojciec uszczęśliwiony, poił wszystkich nieprzepuszczając i damom i sam wypiwszy wina po raz piérwszy od lat 20 stanął do kozaka; poważne damy wystąpiły do *ruskiéj barini:* była to szczéra, nieprzymuszona wesołość, tańce, swawola (*na raspaszku,* jak mówią ruscy), co się tu bardzo rzadko zdarza. Przez kilka dni potém Mitkiewiczowie oddawali wizyty, daléj dawano obiady i znowu był bal u nich. W tym czasie zdjęto nasze portrety i dla tego widzicie moją osobę w wizytowym stroju. Wkrótce potém zachorowałam, i aż do przewodnéj niedzieli siedziałam w domu, daléj odbywszy konieczne wizyty, imieniny i urodziny Krzysztofa Popowa i jego żony, zajęłam się usianiem ogrodu, a teraz sadzę ogórki i kiedy niekiedy chodzę na przechadzkę, ale cóś znowu zaczynają się zimne wiatry. Jaka tu niestała pogoda! Tomasz za kilka dni jedzie na pryiski, a ja zostaję, bo on ma wrócić za parę tygodni: z tém wszystkim mnie bardzo smutno. Bądźcie zdrowi moi ukochani!

IX.

4 Sierpnia 1845 r. z *Tomska.*

.....Miałam silne cierpienia piersiowe, w których najwięcéj mi pomogła galareta z mchu iślandzkiego, gotowanego w serwatce przyrządzanéj z *cremotartari,* i wciąganie pary z siemienia lnianego i podbiału w wodzie na pół z octem, oraz ciągły ruch i przejażdżki. Lecz od czterech tygodni zaczęłam pędzić siedzące życie i przejeżdżam się tylko z dwójgiem małych dziatek, które zostały na mojéj opiece, bo państwo W. z starszémi synami pojechali do *Semipałyńska* na chińską granicę, dla widzenia się z siostrą, która tam mieszka, poruczając nam z Tomaszem dozór domu i dzieci; nie mogę przeto zrobić ani kroku bez nich, żeby nie zawieść zaufania, które położyli we mnie

rodzice; z powrotem ich, znowu wieczory będą należeć do mnie, ale niewiém czy wróci pogoda, która pożegnała nas od kilku dni; piérwszy Sierpnia już pachnie jesienią. Dobrze to jednak mieszkać w mieście, możemy przypomnieć naszą kochaną Litwę, jedząc ogórki z miodem; na *pryiskach* i tegoby nie było; ogórki, które tu zastępują wszystkie owoce w tym roku; i jagod bardzo mało, mróz w Maju powarzył kwiat w zawięzi na malinach i porzeczkach, mieliśmy tylko trochę truskawek i poziemek drobnych i zielonych; lud sybirski niema cierpliwości czekać na jakąkolwiekbądź przyjemność, zbiera niedojrzałe jagody, surowe szyszki cedrowe, jak tylko się pokażą zawiązki orzechów, nawet ścina cedry, żeby nie tracić czasu na łażenie po drzewach, a cedr musi rość lat dwadzieścia i więcej, nim piérwszy owoc wyda! Lecz mniejsza z tém, jeżeli nie mamy owoców i dobrych jagód, mamy za to przysmak, którego się wam nie uda pokosztować nigdy, choćbyście przejechali całą Europę, a nawet Amerykę i Afrykę, przysmak nad wszystkie przysmaki, arcy-dzieło kirgiskiego smaku, jednym słowem *kumys*, albo zbełtane kobyle mleko, w łagwicach ze skór świeżych, co mu nadaje arcy-przyjemny zapach i goryczkę limburskiego séra; zresztą podobne to do maślanki, ale przez fermentacją nabiera spirytusowéj mocy; mnie zawsze się w głowie kręci od jednéj szklanki, a piję go, bo dobrze służy na piersi: Mój Tomasz po swojéj strasznéj chorobie jeszcze nie wzmocnił się zupełnie, czuje słabość i uciskanie pod łyżką wspólne i innym przybyszom do Syberji: widać, że to wpływ klimatu....

...Niech nie przestają nas kochać, my powrócim do was, łaska i miłosierdzie Cesarza rozlewające się na wszystkich, czyżby nas na zawsze opuścić miały?.. powrócim, powrócim, choć umrzeć na rodzinnéj ziemi w pośród was... choćby dla tego, żeby uścisnąć i was i tych dobrych kochanych przyjaciół, którzy nie zapominają o nas. Cieszę się, żeście wrócili do Izabellina, przynajmniéj wiém, gdzie was szukać myślą; te miejsca, gdzie was żegnałam, tak żywo ciągle mi stoją w pamięci! Chowam kamuszki zebrane przez siostrzyczki na brzegach *Suderwiańskiego* jeziora *), gdzie w wilją mojego odjazdu, ostatni raz ką-

*) *Suderwa*, majętność P. Prezydentowéj Wołłkowéj, o mil trzy od Wilna, z rozległém jeziorem i kościołem, fundowanym przez Biskupa Wołczackiego, którego wyniosła kopuła na mil kilka z trak-

pałyśmy się razem. Jeżeli mię zawiodą nadzieje, jeżeli umrę na Syberji, te kamuszki położą mi w trumnę.... Bądźcie zdrowi!— niech was Bóg błogosławi i na wieki wszelkie złe od was oddali......

XX.

List do Idalji Cz.........

1 Sierpnia 1842 r.
Z Pryjska Woskresieńska.

....A my.... my zaprzedaliśmy wszystkie chwile życia. Tomasz musi codziennie wstawać o trzeciéj, a w dłuższe dni letnie o drugiéj i zaraz idzie na robotę, gdzie musi stać pod odkrytem niebem w upały, w deszcz i chłody; o 7 rano przychodzi na herbatę, wtenczas ja wstaję, ubieram się i idę do dzieci, z któremi zajmuję się do piérwszéj, potém jem obiad z gospodarzami, a Tomasz jada jeden u siebie o 11, i po dwógodzinnym odpoczynku, idzie znowu na przemywkę złota. Kiedy ja przychodzę po obiedzie do siebie, już go nieznajduję. Od obiadu do czwartéj godziny po południu, kiedy niéma gości, mam czas wolny, ale przy mojém słabém zdrowiu, w żaden sposób nie mogę poświęcić go jakiemukolwiek zajęciu się, odurzona bakałarstwem nie jestem w stanie nawet czytać co ważnego i najczęściéj parę godzin przeleżę z ruskim żurnałem w ręku. Od 4 do 7 wieczorem, znowu jestem z dziećmi, a potém, to sadzę kwiaty w ogródku, to muszę towarzyszyć Pani P... na przechadzki piesze lub konne, a kiedy są goście, zasiadają do kart. Nieraz Tomasz utrudzony dzienną pracą już śpi, kiedy ja powracam do niego wieczorem. Oto jest zwyczajny tryb życia, a dni urodzin, imieniny, przynoszą nowe kłopoty — trzeba pisać powinszowania wierszami po rusku, przygotowywać wiązania, *siurprizy* i t. d. Teraz możesz wyrachować wiele mi pozo-

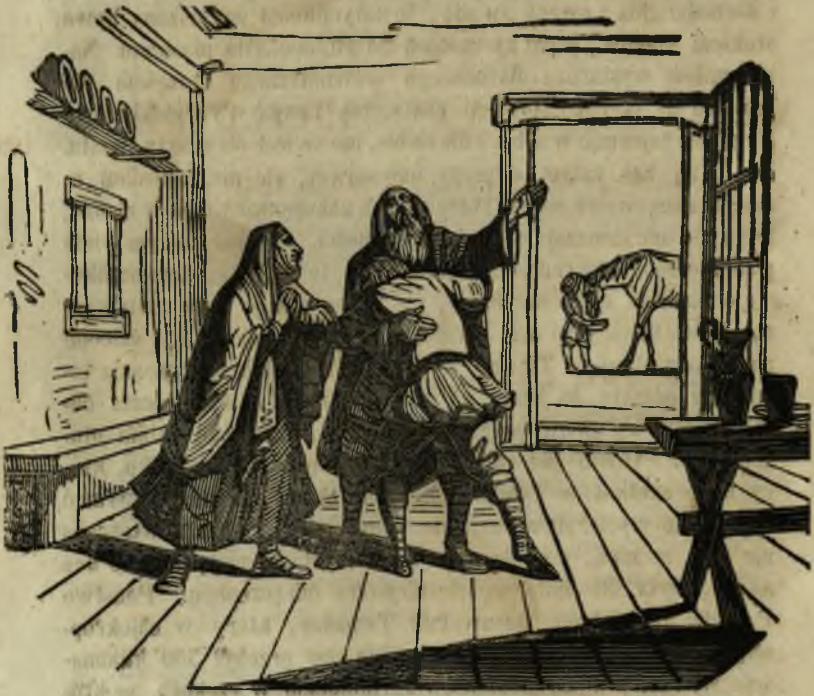
---

tów: Trockiego, Kowieńskiego i Wilkomierskiego, widzieć się daje. *Izabellin*, w którym rodzice autorki mieszkali, jest to folwark nalczący do dóbr Suderwiańskich. (*Wyd.*)

staje czasu na korrespondencje... w ciągu lata jeden tylko króciutki list napisałam do moich rodziców. O pracach umysłowych ani myśléć; mieszkając jeszcze w Tiusiulu, Tomasz zbierał materjały dla opisania tutejszéj kopalni złota, zaczął pracować w przedmiotach filozoficznych. Ja także rzuciłam na papier niektóre myśli o *przeznaczeniu kobiét*, *o dążności naszego wieku*, *o postępie*, i na tym się skończyło. Teraz to wszystko nieobrobione, niewykończone; leży spokojnie pod warstwą pyłu i zapewna tak przeleży aż do naszéj śmierci, a potém pójdzie na funciki, albo na papiloty ciemnego pokoju. Gdyby się nawet znalazła swobodna chwilka, jak wyzwolić myśl przygniecioną grubą prozą najemniczego życia i prozą otaczających nas ludzi? W pracach umysłowych, potrzeba koniecznie niezależności, potrzeba nie wychodzić z kolei, którą postępuje ogólny rozum, potrzeba być w związku z myślącym światem. A do nas wypchniętych z niego, rzuconych w eldorado, (gdzie złoto pod nogami, a w około *les moutons rouges*), jeżeli kiedy i dochodzi głos z owego świata, to natychmiast zagłuszony bywa stukiem kilofów, łopat i teradajek ze złotonośnym piaskiem. Nasza miłość wystarcza dla naszego wewnętrznego szczęścia, ale ona, że się wyrażę słowami poety, jak lampa w rzymskim grobie płonie tajemnie w sobie i dla siebie, nie świeci dla reszty świata. Nie pytaj nas zatym o pracy umysłowéj, ale nie zaniedbuj udzielać nam swoich robot. Tobie grzech zakopywać talent w ziemię, kiedy cię nie zmuszają do tego okoliczności. Chcesz, żebym wiele pisała o sobie, z radością spełniłabym to żądanie, kommunikując ci najdrobniejsze szczegóły, ale wiesz jak ja mało mam czasu: to szczęście, że dziś święto, i Pani P. pojechała z dziećmi na nabożeństwo do Tiusiulu,— inaczéj musiałabym napisanie tego listu odłożyć do jutra: bo jutro niedziela, a dziś poczta odchodzi i w téj chwili przyszedł pocztarz, nie mogę zatém dłużéj pisać. Wiesz już zapewna o nieszczęśliwym wypadku, który mnie spotkał w Tomsku,.... żadne słowa nie mogą wyrazić tego, com wycierpiała fizycznie i moralnie: Tomasza wtenczas nie było ze mną, jeździł na pryiski: myśl, że mogę umrzeć *bez niego*, była dla mnie najboleśniejszém udręczeniem. Państwo P... byli tak dobrzy, że uwolnili Tomasza, który w najokropniejszą bezdroż wiosenną, we cztery dni przebył 300 kilkanaście wiorst, z niebespieczeństwem utonięcia w rzekach, po których już przechodziła kra, (bo to było piérwszych dni Kwiet-

nia). We trzy tygodnie potém, kiedy mi już wróciły siły, wyjechaliśmy na pryisk, gdzie spodziewałam się spędzić czas miléj jak w mieście; lecz śmierć młodéj synowicy Pana P. miłéj szesnastoletniéj dziewczyny, (któréj posag wynoszący kilkakroćstotysięcy rub. assyg. zwabiał zewsząd Pretendentów), rozstroiła wszystkie plany wiejskich zabaw. Umarła z suchot płucnych, które zaniedbano, bo ona biedaczka lękając się, żeby jéj nie pozbawiono tańców i strojów, ukrywała swoje cierpienia. Ja piérwsza otworzyłam oczy jéj ojcu na niebezpieczeństwo ulubionego dziecka, przez kilka tygodni prawie widziałam ją codziennie, starając się przynieść jéj jakąkolwiek ulgę, lecz już było za późno. Zawieziono ją do Tomska dla wezwania rady doktora, i tam skończyła życie 1 Lipca....

Twoja na zawsze, *Teressa.*



ANTONI EDWARD ODYNIEC.

IV.

NA ŚMIERĆ

XIĘDZA STANISŁAWA PARCZEWSKIEGO

(zmarłego w Rzymie, w Maju 1830 r.) *).

1.

Dawnoż to było, o mój przyjacielu!
Gdym twój rówiennik w młodości i zdrowiu,
Gdym twój towarzysz przechadzek bez celu,
Gdy ten sam jeszcze xiężyc był na nowiu,

*) Wiersz niniejszy maluje dostatecznie moralną stronę zmarłego; tu więc dodajemy tylko kilka szczegółów o jego wędrówce po ziemi, zebranych od krewnych jego, zacnéj rodziny *Czerwono-Dworskiéj.*

„Urodził się X. Stanisław Parczewski w gubernji Mohylewskiéj,

Błądziłem z tobą nad Tybru brzegami?—
Noc była jasna, cicha i wesoła,
Niebo, jak zajrzeć, błyszczało gwiazdami,
Prócz kroków naszych— milczenie dokoła.
Pełni tajemnéj, uroczéj radości,
Przy Cestyusza staliśmy kolumnie.
Wspomnienia kraju i wspólnéj przeszłości
Do ust i myśli cisnęły się tłumnie.

---

w powiecie Mścisławskim, w mająteczku *Zalesie*. Ojciec był Sędzią Mścisławskim, a po matce z rodu *Marcinkiewiczów*, był prawnukiem Metropolity *Siestrzencewicza-Bohusza*. Wychował się na Litwie w domu Półkownika Parczewskiego; potém był w Konwikcie Jezuitów Połockich, daléj w gimnazjum Petersburskiém, a nareście w r. 1820 wstąpił do Seminarjum Wileńskiego, gdzie kollegował z teraźniejszym Biskupem Wileńskim X. *Wacławem Żylińskim* i uczonym teologiem X. Kanonikiem *Skidellem*. W r. 1823 otrzymał stopień kandydata Teologji, potém w rok, Magistra, a wreście, w 1825 mając zaledwo lat 23, stopień Doktora Teologji. Wtedy wezwany do Peterzburga przez swego Pradziada Metropolitę Siestrzencewicza-Bohusza, zostawał przy nim aż do śmierci jego. Potém wpływem ówczesnego Wileńskiego Biskupa Kłągiewicza, który chciał mu odstąpić swojéj Katedry *Dogmatyki* i *Historji Kościelnéj*, wyjednany dla niego został koszt z Wileńskiego Uniwersytetu na podróż w celu naukowym w obce kraje, dokąd, po wyświęceniu się na Diakona, w r. 1827 wyjechał, udając się naprzód do Wiednia, a ztamtąd do Rzymu. Tam w r. 1830, mając lat 28, z nagłej choroby życie zakończył.

O znakomitych jego zdolnościach Kaznodziejskich, świadczą niejednokrotne kazania, które miewał jeszcze klerykiem będąc, w Kościele S. Jana w Wilnie. Na pogrzebie Metropolity Siestrzencewicza miał *Mowę pogrzebową* w Kościele S. Stanisława w Kołomnie, w Peterzburgu, w śród licznie zgromadzonego ludu, najpierwszych osób stolicy i z poselstw zagranicznych. W téj mowie X. Stanisław powiedział wiele, chociaż nie wszystko, co Polak na grobie Siestrzencewicza-Bohusza mógł powiedzieć.... Wszakże pokazał wiele zapału, taktu kaznodziejskiego i zdolności poruszania mass... Mowa ta była

Wtenczas ty, pomnę, patrząc na mogiły,
W krąg przed oczyma leżące naszemi,
Które w swém łonie na wieki pokryły
Pielgrzymów obcéj, oddalonéj ziemi: *)
„O biedni oni! — rzekłeś — każdy pewnie,
„Jak my, do kraju tęsknił lub się śpieszył;
„Każdy miał kogoś, co go kochał rzewnie,
„Nadzieją jego powrótu się cieszył.
„Ciężko musiało być im przed skonaniem,
„Bez pożegnania, bez błogosławieństwa;
„Nikt słodkiém słowem, nikt czułém staraniem
„Nie ulżył bolów, nie pokrzepił męztwa;
„Nikt nie wyleje łzy nad ich mogiłą.
„My obcy tylko — nie po nich się smucim.
„Kto wie, co komu Niebo przeznaczyło:
„Litwa daleko — kto zgadnie czy wrócim? —
„Śnił mi się wczoraj przyjaciel umarły,
„Wiódł mię za sobą do ciemnego gmachu:
„Widziałem matkę we łzach i przestrachu,
„Chciała mię wstrzymać — w tém się drzwi zawarły."
Śmiejąc się, pomnę, jam twój sen tłómaczył,
Bo ach! czyż mogłem przewidzieć w tę chwilę,
By ten sam jeszcze xiężyc mnie obaczył,
Mnie — klęczącego na twojéj mogile.

---

wydrukowaną osóbno, pod tytułem: *Oraison funèbre de Monseigneur Stanislas Siestrzencewicz de Bohusz, Métropolitain* etc. *Prononcé le 15 Dec. 1826. par l'Abbé Stanislas Parczewski, Docteur en théologie, élève du Séminaire général de Vilna. 1827. St. Petersbourg. Avec des notes sur la vie privée et publique de S. Em. extrait des manuscrits du defunt.*

O przedmiocie prac literackich zmarłego, dowiadujemy się z niniejszego wiersza. Wspomniane w nim przepowiednia i szczegóły śmierci, są prawdziwe. (*Przypis Wydawcy*).

*) Cmentarz Angielski.

2.

Boże! któż celów woli Twej docieczе,
Kto pojmie drogi Twego przeznaczenia:
Gdy wielkie, piękne zamiary człowiecze,
Gdy gieniuszu wyższego natchnienia,
Jak krzewy innych światów, na tym świecie
Tak często w płonnym opadają kwiecie?
Ach! jam znał tajnie duszy jego!— cała
Była miłością Boga, bliźnich, cnoty;
Jam widział cele, do których myśl śmiała
Swe nieugięte kierowała loty.
Jam widział skarby jego wyobraźni,
I nauk pracą zebranych wytrwałą.—
Niestety! czemuż głos tylko przyjaźni
Ma być ich całą rękojmią i chwałą?—
Kilka lat jeszcze— a jużby twe chęci
Stawszy się czynem, służyły ojczyźnie;
Kilka lat jeszcze— a ziomków pamięci
Imieby twoje zostało w spuściźnie!—
U stóp ołtarzy stałeś już gotowy,
W albie Pokory, w stule Poświęcenia,
By śladem Skargi, mówca złoto-słowy,
Lud swój z miłością wołać do zbawienia.
I wyobraźni pochodnię iskrzystą
Wstrząsłszy nad dziejów przeszłością ojczystą,
Jużeś był poczuł ową ducha dzielność,
Co przeszłość słowem wskrzesza w nieśmiertelność *).
O! wieleś wróżył nam wszystkim i sobie!
Ale inaczéj rozrządziły Nieba.
I cóż nam dzisiaj zostało po tobie?—
Ach! przykład chyba jak umierać trzeba.

---

*) Głównym celem naukowych i literackich prac zmarłego była historya i powieści historyczne. Rozpoczęta na krótko przed zgonem, i prawie do połowy doprowadzona powieść p. t. *Władysław Biały*, byłaby bezwątpienia jedną z celniejszych ozdób literatury polskiéj, gdyby mu ją śmierć skończyć dozwoliła. (*Aut.*)

3.

Pomnę gdy konał.— Północ bliska była,
W koło nas ziomków ciche grono stało.
Mdłe światło lampy, co się w izbie tliła,
Śród cieniów naszych na twarz mu padało.

Twarz miał spokojną.— wiedział że umierał,
W piersiach już coraz brakło mu oddechu;
Przecież spokojnie na wszystkich spozierał,
I usta jeszcze silił do uśmiechu.

Ujrzał łzy nasze— i wyciągnął rękę.
„Nie płaczcie! gorzko było mi na świecie.
„Proście bym tylko rychléj skończył mękę.
„Prędzéj czy późniéj— i wy tam przyjdziecie.

„Żal mi umierać— ale się nic boję.
„Marzyłem tyle o szczęściu, o sławie,
„A dziś tak nędznie kończę tu dni moje,
„Śladu po sobie nawet nie zostawię!

„Lecz chęci moje widział Bóg na Niebie,
„Chciałem był służyć Jemu i krajowi.—
„Niech choć z was każdy, na moim pogrzebie,
„Rodzinną mową jeden pacierz zmówi!"—

Z gorzkiém wzruszeniem rzekł słowa ostatnie,
I oczy jego zalały się łzami;
Skinął nam ręką pożegnanie bratnie,
I nic już więcéj nie rozmawiał z nami.

Odwrócił głowę i zamknął powieki,
Lecz widać było z ust lekkiego ruchu,
Że myśl ostatnią, nim zgasła na wieki,
Wzniósł ku wieczności, i modlił się w duchu.

Z uszanowaniem poszliśmy na stronę.—
W tém zegar północ po mieście uderzył.

łyszym westchnienie ciężkie, przytłumione—
Biegniem do łoża— nieszczęsny już nie żył!

Czy go modlitwa tak uspokoiła,
Czy śmierć tak lekko skończyła cierpienia,
Że twarz tak słodka, tak spokojna była,
Jak gdyby tylko spał snem ozdrowienia?

Cześć nas obeszła.— Jak staliśmy w koło,
Z krzyżem na piersiach, skronieśmy schylili.
Potém zasłonę rzuciwszy na czoło,
Raz piérwszy jego samym zostawili.

Ziomku! gdy będziesz śród Rzymian stolicy,
A wspomnisz sobie tę powieść żałoby,
Tam w Stanisława Świętego kaplicy,
Gdzie gości polskich znajdują się groby,
Znajdziesz grób jego:— na bryle kamienia
Wyryte imie.— Pomyśl o nicości:
Nauki, chwały, zdrowia i młodości,
I zmów po polsku *Trojc pozdrowienia.*

Rzym. w Czerwcu 1830 r.

MEMENTO-MORI.

O LUDZIE! ludzie! gdybyście wy czuli,
Jak wątłe życie tych których kochacie,
Czyżbyście sami tyle chwil im truli,
Chwil, co tak mało do użycia macie?

Cóż że dziś duma winę z siebie zwali,
Że serce, ranie podobne świerzbiącej,
W łzach lub drażnieniu, na gniew co je pali,
Kosztuje ulgi — ból tylko lechcącej?

Przyjdzie czas, przyjdzie, kiedy te powieki,
Co dziś dzień cały krzywd niewinnych płaczą,
Znużone łzami, zamkną się na wieki,
I już twej poźnej skruchy nie obaczą;

Gdy te ramiona, co dziś nadaremnie
Wznoszą ku tobie uścisk pojednania,
Złożone na krzyż, ostygną wzajemnie
Na łzy pokory i pocałowania;

Kiedy to serce, co dziś tak surowo
Krzywdzisz, jak tyran poddanego sobie,
Pewny, że łatwo przebłagasz na nowo:
Czuć już nie będzie, by przebaczyć tobie;

Gdy to oblicze, co jak zorze ranne
Światłem pociechy na twą duszę biło,
Na wieki oczóm twoim odebrane,
Grabarze ciężką narzucą mogiłą.

Pomyśl nieszczęsny! gdy wrócisz do domu,
I znajdziesz pustki okryte żałobą;
Co poczniesz wtedy, gdy nie będzie komu
Ni cię pocieszyć, ni zapłakać z tobą?

Gdy wspomnisz miłość, coś miał, a odrzucił;
Gdy wspomnisz szczęście, coś mógł, a nie użył;
Chwile coś zatruł, dni coś może skrócił,
I cierpiąc, będziesz czuł, żeś sam zasłużył?

Próżno natenczas na kolanach skruchy,
Przyzywać będziesz kochanego ducha,
Ty, coś był w życiu na głos jego głuchy,
Śmiałżebyś mniemać, że cię on wysłucha?

I tak dzień po dniu— aż z rozpaczą wściekłą,
Sam zaczniesz na się wzywać pomsty Bożéj,
Szczęśliwy jeszcze! gdy to ziemskie piekło
Bramę Litości twéj duszy otworzy.

1833 r.

VII.

RADA PIĘKNÉJ.

Jeśli cię chwała z wdzięków napuszy,
Ja ci poradzę co zrób.
Patrz na się nagą, i myśl: bez duszy,
To moje ciało jest— trup.

W całun obwite, w trumnie zabite,
W ciemny zarzucą je loch;
Pleśń je otoczy, robak roztoczy,
Zostanie szkielet i proch.

Lecz dusza, duszą, którą jest w tobie,
Ta nieśmiertelna jak Bóg,
Co ją z miłością woła ku sobie,
I swoich nauczа dróg.

O jéj dbaj piękność, aby gdy stanie
Na Pański w Niebie sąd,
Nie zawołało straszne wołanie:
„Skażona! precz idź ztąd!"

1840. r.


MILDA.
Kantata Mitologiczna.
Treść z Podań
LITWY.
podług poematu Witolorauda.
Muzyka
Stanisława Moniuszki
Słowa
Ed. Chłopickiego.



P. Leokadji z Bagniewskich Bonoldi,

poświęcam.

O muzyko! Tyś jest drużką miłości i cnoty!
Tyś Mojżeszową rószczką z pustyni życia
Zdroje nieziemskiéj roskoszy wywołującą!...

Klopstock.



Nie groźna to burza zaszumiała w obłokach, żmudzka to gędźba obmyśla się na ziemi. Nie wiater w polu zamieć podnosi, luby to nasz gęślarz, swoje gęśle nastraja *). Prosim nie na ucztę hucz-

*) Może już i o znaczeniu tego wyrazu zapomniano u nas: *gędźba*, w starodawnym języku znaczy: Muzyka.

Dawidzie przyjdź z gędźbą!

Mówi Prorok Jeremjasz.

OSIEŁ W NIENAWIŚCI WSZELKĄ GĘDŹBĘ MA (!)

Mówi Siennik.

Gędzić, znaczy: grać. Ślad barbarzyńskich wyobrażeń naszych

ną, a na gędźbę sztuczną. A będzie o tém gędźba, jak dawniéj Litwa po prostu żyła,— miód, krupnik *), miasto wina piła; kmiotki w białych sukmanach na piecu leżeli; białogłowy w rańtuchach, w trzynitnych chodziły, a głowy rutą stroiły; ajerem komnaty słali, a wężóm na progach cześć oddawali; pieczone kuropatki same w gębę wlatały, ptasiego chyba mléka chatki niemiały; rzeki wtedy mlékiem płynęły, a w puszczach barcie miodową wonią tchnęły: kto chcesz śniadać, otworz tylko gębę, same pszczołki niosły miód do gąbki. To jeszcze nie gędźba, a gędziebka, gędźba będzie daléj. Zacznie się nasza gędźba od ludu bogobojnego, od bohatera dzielnego, od krotochwili miłośnéj, co z nieba spadła na ziemię. A Waspaństwo prosim, naszéj gędźby posłuchać, co zda się— pochwalić, a co nie,— nie zganić. Gędź-

---

przodków o talentach w ogólności, pozostał w następnym wierszu Rysińskiego:

Która czyta, śpiéwa, gędzie,
Z téj rzadko cnotliwa będzie (!!)

Oto co mówi *Kochowski* do umizgających się do niejakiéj Panny Salomei:

A przy Saluci,
Nic z tego nie będzie,
Choć Orland gędzie,
Choć Balcerek nóci....

Ale najlepiéj wystąpił Pan *Bartosz Paprocki*, szlachcic herbu *Gozdawa*:

Niech s....., gdy nie umie
Na dudach nie gędzie. (!)

Gęśla albo *gęśl*, jedno z najdawniejszych słowiańskich *naczyń gędziebnych*, które i dziś jeszcze nie jest zupełnie zarzucone. Miało pospolicie tylko trzy stróny dróciane, które pałeczkami lub kijkami uderzane, różny dźwięk wydawały. *Słowniczek wyrazów polskich znaczących naczynia gędziebne przez Ks. Adama Czartoryskiego Marszałka Poln. w Czasopiśmie Lwowskim.*

Są ślady, że były gęśle o dziewięciu strónach:

Grajcie na gęśli dziewięciostrónnéj:
Karpiński.

Były *gęśle podgórskie*, o których Szymonowicz w Sielankach wspomina. W przenośném znaczeniu: lutnia, cytara, lira, cytra, skrzypce.

*) Rodzaj napoju do dziś dnia ulubionego na Litwie. Składa się z wódki palonéj z imbierem i pieprzem.

ba dźwięczy się mozolnie, a akkord, jako wróblik, uleci, nie złapiesz go.

Onego czasu, za dawnych Kungasów, w pewnem państwie, w litewskiem księstwie, za górami, za lasami, na równinach, pod siołami, był gaj znamienity, a w tym gaju, starym jak Litwa i Litwinów bogi, na pogórzu u Niemnowej rozłogi, stał wiejski ołtarz z darna i dzikich kamieni. Tam tylko ptacy dolatują swobodni, tam kupi się lud pobożny i wiejskie niesie ofiary, bo tam zstępuje z wysokiego Dungusu *), Boginia Miłości, Milda, którą w wyłącznej czci ma lud po całej Litwie.

Tam Bogini żadną ofiarą nie gardzi: szczęściem nagradza, napomnieniem karze. Co roku, kiedy wiośnianny miesiąc *Karwillis,* rozweseli te okolice, pobudzi ze snu zimowego drzewa, a rozłogi Niemnowe w majowe szaty przyodzieje, wtedy— gdy cała Litwa obchodzi święto świętej Mildy,— lud pobożny z Kowna gromadnie to święte miejsce odwiedza.

Do tego samotnego gaju, co nocy przy blasku księżyca, nad brzegiem Niemna, skrada się jakiś człowiek, i oczekuje tajemnie u ołtarza Mildy. Cóż głuchą puszczę ożywia dla niego? Tyle ołtarzów ma Milda na Litwie, ale on tylko ten ołtarz samotny polubił:



*) Olimp w Mitologji litewskiej.

„Czemuż tam modlić, czemuż do nich prosić,
Czemuż się kłaniać nie pójdzie tam lepiej?
Czemuż ten prosty ołtarz wiejskiej Mildy
Milszy mu nawet od Świątyń Kowieńskich,
Gdzie drogi bursztyn złotemi wstęgami
Płynie z różami usłanych ołtarzów?..."

(*Witolorauda*).

Kto on jest, nie poznasz po odzieży; prosty go ubior wieśniaka okrywa;

„Na nogach *wižos* *) z kory uplecione,
Łuk ze strzałąmi przypięty na plecach;
A głowę paszcza niedźwiedzia osłania,
Rudemi włosy jeżąc się na skronie.
Szłyk, jego odzież; obówie Litwina,
Jak gdyby z numy **) wychodził na łowy."

Jest to bohater litewskich lasów. Myśli jego unoszą się tam, kędy białe cienie poległych w boju rycerzy, z ojcami, w złotych rogach litewski miód piją i na skrzydlatych rumakach w przestrzeni niebios unoszą się. Ale zaledwo w lipowy gaj wchodzi i zbliża się do Mildorohu ***), z okiem na ołtarz zwr óconém

....Światło z ołtarza zabłysło,
„Jak pierwsza gwiazda na zachodniém niebie,
Blade i małe; lecz rosło, jaśniało,
Jak księżyc młody, lub jak chmurka biała,
Która go czasem swą szatą osłoni,
I jego blaskiem z nieba się uśmiecha.
Już ołtarz cały jaśniał mu srebrzysto,
Światło się coraz zwiększało,— mieniło,
Aż wreście postać kobiety przybrało."

Jest to sama Bogini, z miłością w ustach, z różami na skroni, naga jak dziecię; w ręku trzyma czaszę z bursztynu z wonnym napojem Bogów. Skoro się ujrzeli, Bogini rzuca się w objęcia człowieka:

„I jak wąż wierzbę opasuje sobą,
Jak powój, co się na olchach zawiesza,
Jak chmiel, co płoty miłośnie owija,
Tak ona jego oplotła uściskiem..."

---

*) Łapcie.
**) Chata.
***) Ołtarz Mildy.

Tak przebyli do świtu. Ale *Jutrzeńka*, której Bogowie poruczyli czuwanie nad światem, od samego zarania tocząc po niebie od wschodu, ujrzała miłośną parę, i przerażona niesłychaną zbrodnią Bogini, bieży na Dungus, do Perkuna władzcy nieba i ziemi, co spoczywając na chmurach, w których śpią pioruny, pogląda na świat pod nogami swemi. Bieży i donosi, co się stało u ołtarza Mildy: zamiast serca rozgrzewać, usta spajać i sypać roskosze, ona pieści się z człowiekiem:

„Ach! spójrzcie, co się w Litwie dzieje!
Niema miłości, ni małżeństw, ni zgody!..."

Zatrząsł się Perkun, aż się niebiosa i góry wschodu w posadach zagrzmiały; wysyła duchy na zabicie człowieka, czarne chmury podnoszą się na wiatrach, uragany i zniszczenie miotają po horyzoncie, zbledli Bogowie, a zbudzeni ludzie, padli na modlitwę...



„W chmurach już Perkun huczał groźbą straszną,
Przed której głosem, co żyje na ziemi,
Od drobnych muszek, aż do dębów świętych
Tuląc się, płaszcząc, zginało i drżało."

Milda staje przed Perkunem. W około niego Bogi, Boginie i niebieskie duchy: wszyscy zadrżeli, gdy na Dungus weszła; wszystko ucichło, jak się ucisza szum wiatrów i fal ko-

łysanie. Tu Milda z rozpuszczonym złotym warkoczem, ze łzą w oku, niema, czekała wyroku przedwiecznego; głosem rozdzierającej rospaczy, zaniosła proźbę do groźnego Boga. Nieubłagany Perkun przeklął i strącił Boginię na ziemię, aby się wiecznie tułała pomiędzy ludem śmiertelnym. Tu Milda znajduje



gościnne przyjęcie; Matki, żony i dziewice czekały ją oddawna.... Ludzie owiani światłem wiary Chrystusowéj, wznoszą nowe ołtarze Miłości, pogańska Bogini zmienia się w ideał Wiary, Nadziei, Miłości,—następuje powszechna harmonja, tryumf dobra nad złém, światła nad ciemnościami, Chrześcijaństwa nad pogaństwem.

Oto jest pokrótce treść tego pięknego utworu, powstałego w duszy i sercu Muzyka-Poety, do którego myśl pierwszą podała treść *Witoloraudy*, która od czasu wyjścia poematu, przez lat ośm, nieprzestawała dręczyć artystowski genjusz jego. Nosił on ją z sobą, uwięzłą w mozgu, pieścił się z nią przez lat tyle i obmyśliwszy w harmonijny całokształt, puszcza ją dopiero w świat pomiędzy ludzi. W tym jedynie celu odbył podróż po Litwie, szczególnie po Żmudzi, gdzie zebrał mnóstwo narodowych motywów. Te motywa nie kładł pod muzyką, w prostym nieobrobionym kształcie, aby zajmowały pod słowami *juxta positio*, coby potrafił uczynić każdy *krok-not* fortepianista, ale przejął się ich duchem, i duch ten przelał w swoją poetyczno-muzykalną, samodzielną kompozycję, jak genjalny Szopen,—nie tancerskie zamaszystości salonu, ale duch pieśni narodu, które odbiła tęskna dusza jego, przelał w swoje, tak zwane *Mazury*. Na tém bowiem cała zależy samodzielność prawdziwie artystowskiego pomysłu i kompozycji, jako też i wartość użytych motywów gminu. Właśnie tu się zawiera cała powinność artysty, umiejącego w utwor wyższego polotu, wlać ducha narodowego pienia, i nadać kształty, jakie mu poda natchnienie jego muzykalnéj organizacji. Gdyby nie ostry wzrok entuzjastów zagranicznéj muzyki w téj chwili na nas zwrócony, niewahalibyśmy się postawić tę kompozycją obok przechwalonéj Ody-Symfonji *Felicjana Dawida*, do któréj ma nawet niejakie podobieństwo, jak wyborem poetyczno-opisowego przedmiotu, tak zewnętrzną formą i użyciem podobnych muzykalnych środków. Że zaś użycie tych środków, wprowadzonych do muzyki tegoczesnéj, jest podobno czy nie najnowszą kwestją w podobnego rodzaju kompozycjach, zastanowię się przeto nad tém obszérniéj i zarazem dowiodę powyższe moje, może niektórych rażące cokolwiek, twierdzenie.

Użycie owych środków nadarza się w tych miejscach kompozycji, gdzie niémasz ni dramy, ni pienia, gdzie przedmiot przedstawia same tylko *poetyckie obrazy*, które składają pojaśniającą i dopełniającą część muzykalnego utworu: część ta wynika z koniecznéj własności muzyki, która mając charakter nieokreślności, jakiejś nieskończoności, *quelque chose de vague*, jak wszystko co z uczucia pochodzi, nie jest w stanie sama wszystkiego plastycznie przedstawić, aby niewprawny słuchacz mógł wszystko pojąć, co chce artysta wcielić w jego duszę. Dla tego w poemacie, w *libretto* wprowadza się *opowiadanie*, wiążące część czysto muzykalną: *recitativa*, pieśni i chory. Użycie wszakże tych środków nie jest wynalazkiem wieku naszego: wprowadzali już je dawni wielcy Mistrzowie, jak np. sam wielki Hajden, w najwznioślejszym utworze, jaki posiada świat muzykalny, w *Stworzeniu Świata*: takim sposobem jest tam oddany *Wschód Słońca*. Za nim poszedł i Felicjan Dawid w swéj *Pustyni*, do czego mu nie mało dopomogła daleko więcéj udoskonalona instrumentacja orkiestry nowoczesnéj.

Proces tego oddawania obrazów dźwiękami jest nader ciekawy. Tak Dawid, zaraz na wstępie, dla rozwinięcia przed oczami słuchacza obrazu nieskończoności przestworu Pustyni arabskiéj, wprowadza skrzypce *solo*, które ciągną nadzwyczajnie przedłużone *pianissimo tremolo*, zatrzymując smyczek aż u samego podstawka instrumentu. Po kilku miarach, znowu drugie skrzypce zaczynają drżenie na kwincie, daléj z kolei trzecie, czwarte, piąte i t. d. chorem jedne po drugich, aż póki z tego różnogłosu wysuwający się hoboj, nie wyda kilku nót harmonijnych; potém klarynet podnosi je wyżéj, wyżéj, i jeszcze nie skończył klarynet, a już kontra-bassy podnoszą stłumione echa: tu powitanie brzasku rozlega się w orkestrze; wszystkie instrumenta obudzają się hurmem, wszystkie ubiegają się o wydanie tego ułamka harmonji zadziwiającéj; to wszystkie razem, to pojedyńczo, to jedne nad drugiemi; to coraz wzrastające spółubieganie się dosięga nareście uroczystych, dotąd milczących trombonów, tu następuje szum, wrzawa, jęk w tém wiecznem *tremolo*, które od początku drżeć nie przestaje, i do którego łączą się wszystkie instrumenta strunne, formując straszliwe *crescendo*, i nareście pochłaniają cały ten utwor. Nagle bęben zadaje raz okrótny: wszystko zamilka: otoż i Słońce na pustyni weszło!...

Jest to wystawa zupełnie materjalna. Nie tylko w sztukach, ale i w literaturze użycie podobnych środków jest dziś powszechne; na teatrach, w romansach, zamiast cierpień moralnych, starają się malować cierpienia fizyczne. Nie znajdziesz zawiści, zazdrości, nienawiści, miłości, uczucia macierzyńskiego, wystawionych jako namiętność duszy, ale raczéj jako passje cielesne: pisarze materjalizują je, uźwierzęcają, sądząc uczynić je silniejszemi i energiczniejszemi; namiętności moralne posuwają do naśladownictwa namiętności fizycznych; sądziłbyś że mają wiarę tylko w te uczucia duszy, o których można się przekonać za pomocą kontorsji fizycznych. Potrzeba konwulsji ciała, aby dziś wierzono we wzruszenia duszy. Nie tylko to w literaturze i na teatrach, ale w świecie, w życiu codziennêm, oceniamy namiętności tylko podług skutków, jakie na zdrowie nasze wywierają. Gdzie poprzednicy nasi radzili się serca, tam my pulsu macamy; wątpiemy o smutkach, które nie zadają szczerby zdrowiu, nie wierzymy w namiętność która do domu Warjatów nie prowadzi, a w cierpieniach udajemy się prędzéj do lekarza niż kapłana, ponieważ, mimo woli naszéj, wierzymy tylko w cielesność. Jednêm słowem, literatura dzisiejsza zajmuje się więcéj przedstawieniem instynktu, niżeli uczucia. Aby się o têm przekonać, dość wziąść w rękę którykolwiek z romansów Wiktora Hugo, Sue, Dumasa i Komp.

Nie mówię aby sama literatura w gruncie swoim była materjalną,—nie,—od czasów Ewangelji w sztukach i literaturze świat nasz oddaje przewagę duchowi nad ciałem; literatura nasza przez wybór przedmiotów jest zawsze czysto duchową, ale jest materjalną przez formy użyte do przejawienia onéj.

Toż samo było u starożytnych. Literatura i sztuki, pomimo grubego materjalizmu, który był gruntem ich religji—pod wpływem filozofji dawały przewagę duchowności.

Ale dawniéj, wyrażenie uczuć, było ściśle połączone z naturą samychże uczuć, miało ono cóś uroczystego i wzniosłego, czasem też cóś zanadto abstrakcyjnego. Każde poruszenie duszy ma sobie odpowiedne poruszenie w zmysłach, jeżeli można tak się wyrazić. Ale nigdy zmysłowość nie ośmieliła się u starożytnych zająć miejsce uczuciowości; literatura starała się zawsze wydać duszę ludzką, ale nigdy ciało. Dziś starają się wystawiać *dotykalnie* uczucia serca ludzkiego, wyrabiać je, jak skulptor wyra-

bia członki posągu. Ale że przez subtelność swojéj natury uczucia wymykają się nowoczesnym Michałom-Aniołóm, przeto chcąc nie chcąc, trzeba było udać się o pomoc do zmysłowości. Sensualizm jest grubym i wybitniejszym, posiada więcéj massywności i wypukłości; nagina się łatwiéj do przyjętych dziś form rodzaju i stylu.

Ale wracając do powyższego *muzykalnego obrazu słońca*, czy ten obraz jest takiéj wierności, że każdy wezmie go za to, co muzyk chciał przedstawić?—Nie sądzę.—Całe to naśladownictwo natury zasadza się na pewnych warunkach, uświęconych przez sztukę. Wrażenie od takiego obrazu nie może być jednakie. Wszystko zależeć będzie od wewnętrznego albo też chwilowego usposobienia. Spytaj nie uprzedzonych słuchaczów, co ta muzyka znaczy?—Poeta powie, że to burza: naprzód cisza, z lekka tylko wiatr duszący nagania szybko lecące obłoki, ciężarne elektrycznością, daléj deszcz, daléj ulewa, grzmoty, błyski, nareście uderzenie piorunu! Może poeta jeszcze cóś bardziéj poetycznego wymyśli... (ale zkąd ja mam wiedzieć o tém?). Żołnierzowi wyda się to bitwą... Polityko-Ekonomowi pokaże się w tém *Corn-bill* wzięty pod rozbiór reprezentantów narodu, obstawanie w Izbie Niższéj, wahanie się w Izbie Lordów, przygrawki na prawo i na lewo Ministra *Pila*, potém wrzawa narodu angielskiego i żurnalistów, nareście wrzaskliwe *tutti*, przejście bilu oznaczać dla niego będzie. Dla jakiego np. nowicjusza,—muzyka, pragnącego dostać się do orkiestry w Operze, to przeciągłe tremolo, czyż nie wydałoby się wahaniem urzędu w przyjęciu nowego artysty; probowanie go w operetkach i wodewilkach, i w różnych warjacjach na temy narodowe; coraz większe *crescendo* faworów publiczności, a zatém i saméj dyrekcji, a nakoniec huczne uderzenie litawrów, czyż nie wybornie przedstawiłoby ową radośną chwilę patentu i porządnéj pensyjki, któraby pocieszyła lepiéj duszeczkę biedaka, od wszelkiéj najuczeńszéj kompozycji.... Dla mnie samego, ów wschód słońca, mógłby zarówno wyrażać, pośród chaosu pogańskich wyobrażeń zaranny brzask jutrzenki oświaty, światło wiary szerzące się z nauką Chrystusa, ciągłe dążenie ludzkości do udoskonalenia, nareście wzrastanie postępu umysłowego, targanego z boków przez zgubne dla ludzkości teorje, nareście w ogólnym i harmonijnym hymnie, tryumf miłości i braterstwa!... *Vous me dites, M. Felicien, que c'est le lever du soleil?* że to wschód słońca?—Zgoda! Niech i tak będzie... *Va! pour le soleil!...*

Dla tego-to, w tego rodzaju muzykalnych wystawach, używa się ku pomocy poeta i deklamator. Tak zrobił Dawid. Oto patrzcie! zaledwo dały się ścicha słyszeć rznięte instrumenta i podstąpiły kontrabassy, biorąc pokolei rozmaite noty gammy *ut*, aż oto podnosi się ze stołka jakaś poważna, *klassyczna* figura, i z uroczystą miną, z *laharpowską* deklamacją, rozpoczyna objaśnienie fenomenów afrykańskiego stepu *) Bez niego, któżby np. pojął, że *chromatyczne gammy* mają oznaczać śmiertelny w pustyni wiatr *Simoun!*?

Ale słowa, które są w gruncie materjalnym środkiem, a muzyka w gruncie środkiem oduchownionym, zlewają się z sobą tylko pod warunkiem, iż pierwsze ulegną zupełnie władzy tonów: tak uczynił P. Moniuszko: muzyka u niego góruje nad wierszami, ćwiertuje one, kaprysi się z niemi; słowa giną w psalmodji, w śpiewie, a wydaje się tylko myśl poety: u Dawida jednotonna deklamacja walczy przeciwko całej sile wyuzdanej orkiestry....

Rozwiodłem się obszerniej nad tym przedmiotem, bo to jest jakby tłem, jakby kanwą, na której się cały poemat Mildy rozwija; bo użycie podobnych środków jest dziś powszechnem w muzyce europejskiej; bo ten rodzaj muzyki nowej, że tak nazwę, *obrazowo-poetycznej*,—jaką przejawiają najnowsze utwory Hektora Berlioza, Fel. Dawida i innych,—koniecznie wymaga użycia tych sposobów: w tych bowiem utworach zlewa się myśl i wyobraźnia poety z myślą i wyobraźnią kompozytora; nareście użycie onych jest zupełną nowością u nas, a jako nowość, może uledz fałszywemu pojęciu i rozumowaniu, przypuściwszy, że u nas są ludzie, co nad muzyką zastanawiają się i rozumują...

Zaletą muzyki jest jéj charakter nieułowiony, nie dający się określić, stąd łatwość jéj obudzenia echa w duszy człowieczéj: jest ona wesołą lub melancholijną. Ale znaczenie jéj, powtarzam, każdy sobie tłumaczy podług uczucia, którém przepełnioną jest dusza jego.

Nie chodzi nam bowiem o obraz, jaki kompozytor chciał sobie przedstawić, ale o wrażenie, jakie na nas wywrzeć powinien ów obraz. Jeżeliś sam był inspirowany, kompozytorze, to wzruszenie twoje przeleje się we mnie, nawet bez pośrednictwa

---

*) Było to w koncercie *Filarmonicznego Towarzystwa*, w r. 1846, w Petersburgu.

materjalnego środka, jakim jest *słowo* Oto jest źródło uczucia, którego praw niepodobna oznaczyć, i które stanowi najwznioślejszy urok w dziedzinie sztuk pięknych.... a przedewszystkiem w muzyce...

W tym względzie Muzyka jest wyższą nawet nad Malarstwo, jak ideał jest wyższym nad rzeczywistość. Przyjemność jaką odbieramy z widoku pięknego malowidła, nie może się porównać z wrażeniem sprawioném przez muzykę. Lyra Amfjona wzruszała skały, Orfeusz dzikie zwierzęta ugłaskał, Linus ludzi gromadził w społeczność,— a największym było cudem Zeuksysa, że udało się mu zatrzymać kupę wróblów na gałęzi!!....

Ale wracając od tych ogólników do saméj kompozycji P. Moniuszki, wraz po wstępie obrazowującym miejscowość, i przechodzącym u Muzyka w ton psalmodji albo melopei reczitatiwu, następujący

I. Chór Litwinów uderza oryginalnością swoją, nawet nie nader wprawne ucho, a dla najwprawniejszego, wydaje się zupełnie nową kombinacją; jakkolwiek to połączenie tonów w oryginalnéj harmonji wydaje się z początku dziką muzyką, wsłuchawszy się bacznie czujesz, nie pojmując, że w tém jest cóś swojskiego, cóś narodowego, osobliwie dla tych, co byli i żyli na Litwie. Jest to pieśń idących do Świętego Ołtarza pielgrzymów, utworzona zupełnie w duchu pieśni ludu Żmudzkiego. Nie żywcem wzięta, jak robią pospolici kompilatorowie, ale duch pieśni, natchnieniem Poety-Muzyka wprowadzony w wyższą dziedzinę sztuki. Bo to jest właśnie, co stanowi odtworzenie pierwiastku narodowego w sztuce. Trzeba to dobrze rozumieć, aby się nie wydała ta oryginalność dziwaczną w uszach, u nas tak mocno nawykłych do kompozycji włoskich, francuzkich, niemieckich, i choćby z księżyca idących, a tylko nie polskich....

Pieśń ta Pielgrzymów należy do najoryginalniejszych ustępów w téj Kawatinie i tak się zaczyna *):

Już pod niebem Saule **) płonie,
Ziemię szata wiosny krasi,

---

*) Wszystkie poniżéj przytoczone wiersze z libretto są pióra P. *Edwarda Chłopickiego.*

**) Słońce.

Litwin tęskniąc w swym zagonie
W numie *) święty ogień gasi;
I z chudobą w dzieci wianku
Przez ten Niemna brzeg zielony,
O kwiecistych dni poranku
Spieszy w Mildy gaj święcony.

*

O! jak lot łabędziów chyży
Umykajcie borów knieje;
Niechaj spieszniej, niechaj bliżej
Z góry ołtarz jéj zatlęje:
Z dymem ofiar, modłów głosy
Grzmotnym chorem ku niéj wzniesim,
I dosłyszą nas niebiosy,
I znów w sercach miłość wzniecim!

*

Lecz nim życie w cichem siole
Z modłów zbierze owoc złoty,
Nim w rodzinném błyśnie kole
Wiek miłości, i wiek cnoty—
Wprzód Litwini—w bratnim wianku
Przez ten Niemna brzeg zielony,
O kwiecistych dni poranku
Śpieszmy uczcić Gaj święcony!

II. Modlitwa ludu u ołtarza Mildy, złożona z choru kobiét, choru mężczyzn i połączonego choru kobiét i mężczyzn razem:

KOBIETY.

Mildo, wzywamy opieki twéj,
Na sioła nasze łaski twe zléj!

MĘŻCZYZNI.

Bo w nas miłości wysechł już zdrój,
W domach niezgoda, śród braci bój!

---

*) W chacie.

MĘŻCZYŹNI I KOBIETY.

O Dejwo *) Święta! daj nam twój cud!
Tchnienie twej łaski zbawi nasz lud.

Tu też brzmi pieśń narodu, tu też kompozytor stosował się do kościelnego pienia Żmudzinów—tych pieśni, które tworzą się samoistnie po różnych kościołkach pobożnej Żmudzi, a które zebrane w pewną całość, byłyby nader pożądanym darem dla kompozytorów **).

III. Pieśń Romoisa—solo, tchnie najtkliwszém uczuciem kochającego młodzieńca i napawa urokiem roskoszy ucho pojętnego słuchacza. Pieśń ta samotna, przerywa się opowiadaniem i ukazaniem się Bogini:

Gdy chór ich słońce do snu kołysze
Czarę roskoszy noc sączy we mnie;
Z gwarnego świata w błogie zacisze
Do ciebie Mildo spieszę tajemnie,
I śledzę ciebie czy nie dosłyszę,
Czy nie dopatrzę w orszaku chmur!

*

O ptaku złoty! dąb, twój kochanek
W zielone, młode zwie cię ramiona:
Spłyń o Królowo! — wszak już twój wianek,
I woń ust słodkich mnie poślubiona,
Mildo, nim błyśnie zazdrosny ranek
Kroplę roskoszy niebiańskiej zlej!.,.

IV. Duet Romoisa i Mildy, pełen energji miłośnego oddania się i poświęcenia, *belliniowskiego* liryzmu; kończą się pieszczotne dźwięki duetu i zaczyna się pełna ruchu dramatycznego

V. Arja Jutrzenki:

Spójrzcie, och spójrzcie, co się w Litwie dzieje!
Nie ma miłości, ni małżeństw, ni zgody.
Milda w swym gaju nie ofiar wygląda,
Lecz u ołtarza pieści się z człowiekiem i t. d.

(*Witoloranda*).

---

*) Bogini.

**) Za wzór podobnego zbioru mógłby służyć *Śpiewnik kościelny czyli Pieśni nabożne z melodjami* p. X. M. M. *Mioduszewskiego*, wyd w Krakowie 1838.

Te słowa z nieporównanym wdziękiem zaakompanjowane, tworzą wielki effekt z następującym kontrastem

VI. Gniewu i groźby Perkuna, w nader dramatyczném recitatiwie, i tuż drugi cudowny effekt w

VII. Kawatinie Mildy, może najdramatyczniejszéj w całéj téj partycji, gdzie się wylała dusza i cała siła inspiracji kompozytora; w tém wylaniu się serca niewieściego przejętego miłością i boleścią, upadkiem i rospaczą, wyraziła się cała miękkość spiewności, której się podziwiamy w kompozytorach włoskich;—wszystko to nagle przerywa się hucznemi akkordami całego *tutti* orkestry, w przestraszającém samych Bogów

VIII. Przekleństwie Perkuna:

... «Ziemia twym gniazdem—tam się błąkaj wiecznie,
Tam za twą miłość wzgardą ci zapłacą,
Tam śmiech z szyderstwem wyjdą witać ciebie,
A ty się błąkaj w roskoszy twych niebie!...

I spuścił swych Orłów, aby ją z nieba wygnały.

EPILOG.

Ale stało się inaczéj! Nie przewidział tego Perkun, że Milda zastanie na ziemi towarzystwo ludzi, jednoczących się z drugim bogiem, Bogiem Dobra, Miłości, Braterstwa. Widać, że nie znał ani politycznego, ani socjalnego stanu swéj ziemi. Milda zszedłszy na ziemię, gnana od dwóch Duchów, znalazła bardzo porządne towarzystwo; wszyscy nagość swą przykrywali odzieniem, bardzo się przyzwoicie w kompanji zachowywali, i choć nie pili napoju bogów, ale wcale, wcale gościnnie przyjmowali przychodniów i gości. Litwa tym zawsze słynęła. Bawili się wprawdzie troche obmową przy nabożeństwie, ale to pochodziło z próżniactwa i Bogini Miłości miała nadzieję tę wadę wykorzenić... Prócz tego, taka Bogini jak Milda ze swemi attrybutami, zawsze była pożądaną na poczciwéj Litwie, gdzie lud, prawdę powiedziawszy, spoczywając w błogim spokoju, lubi się kochać. Przytém, Milda w swojem tułactwie na ziemi, spotkała się z tém, o czém się jéj ani śniło w niebie! a czego warto się było pouczyć. W chwili jéj zejscia, z chaotycznych ciemności, dobywało się światło, które spowodowało starcie się dwóch

światów: Fałszu i Prawdy; było to właśnie w chwili przejścia Litwy z wyobrażeń pogańskich do światła wiary Chrystusowej. To przejście wyraża się w pierwszej strofie choru w Epilogu, w powtórzeniu słów i akompaniamentu z grzmiącej muzyki Perkuna; w drugiej już maluje się gościnność ludu, a naostatku, w trzeciej, cały tryumf Wiary prawdziwej w domowych cnotach Litwinów. Chrystus ukoronowany cierniem odkupuje lud Boży, tchnąc w dzikie ludy ducha pokory i pokoju, a boleściwa jego Rodzicielka obudza rezygnację i nadzieję w duszach zwątlałych, jako Symbol Miłości, Nadziei i Wiary.

Ale nie mogę lepiej zakończyć mojego artykułu, jak przywodząc z finału słowa młodego naszego poety:

„Błąka się Milda; za Dungus złoty
Ziemi ponurej dany jej brzeg;
Kroplą miłości, chwilą pieszczoty
Kupiła sobie wygnania wiek.
A choć jej miłe litewskie progi,
Choć róż litewskich słodka jej woń,—
Nadchodzi pora, gdy stare bogi
Pójdą z nią razem w zaguby toń....

Lecz nie, o Mildo! — białe twe dłonie
Siostrzycę Litwę do siebie zwą:
Litwa cię tuli na skrzepłem łonie,
Ty ją miłością rozgrzewasz swą!
I dziś gdy dawne bóstwa strącone,
Jednej ci Mildo z Dunguskich cór,
Plemie wzajemną zgodą złączone
Pieje ten hołdu zgodnego chór....”

Jedną z najwybitniejszych zalet tej kantaty jest oryginalność faktury. Twórca jej zgłębił tajemnice sztuki, posiadł w wysokim stopniu jej mechanizm, żaden środek do sprawienia effektu, nie pozostał mu obcym. Zbadał effekta tonów, wytężenia akkordów, różnicę dzwięków, użył nowego rytmu muzykalnego, modulacji rzadko praktykowanych u nas. Słowem wykazał w sobie i natchnionego Muzyka-Poetę i biegłego Artystę.

I któregoż serce Litwina nie zadrży, na odgłos tej nóty domowej, co rozweselała dni młodości naszej!?...

Wilno 1848. *Romuald Podbereski.*
12 Grudnia.

ANTONI EDWARD ODYNIEC.

VII.

PRAWDOMÓWCA.

A czy ja strzelec, co siedząc z wabikiem,
Na strzał chce zwabić ptaszęta;
Bym wszystkim w koło, ich własnym językiem,
Wdzięczne prawił komplementa?

Czy ja żyd oszust, co częstując miodkiem,
Liczman chce wydać za złoto;
Bym świat pochlebstwem upajając słodkiem,
Fałsz barwił prawdy pozłotą?

A mnież to na co? Nie widzę pobudek
Bym jak szpak cudzym piał tonem;
Bym z dudkiem czuba nastrzępiał jak dudek,
Jak gawron krakał z gawronem.

Czy by ich wzajem oskubnąć na pierze?
Czy by czerń za mną latała?—
Kołpak się chyba w pstre pióra ubierze,
A chór gawroni— nie chwała.

Kwituję z tego szczęścia i honoru,
W sidła nikogo nie łowię:
Lepszym, niż jestem, być nie chcę z pozoru,
A jak co myślę, tak mówię.

Źle albo dobrze— toć wolna szermierka,
Byle bez pychy i waśni:
A z słów jak z mieczów wypryśnie iskierka,
Co wzajem Prawdę rozjaśni.

Lecz znieść nie mogę nikczemnika, który,
Sam Prawdy bojąc się słowa,
Tępi ją w drugich udaniem pokory,
Jak miecz poduszka puchowa.

1840. r.

VIII.

DO MŁODÉJ PRZYJACIÓŁKI.

Cóż się tak zżymasz, jako sensitiva,
Gdy słowo prawdy draśnie twoje uszy,
I choć zamilkasz, twarz twoja odkrywa
Niewymówiony wyraz twojéj duszy?

Wiem, że nie taka płytkość w twym rozumie,
Byś miała sądzić, żeś jest doskonałą;
Lecz znieść nie możesz w obrażonej dumie,
Że cudze oko w głąb twą zajrzeć śmiało.

A przykrzéj jeszcze, że przez to ci samej
Wchodzą na pamięć— przed czém się rumienisz —
Wchodzą nie jedne, choć drobne rdzy plamy,
Które zmyć łatwo— lecz się zmywać lenisz.

I ztąd ci milej w salonowym gwarze,
Gdzie sama siebie unikasz w natłoku,
Gdzie ci Pochlebstwo buduje ołtarze,
A Fałsz uwielbia w kadzideł obłoku.

Tam więc idź króluj! tam niech próżność płocha
Zbiera swe laury, swych tryumfów wieńce!
Ten, co raz Prawdę poczuje i kocha,
Nie zna już bożyszcz w mitrze, ni w sukience.

Ale to pomnij, że w duszy kobiecéj,
Z plam, co w nię rzucił grzech pierworodzony,
Co nie wypali wstyd młodéj dziewicy,
Zmyć kiedyś będą musiały łzy żony.

1840 r.

STAROŚĆ DUCHA.

W każdych ustach żal młodości,
W każdém sercu chęć jéj zwrotu,
Pory szczęścia i miłości,
Siły ducha, myśli lotu.

Lecz czyż słońce południowe,
Mniéj ogniste jak u wschodu?
Czyż gdy do snu schyla głowę,
Mniéj ma blasku i obwodu?

A duch, światło co nie gaśnie,
Promień słońca Przedwiecznego,
Miałby stygnąć, przez to właśnie,
Że ogniska bliższy swego?

Miałby słabnąć razem z ciałem,
On, którego cel na ziemi,
Wzrość i wzmódz się życiem całém,
By się zrównać z niebieskiemi?—

O! kto w młodych dniach zapału,
Prawdy Pańskiéj słów usłucha:
Serca nie da w służbę ciału,
W świetle Wiary pojmie Ducha.

Duch takiego nie starzeje,
I gdy ciało— plewa marna—
Sypie się w proch i niszczeje:
Rośnie w Niebo— jak cedr z ziarna.

1845 r.

Jak drogim jest upominkiem dla ***Rocznika***, udział w nim Ant. Ed. Odyńca, mówić niema potrzeby;— któż nie ujrzy z radością, oddawna w pismach publicznych niespotykane imie, i nie odczyta z przyjemnością tych kilku poetyckich rzutów, Weterana pozostałych w kraju poetów naszych, którego natchnienia tak słodko umilały dni młodości naszéj!....

(*Wyd.*)

ŻAŁOŚNA HISTORJA

UBOGICH KWIATKÓW DOLINY.

PRZYRODO-BAŚŃ

PRZEZ AUTORKĘ

PRZYGÓD MOTYLA I ROMANSU POD LESZCZYNĄ *).

Słówko do Czytelników.

Już drukowanie IV. Tomu *Rocznika Literackiego* miało się ku końcowi i Wydawca rokował sobie spocząć wkrótce na laurach tak kłopotliwie zapracowanych, aż oto przynoszą mu z poczty wielkiego formatu pakiet. Z początku zadrżał na ten widok! Wziął go bowiem za *dictum acerbum* złego genjusza, który pod postacią podobnych pakietów już nieraz zsyłał zmartwienie na jego redaktorskie godziny. Myślał, że to jakaś nowa napaść jałowego umysłu pod postacią wierszydeł, elegij, posłań, monologów, dumań i wyjątków z poematów 14sto zgłoskowych, i tym podobnych *łamańców* zdrowego rozsądku, z mnóstwem niedomówień, wykrzyków i zapytań. Dreszcz przeszedł po skórze, pot chłodny zrosił oblicze; najnieubłagańszemu Zoilowi, zaprawdę! żal byłoby w owéj chwili Wydawcę! Jednakże aby nie zasłużyć na zarzut opieszałości w odpowiedzi, o który *rymujące* umysły najwięcéj lubią oskarżać—

*) W Tomie I. i II. *Rocznika Literackiego*.

z całą odwagą *pięcio-letniéj* wytrwałości— łamie pieczęć i— o podziwienie! zamiast *Listów o Filozofji* pisanych przez osowiałych wiejskich bakałarzy i adressowanych do *Zosi* (!)— znajduje miły dla braterskiego serca, nowy swéj siostry idylliczny wymysłek....

Sam niedoznawszy znużenia przy odczytaniu téj powiastki, sądzi, że i czytelnicy przyjmą z pobłażaniem ten wymysłek młodéj Autorki, dopytującéj się rzeczywistego świata w niewidzialnem życiu owadów, kwiatów, roślin i t. d.

Wydawca Rocznika Literackiego.

Wilno. 1848.



Ubogi Kwiatek Doliny.

W podłéj trawce, w dzikim lasku
Urosłeś o kwiatku luby!
Ni ci słońca, ni ci blasku,—
Cóż ci daje tyle chluby?...

Pierwiosnek.

MŁODYM LITWINKÓM
poświęcam.

Nad brzegami rzeki *Świętéj* *), w cichéj Dolinie, blisko Dąbrowy, rosły gromadnie Litewskie kwiatki, ciche, łagodne, potulne. Pod jasném niebem, śród krzewów cienistych, tchnęły roskosznemi zapachami swemi, a miła woń kwiatów, jest tém u roślin, czém skromne cnoty u ludzi. W cienistéj Dolinie, nieznanéj od ludzi, muskał je wietrzyk łagodny, i one pełne radości dziecinnego wieku, tuliły się do siebie, kochając się i pieszcząc wzajemnie.

Posępne Gnomy, złośliwe Duchy kryjące się w pieczarkach ziemi, nie zamąciły nigdy téj cichéj ustroni; lube kwiatki rozwijały się swobodnie w pokoju i zgodzie; cicha miłość, znana

*) Rzeka najpoważniejsza w Historji Litewskiéj; w niéj Król Jagiełło z duchowieństwem chrzcił najpiérwszych pogan, którzy się nawrócić dali.

tylko u ludzi pod emblemą Pawła i Wirginji, a którą pomiędzy kwiatami opiewał Poeta *Kobridż*, miała uwieńczyć ich krótkotrwałe życie, zdala od burz światowych.

Tymczasem w górnych sferach rozciągało swe panowanie roskoszne bóstwo miłości, Królowa Titanja, orędowniczka Doliny i jéj mieszkańców. Gruppy swawolnych Elfów i Sylfów, nieraz z orszaku Królowéj, w igraszce z wesołymi Motylami, spuszczały się do skromnych kwiatków na pogadanki, niosąc im nowiny z błękitnych przezroczów niebieskiéj Poezji!

Wesołe, błogosławione życie Królowéj Duchów! Na skrzydełkach Sylfa, z czarowną rószczką w dłoni, buja w przezroczach szczęśliwa! Idealny myt wdzięków Natury! Na jéj skinienia posłuszny orszak Sylfów i Elfów. Lecz jakże łagodna jéj władza! Nie ciąży ona swem panowaniem. To albo roskaże zadławić Robaka, kryjącego się w wonnym kielichu kwiatu, albo stoczyć walkę z obrzydłym Wampirem, usadzającym się na biédną kwiecinę,— aby ze skórzanych skrzydeł jego sprawić mantylkę biédnemu Sylfowi;— to każe odegnać ślepego Puszczyka, aby smutnemi jękami nie przerażał nocnych igraszek czarodziejki; każe odganiać to wszystko, co nie dobre i nie piękne. Za to lubi protegować czyste miłostki, kojarzyć serca zwaśnione. Lubi harmonijne chory swych Sylfid; głos jéj łagodniejszy niżeli powiew nocy sierpniowéj; sama wiecznie szybuje w przezroczystych smugach światła, zaledwo spocznie niekiedy pod pokrowcem Kwiatów Doliny.

Takie to życie Królowéj Sylfów, bogini Miłości. Ale jako u ludzi, tak i u Duchów prawdziwe szczęście nie trwałe. Oto razu jednego powstała burza w Dolinie, złamała szeregi Sylfów i zdziebełka kwiatów; Oberon, niewierny małżonek, pokłócił się ze swoją połowicą. Ponury smutek, jako robak pod listkiem Róży, przeniknął serce Bogini. Powstał zgiełk i zamięszanie; Sylfy i Elfy skryły swe główki pod zdziebełka kłosów. Nocne Żmory powstają z wilgotnych tumanów i spuszczają się na Dolinę Kwiatów; wszystko drży z bojaźni i zimna.

Jak tylko zaszła rozterka w państwie Bogini Miłości, znikło i szczęście w podwładnéj krainie, znikły radość i wesele pomiędzy kwiatkami. Poczuły nudę,— żądza zmiany opanowała ich serca; opuścić Dolinę postanowiły.

Przed niedawnemi czasy, żyłam i ja tam w sąsiedztwie owych kwiatków, nad rzeką Świętą; lubiłam ich ustroń skromną i

w moich samotnych przechadzkach często kroki me kierowałam ku Dolinie.

Razu jednego, gdy owe kwiatki żyły w zgodzie, miłości i pokoju, jako Pan Bóg przykazał, jak owa miła Bogu dziatwa, na polku małém, przy-domowém, co i serce miała religijne i dla tworów boskich miłosierne,— razu jednego, powiadam wam, posłyszawszy szmer lekki pomiędzy kwiatkami, zatrzymałam się u prądnika, i wstrzymawszy tchnienie, z kobiecą ciekawością, podsłuchałam następnéj rozmowy, którą tu dosłównie przytaczam. Podaję zaś ją za autentyczną, bo niémasz ani jednéj krzewiny w Dolinie, któraby jéj potwierdzić nie mogła. Skutkiem téj rozmowy była żałośna przygoda, co je spotkała na szumnym świecie, a którą mi opowiadał potém, kiedym się z owych stron wydaliła, podeszły w latach kwiatek,— który wiele widział i słyszał, i sam grał rolę w owéj opłakanéj historji,— mówię *opłakanéj*, bo nie tylko sąsiednie kwiatki, ale litowały się nad niémi i krzewiny z lasku, podług wyrażenia wielce uczonego braciszka mego: *etiam flevere myricae* *). Przytaczam zaś ją tu, bo sądzę, że owa żałośna historja posłuży za nauczający przykład kwiatkóm, które w dzikiéj mojéj okolicy, pod opieką Matki-Przyrody, rosną i kwitną.

Owoż tedy— owa luba gromadka w niewiadomości swéj dziecinnéj, po rozruchach w krainie miłości, tak użalała się na samotne i dalekie od świata życie:— «Napróżno Przyroda wydała nas piękne, świéże i wonne; piękność, świéżość i wonność, przemijają jako powiew błędnego wiatru, który unosi nasze najdroższe zapachy; żyjemy i umieramy w głębi Doliny, nieznane i nieżałowane od nikogo. O ileż szczęśliwsze są od nas Ogrodowe kwiatki! Umiejętne ręce podkrzesują ich przyrodnie powaby,— przesadzają je w wazony, że potém sami nawet ludzie podziwiają ich wdzięki! Całe ich życie jest ciągłą, nieprzerwaną uroczystością! Gdy tymczasem my biedne, jakby wygnane z ziemskiego raju, włóczym samotne dni nasze! Dla czegoż taki wyrok cięży nad nami? Czyliż ta władza Wszechmocna, co niezapomina i ubogiego Maczku na polu, nie uwolni nas ze zbyt utrapionego wygnania, w którém trawiemy markotnie najpiękniejsze chwile życia naszego!

*) *Virgilius.*

— «Chcecież opuścić, o moje przyjaciółki, to pewne schronienie, aby szukać niepewnego losu śród światowego wiru? rzekł nieco podeszły kwiatek, któremu przykre doświadczenie życia odjęło miłe illuzje kwiatowe. Wierzcie mi, że ta władza Wszechmocna, przed którą się użalacie, lepiéj wie co czyni, bo jeżeli nam tu rość kazała, to jedynie dla tego, że nam tu rość najwłaściwsze miejsce. I gdzież znajdziecie prawdziwsze szczęście od tego, jakie was tu spotyka pod cieniem tych rozłożystych konarów, które was ochraniają od zimnych poddmuchów północy i palących skwarów południa, a otwierają się nad waszemi główkami, dla pokazania wam cudownéj poezji Niebios.

Skarżycie się na osamotnienie, szczęśliwe bohatérki idylli wiejskiéj! A czyż to nie jest szczęście, spędzać dni z wiecznie zakochanymi Motylami, a w marzeniach nocy, odbierać odwiedziny niewidzialnych Duchów z orszaku Titanji, którzy nie kryją serc swoich przed wami?

O moje przyjaciółki, wierzcie doświadczeniu memu, świat jest pełen samołówek dla biednych kwiatków. Szczęśliwe są, powiadam wam, tylko te kwiatki, które jak my, żyją sobie w ustroniu, dokąd nie zalatuje zgubny powiew wielkiego świata.”—

Ciche chichotanie przebiegło pomiędzy kwiatkami po długiéj téj oracji. Łatwo sobie wyobrazić, z jak płochą uwagą była słuchaną ta mowa kwiatu podeszłego.

Jednakże niektóre z nich, i to najrozsądniejsze, jak pobożne Boże-Drzewko, cnotliwa Głog-Róża, wonna Mięta-Polna, uznawały prawdę słów owych; inne zaś, jak: nadstawna Jasnota, wysmukła Wietrznica, niestała Przelaszczka, postanowiły użyć wszelkich sposobów i błagań, aby się wyrwać z nieznośnéj samotności. Dowodziły, że życie jest krótkie, że trzeba korzystać z młodości, że kwiaty nie mają jutra....

Wieczór nadszedł. Kwiatki schyliły pokorne główki i kielichy swe ku ziemi, a wonie, które wydały przy zachodzie słońca, uniosły się w górne strefy *Książęcia Nocnych Hymnów* *).

Woń kwiatów jest ich modlitwą i ofiarnym hołdem, który posyłają Matce-Naturze **).

---

*) Książe *Hardenberg*, (*Nowalis*) *die Hymnen an die Nacht.*

**) Tu się kończy podsłuchana rozmowa kwiatków, a dalszy ciąg téj żałośnéj historji dopełniam podług opowiadania podeszłego kwiatka.

Owego wieczora woń ich wdzięczniejsza niż zwykle, przedarła się przez górne strefy Książęcia Hymnów, i wysłuchaną została modlitwa dzikich Kwiatków Doliny.

Nagle, jakby czarodziejską siłą, przeniesione zostały pośród szumnego Świata, do ogromnego Ogrodu. Cnotliwa Fijołka opuściła swój cień przy-laskowy; niewinna *Niezabudka* swoją łączkę przy-jeziorną; cnotliwe Bratki swój szmer przystrumykowy; wierny Powój swe gniazdko przy-kamykowe; poczciwa Malwa swoje wzgórze przy-piaskowe; a kiedy nazajutrz obudziły się o świcie, i potrzęsły swe kielichy rosą okroplone, ujrzały się śród pysznych klombów przy-pałacowych, i zaledwo mogły przyjść do siebie z wielkiego uczucia radości.

— Ach! jakże tu pięknie! zawołały zachwycone. Co za różnica tego pięknego ogrodu, oświeconego blaskiem całego słońca, od naszéj cienistéj Doliny przy-rzecznéj!...

Otoż tu dopiero damy się poznać z tém co jest w nas najlepszego; w całéj piękności naszéj damy się poznać, będziemy kochać i podziwiać, kochane i podziwiane wzajemnie.—

Biédne kwieciny! sądziły w swéj naiwnéj prostocie, że świat kocha to, co podziwia!....

Podniosły dumnie główki i starały się wyprostować jak mogły najlepiéj, aby dorównać swym pysznym rywalkom, których natychmiast dostrzegły na klombach przy-pałacowych. Lecz próżne usiłowania! Bóg dobry stworzył je małemi kwiatkami, i małemi pozostać musiały!...

Na domiar nieszczęścia, nie mogły się użalić jedne przed drugiemi; grządki odległe rozdzielały je z sobą; siostry zdala od braci; kochanki od kochanków; nie było ni przyjaźni, ni pokrewieństwa na grządkach przypałacowych. Tak podobało się przy-pałacowemu Ogrodnikowi, wymagała bowiem tego symetrja klombów: każda miała sobie wyznaczone miejsce. Nie szło tam oto, aby kwiatek był szczęśliwy, lecz aby był piękny i tylko służył ku ozdobie pięknego ogrodu!....

I oto moje kwiatki zasmuciły się bardzo,— lecz pocieszały się myślą, że może niezadługo oddadzą im sprawiedliwość, że

znajdą je pięknemi,— ta uśmiechająca się nadzieja, była celem ich najgorętszych życzeń.

Ale o zawodna nadziejo! nie zwróciły ani jednej uwagi, nie ściągnęły ani jednego spojrzenia!... I gdyby nie podniesione grządki, na których się mieściły, możeby je zgnieciono pod nogami!

Stulistne Róże, śmiało wykazujące swoje powaby, okazałe Georginy, skrywające pod pozornym blaskiem kolorów, swoją pyszną nicość,— nadstawne Hortensje, uśmiechające się całą twarzą do przechodzących,— i wszystkie kwiaty, nie mające ininnych powabów prócz bogatej toalety,— jedyne, które tam popłacają, odbierając hołdy nadskakiwaczów, i wcale niezważając na nie,— te kwiaty, powiadam, zaćmiły bezpowrótnie biédne dzikie Kwiatki Doliny!...

I powiedźcie mi proszę, jaką rolę grać tam mogły potulne Bratki, poważne Malwy, wesołe Pierwiosnki, niewinne Bławatki, czułe Konwalje, (wiecznie łzę w kielichach przechowujące), sentymentalne Niezapominajki, przyjacielskie i bezinteressowne Powoje,— (wyobraźcie sobie bezinteressowną Przyjaźń śród świata!)— wszystko to obok okazałych Stokroci, nadstawnych Słoneczników, szerokolistnych Piwonji, pysznych Róż Chińskich, Bengalskich, Mszystych, Królewinych, i narescie w obliczu *siedmiu* tysięcy, *dziewięciuset siedmiu* odmian Róż (7,907) które są chlubą ogrodów przy-pałacowych— nie zapominając Dahlij, Kamelij, Hjacyntów, Narcyzów, Wulgamerij.... i tylu innych, i tylu innych!...

Och! ileż to wtedy było łez wylanych, kielichów ponikłych, koron powiędłych,— o jakże wtedy dolne kwieciny żałowały swoich cieni przy-laskowych, łączek przy-jeziornych, strumyków przy-domowych! spokoju i ciszy, wdzięków idylli wioskowéj!

A jeszcze było gorzéj, kiedy Ogrodnik z motyką w ręku przeszedł bliziutko ich grządki! Krew ścięła się w ich żyłach, i zaczęły się tak trząść biedaczki, że wolałyby wtedy na sto stóp skryć się pod ziemię!

Uspokoiły się przecież. Pogodna jesień zostawiła im jeszcze kilka dni jasnych. Godzina śmierci nie wybiła dla nich,—

śmierci nagłej, gwałtownej, przedwczesnej, o jakiej dotąd pojęcia nie miały, bo w Dolinach dzikie kwiatki umierają tylko własną śmiercią, wtedy kiedy się podoba wezwać je Matce-Przyrodzie, która jest rozporządzicielką wszelkiego stworzenia....

Wszakże uniknąwszy śmierci, nie uniknęły niefortunnego losu.

Skwarne słońce, spadając wprost na kwiatki, przywykłe dotąd odbierać ciepło jego promieni przez zasłonę zieloności traw i liści, paliło je bez miłosierdzia, a w około ani jednego źródła sąsiedniego, coby ich zeschłym kielichóm udzieliło choć odrobinę świeżości!— Wprawdzie od czasu do czasu podlewano im trochę wody— ale jakiejże wody! zmięszanej z podkawikiem albo chińską mixturą, dla przyśpieszenia ich wzrostu! i zresztą ta pieczołowitość nie przychodziła nigdy w porę— tak, że nieraz były w niebezpieczeństwie śmierci z zalewania, uczynionego im nie w porę! Ani jednego zdziebełka trawki do koła, i trzeba było rość w ziemi zeschłej i czarnej; poruszane i dręczone codzień z ostróżności, aby jaka przyjacielska roślinka nie puściła rostków w pobliżu!...

—«Och! uciekajmy z tej niegościnnej ziemi! zawołały najszczérsze z nich jednego poranku, i wracajmy do rodzinnej strony.''— Ale jakże puścić się w drogę, kiedy na grządkach zapomniały nóg używać do chodzenia. Otoż tedy znowu do modłów. Każda kwiecina robi ślub (ślub rozbitka, co jasną świecę obiecywał Madonnie!)— i oczekuje cudu, coby ją wyrwał z tej toni Ale cuda nie przychodzą na zawołanie. Śluby i prożby zostały bez skutku. Matka-Przyroda była głuchą dla tych, co odstąpili praw przez nią nakazanych.

Od onego to czasu zjawiły się ubogie polne Kwiatki na grządkach przy-pałacowych. I jak gdyby niebłogosławieństwo ciężyło nad całym ich rodem, nigdy biedaczki nie mogły się ani podnieść, ani odznaczyć; czem były w Dolinie tem pozostaną na zawsze;

wychuchana kultura nigdy nie zmieni ich przyrodzonéj dzikości. Tak chciała Matka-Przyroda, aby je skarać za płochą żądzę odmiany i próżności!....

Takim-to sposobem Pycha i Próżność, co przywiodły do upadku piérwszą parę rodzaju ludzkiego, przyprawiły o zgubę także ubogie dzikie Kwiatki Doliny.

To dowodzi także, że to tylko jest dobrem, co na swojém miejscu, i że każdy na swojém przestawać powinien.

A jam, na uwiecznienie téj żałośnéj przygody, na wieczną przestrogę ubogim Kwiatkóm Dolin Litewskich, napisała tę Przyrodo-Baśń, na zbawienną naukę i pocieszenie w ich pozornéj małości....

Pokój wam biédne kwiatki, coście nie uciekły od niedoli! Porzuciłyście świat lepszy dla sztucznego i przewrótnego! Czyste kropelki rosy, zielone zawoje roślin, pogodne promienie słońca, wesołe brzęczenia pszczółek i roje muszek w smugach Zachodu, już nie przedrą się do waszéj sklepionéj przystani....

Spalone na proch i zawarte w puszce kryształowéj, byłybyście ślicznym upominkiem dla cnot,— małym Skarbkiem, pomniczkiem dozgonnéj czystości, godłem kochania, owszem samą maleńką Miłością w zagadce, jéj wdzięcznym, skromnym i tkliwym obrazkiem, jéj prochem oczekującym Zmartwychwstania!....

Teraz doliny! teraz o nic was nie proszę!
Bo gdzież mam lecieć, po jakie roskosze?
Sierota— ja poznałam boleść między swemi,
Bom wszystko co lubiła— straciła na ziemi!

. . . .

Róża Podbereska.

Ukraina. 1848.

RYMY

WLADYSLAWA SYROKOMLI.

WSPOMNIENIA NIEŚWIEŻA.

SONETY.

I.

WSPOMNIENIE.

Gdzie po dwówiecznym gwarze cisza uroczysta
Zaległa Radźwiłłowskich złotych sal obszary,
W murach co pamiętają byt swietny, byt stary,
Ja włokłem dni powszednie biedny bióralista.

W starym blaszanym hełmie chowałem cygary,
A otrząsłszy zbutwiałe malowidła z pyłow
Kiedy wiatr bił do okna, zastawiałem szpary
Obrazami Ostrogskich, Sapiehów, Radźwiłłów.

W grobach, w gruzach, w gawędach, i na starem płótnie
Tylko przeszłość przelotem swój cień zostawiła,
Czytałem po tych cieniach—bolejąc okrótnie;

Bom widział że ta przeszłość—choć zmarła, nadgniła,
Jeszcze przy naszym wieku wyglądała butnie,
Jak wśród wioski nędzarzów, rycerska mogiła.

2.

MIASTO a).

Małe i liche miasto stoi w rozwalinie —
Tu i ówdzie wśród gruzów nowy mur się błyszczy,
Tu i ówdzie wieżyce, klasztory, świątynie —
Póki czas ich niepozrze, burza nie poniszczy.

Małe i liche miasto co stoi w ruinie,
Czyż komu łzę wywoła, ciekawość obudzi?
Wędrowiec go w przejezdzie obojętnie minie —
Jak mijamy podeszłych, pospolitych ludzi.

Lecz ten starzec—to żołnierz, lub bywalec może,
W ranach swych męztwa, w zmarszczkach ma długich lat dzieje,
Opowie ci swe losy, bitwy, lub podróże.—

Miasto—ma swoją przeszłość, swoje przywileje,
Przestarzały pargamin?!—o pożal się Boże!
Człek już go niewyczyta i mól nawet nieje.

3.

ZAMEK b).

Za szerokiém jeziorem, na krańcu krainy
Sterczy kamienny starzec—i niekiedy z wieży,
Długo, zwolna, wydzwania ubiegłe godziny—
Nim ostatnią dni swoich godzinę uderzy.

W piersiach jego, jak w piersiach stuletnich żołnierzy,
Tylko pamięć na dawne zdarzenia, i czyny,—
Teraźniejszość z przeszłością pogardliwie mierzy,
Znał ojców—jakże śmieszne w jego oczach syny!

. . . .
. . . .
. . . .

Jeszcze herby, obrazy, i szpargałów stosy—
Strzeże jak świętość—Boże! ta świętość spróchnieje
Jak słowo bez znaczenia, roślina bez rosy.

4.

GROBY RADZIWIŁŁOW

W KOŚCIELE PO-JEZUICKIM c).

Pod ogromną świątynią jest miejsce grobowe,
Jest sklepisko podziemne, w niem ołtarz i krata,
Dalej trumna przy trumnie—wszystkie hebanowe,
Wszystkie z dębu—w nich kości długie leżą lata.

Z trumien zgnilizna wieje—choć arystokrata
Przesiękły balsamami złożył tutaj głowę,
Zgniły pany i panie—tylko trwalsza szata,
Szkielet, herb—ci przypomni ich życia osnowę.

Swe imiona to złotem, to krwią nakryślili,
W wiecznej pamięci ludów albo w dziejów karcie!
Niezłorzecz... nie błogosław... oni ludźmi byli.

Cóż gdyby oni z grobów powstali w tej chwili?
Znów by bieżono do nich po łaski, po wsparcie,
Lecz oniby z pogardą oczy odwrócili.....

5.

ALBA d).

Ha! jak tu pięknie, miło, cienisto, zielono,
Wejdź w alleję lip starych, w brzczinowe lasy—
I myślą pradziadowską orzezwij twe łono—
I przenieś twoją pamięć w pradziadowskie czasy

Gdzie modlił się Sierotka,—gdzie Karol zapasy
Wiódł ze zwierzcm—obaczysz sarnę przepłoszoną—
Gdzie wrzały pełne życia Albańców hałasy,
Sterczy pałac na łące ruderą czerwoną.

Wyspa... kanał... tu może...—precz stare wspomnienia
One ciężkie dla duszy—W sercu zniewieściałem
Może słodsze masz myśli i świeższe marzenia.

Może miłość?... na trawie co lipa ocienia
Siądź szczęśliwcze i lubym nakarm się zapałem,
I ryj na korze głoskę kochanki imienia....

6.

SWIĘTY KRZYŻ e).

Krzyż błyszczy się za lasem—daleko od miasta
Mieszkanie Eremitów bieleje się w lesie—
A wysoko na górze, jak oko doniesie,
Jest kościoł—na około gęstwina zarasta.

Cisza... zaledwie czasem wiatr po liściach szasta,
Albo echo od dzwonów po wąwozach rwie się—

O! tutaj często dzwonią przy śmiertelnych kresie —
To grod trupi—ludniejszy od żyjących miasta;

Mogiła przy mogile, syny trupich kości
Robaki odraźliwe po ziemi się wleką,
Trącasz nogą—to czaszka—w niéj gadzina gości.

Smutno ci—zmów pacierze—nie złorzecz nicości
Szalony synu ziemi—bo dzień niedaleko
Kiedy żywy zmarłemu grobu pozazdrości . . . .

7.

DO BOGARODZICY
W SŁUCKIEJ BRAMIE (*).

Bogarodzico! ku litości łatwa
Ty co źrzenicą czuwasz niezmrużoną
W bramie na warcie — aby Twoja dziatwa
Bespiecznie spała pod Twoją obroną!

O! strzeż tych świątych w których Syn Twój słodki
Odbiera od nas ofiary codzienne;
I strzeżą te domy, te baszty kamienne,
Te rozwaliny—dawny gród Sierotki! —

. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .

a) Miasto Nieśwież trwające od niepamiętnych czasów, nadane i uprzywilejowane od Królow, porównane w przywilejach z Wilnem, Grodnem, Trokami,—było gniazdem i stolicą Radziwiłłow Ordynatow Nieświeżskich. Kilkakroć dobywane przez Kozaków, Szwedów, Rossjan, trwało jednak w dobrym bycie póki było mieszkaniem Ordynatów.—Lepszy swój byt poczęło od XVII w.—Dziś od r. 1812 ma się do upadku.

b. c) Zamek Nieświeżski założony przez Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła w r. 1586.—W rok potem tenże xiąże fundował i bogato uposażył w Nieświeżu Jezuitów, w których kościele wymurowane są groby Radziwiłłow—tu spoczywa kilkanaście osób téj znakomitéj rodziny.

d) Alba, Park Radziwiłłowski niedaleko Nieświeża, założony przez Mikołaja Krzysztofa, służył mu w początkach tylko za uchron do pobożnych cwiczeń, ku czemu wybudowany był dom z kaplicą nazwany *eremitorium*.—Następnie w Albie założono zwierzyniec, ogrody, prochownie, fabryki sukna i płótna. Pałac tu założył Xiąże Hetman Michał Kazimierz Radziwiłł, ojciec Karola *Panie Kochanku.* Za tego ostatniego Alba była w najświetniejszym stanie—był to najulubieńszy pobyt xięcia i jego rodziny. Alba dała nazwisko za jego czasow, znanéj przyjacielskiéj Radziwiłłowskiéj bandzie.

Dawniejsze pamiątki w Albie wszystkie niemal upadły, albo raczéj na ruinach dzieł sztuki, zajęła miejsce najroskoszniejsza natura. Jedyną pozostałością dawnego zwierzyńca, są pielęgnujące się dotąd *danielki*, gatunek sarn.

e) Święty Krzyż, tak się zowie opactwo OO. Benedyktynów, o 2 wiorsty od Nieświeża, fundowane przez Karola Stanisława Radziwiłła Kancl. Lit., i approbowane przez sejm w r. 1690—tutaj są ogromne mogiły, gdzie się grzebią z miasta i okolic.

f) Nad jedyną jaka była w Nieświeżu brama nazwana Słucką, jest kaplica N. P. Maryi z ołtarzem, przypominająca Ostrą-Bramę Wileńską.

DYFERENCJA

GAWĘDA ZAŚCIANKOWA.

„Znaj Litwina!
U nas tak!
CHODŹKO.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnej siedzą,
A w około młodzież wrząca
Tysiąc gniewnych słów wytrąca,
Lud się na dwie strony dzieli,
Błyszczą ostrza karabeli.

Pan Komornik z sznurem stawa;
Woźny wznosi papier w górę,
Słowem—jakaś tu rozprawa
I de hajda—i *de jure.*
At, mospanie któż i kiedy
Przywileje szlachty zaćmi?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojej schedy.
A u szlachty takie chucie:
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa tam i bitwa.
Potem kończą na statucie,
Potem kielich i modlitwa.

Szlachcie poczciw—bo ma duszę,
A wrzaskliwy—bo szlachetny,
Urodzony—nie sławetny,
I nie straszne mu ratusze!
Proces w sądzie—to nie boli,
A zabawka niezła wcale;—
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.

Ich się ojcu niegdyś szczęści,
Dość zostawił dla nich mienia
Co dziś dzielą na dwie części
Wedle Boga i sumienia.—
Dzielą słusznie jak wystarczy
I grosiwo, i spiżarnię,
I oborę, i owczarnię,
I nabytek gospodarczy.—
Potém z obu stron namowy,
Pan komornik przez zagony
Ciągnie sznurem na dwie strony,
I wydziela dwie połowy.—

Zabił wiechę strojną w liście,
Wsunął cérkiel za popręgę,
I zawołał zamaszyście:
—«No, skończyliśmy mitręgę!
Waść sądowy *jenerale* *)
Mości strony, i starszyzna!
Niech mi teraz każdy przyzna
Żem wydzielił doskonale.—
Ot jak z boru do sosenki
Idzie ścianką ta drożyna
Stefanowe z prawéj ręki,
A co z lewéj—to Marcina.
A zaś młynek, i zatoka
Służą obu jednostajnie.
Równe schedy jak dwa oka,
Nawet pręta nikt niestracił,

*) Tak zwano woźnych.

Mierzę słusznie, nie przedajnie,
Bo mię żaden niezapłacił,
Nie skaptował, nieprzyodział,—
Ot i sprawa, i rozprawa—
Pytam trzykroć wedle prawa,
Czyli zgoda na mój podział?"—

Stefan krzyknął: „Niemasz zgody!
Bo mi krzywda w oczy kole—
U mnie piasek—a tu pole
Że choć zaraz siéj ogrody!—
«Morg pod lasem... tak daleko...
Co ja zrobię z tym kawałkiem?
Wezmę raczéj morg nad rzeką
I zatoka do mnie całkiem!"

—O!! zatoka za głęboka!
Krzyknął Marcin,—panie bracie!
Wcześnie siatkę zapuszczacie
Niedam ryby ani oka!
Morg mój, Mości Dobrodzieje,
Co nad rzeczką tam pod drogą.
Nie pytając u nikogo
Sam zaorzę i zasieję.
Bo pomiarem..."
—„Co mi pomiar?
Kto się krzywdzić mię ośmieli
W klindze mojéj karabeli
Słusznéj kary znajdzie domiar."—
—Panie woźny!...
—„Woźny płazem
A mierniczy—w łeb żelazem!
Niema pana dla Stefana—
Zaraz wszystkich tu wypłoszę!
—Morg nad rzeką i toń rybna
Moje!...
—«Moja rzecz niechybna!...
—Ja zasieję.
—«A ja skoszę!—
No bratuniu to za śmiało!

A czy znasz ty moją rękę?
— «A czy znasz ty swiszczypało
Moją szablę damascenkę?
— Ze mną szlachta!
— «Bij kto sprzyja!!...

Szlachta w dwie się strony ściska
Walka w zabój... aż krew tryska...
Pan Komornik wiechą zwija,
Woźny pozwem broni duszę,
Papier, wiecha, w zawierusze
Popękały się od kija.—

Aż skrwawiona, zapocona,
Porąbana, zadyszana
Ta i owa padła strona
Wypoczywać na murawie;
Jeszcze w jęku i we wrzawie
Słychać głosy: — «To Stefana...
— To Marcina... mórg przy drodze...
— «Mórg nad rzeką i zatoka...
— I okopię, i ogrodzę...
— «Niedoczekasz! niepozwolę...
Będę bronić moje pole,
Jak źrzenicę mego oka!
— Nie o pole, nie o szkodę
Lecz tu idzie o bezprawie.
— «A ja mówię i dowiodę
Że na swojem rzecz postawię.
— Ciężko skarzę upor bratni...
— «Wara leźć mi w moją grzędę!...
— Krwią słuszności bronić będę
Do kropelki, do ostatniej!"

— «Cyt mi *szerszenie!* *)—tfu do kata!
Huknął stary pan Ambroży—

*) Szlachtę zaściankową na Litwie zowią w pogardliwym wyrazie *szerszniami*—ta nazwa pochodzi od barwy mundurów wojskowych Radziwiłłowskich—która była żółta z czarném. (Aut.).

Taki rankor brat na brata
Mospanowie — to gniew Boży!
Bić się z bratem jak by z wrogiem!
Jakiem okiem, jakiem czołem,
Staniesz jutro przed kościołem,
A po jutrze i przed Bogiem?
Uściśnijcie mi się szczerze,
I wypijmy pojednanie,
Jutro spowiedź...
— O Mospanie!
A zatokę kto zabierze?
— «Niechcę morga co pod lasem!
— Niedam morga co przy drodze!
— «No, uciszcie się z hałasem
Ja wam całą rzecz pogodzę.
— A to jaki śmiałek groźny
Medyację swoję wnosi!?
— Sza panowie! — krzyknął woźny—
Pan Ambroży o głos prosi!

Więc Ambroży siadł na miedzy
Brzęknął czarą po butelce:
—— «Bracia szlachta i kolledzy
Mościwi wielce a wielce!
Za zatokę i za pole
Będzie zawsze wrzawa sroga:
Będą skargi, i zatargi,
I processa, i swawole,
I obraza Pana Boga.
Bracia zniszczą się ze szczętem
Przez rankory i rospusty;
Będą dzieciom testamentem
Przekazywać proces pusty;
Na braterskich karkach — szpetnie
Czynić probę szabel hartu,
Mazać herb swój nieszlachetnie
I oddawać duszę czartu. —

«By więc zetrzeć plamę z czoła
Zmazać karę nieochybną,

Radzę oddać do kościoła
Oba morgi i toń rybną.
Za tę skruchę Pań Bóg — juzci
Grzech dzisiejszy wam odpuści,
I ofiarę przyjmie wdzięcznie
Za zgładzenie tych bezprawi,
A xiądz probosz—comiesięcznie
Za was świętą mszę odprawi. —
Bóg okryje swém ramieniem
Tarczę herbu starożytną,
Wasze domy z pokoleniem
Pomyślnością wam zakwitną.—
No! czy zgoda?"
— Mądra rada —
Już inaczéj niewypada;
Oba morgi niepodzielne
I zatoka koło młyna
Ni Stefana, ni Marcina,
Ale odtąd już kościelne.
Niech pan woźny tu posiedzi
I dokument spisze żywo—
Jutro jedziem do spowiedzi
Z tą pobożną donatywą."—
—A salarja?
—To nie minie
To proboszcza rzecz nie nasza,—
A za cięcia od pałasza
Damyć żyta po ośminie.
— Zgoda! — krzyknął woźny żwawie —
Teraz kielich do roboty!
Dictum, *factum*, i po sprawie
Wykonano co do joty.—

* * *

Oto sto lat już się zaczną
Jak braterskie kości społem,
Gniją w ziemi pod kościołem,
A mogiły — ani znaczno. —
Ale ród ich gęsty w Litwie,
I poczciwy i zamożny,

Bo co miesiąc głos pobożny
W mszalnéj wzmienia ich modlitwie.
A na morgach w pszennym płonie
Pleban piękne żnie owoce,
Stawi kopy na zagonie,
Łowi rybkę na zatoce.—

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Słyszał nawet dzwonnik głuchy
Pod grobowcem u parkana,
Jakieś krzyki, zawieruchy —
Spór Marcina i Stefana.

Ale potém co się stało!
Czy tak było rzeczywiście,
Czy się może przysłyszało
W pół głuchemu organiście:

Dość że słyszał z pod ich grobu,
Idąc mimo w nocnéj chwili,
Głos zmięszany braci obu,
Jakby znowu się kłócili.

Źle!—rzekł w sobie—Boska wola!
Lecz rozumiem co to sprawia,
Xiądz już nié ma tego pola,
I tu msza się nie odprawia....

5 Października
1846.

JAŁMUŻNY! JAŁMUŻNY!

Wiersz przesłany X. Al. Waż.....

W rocznicę jego kazania na czwartą Niedzielę Wielkiego postu 1844.

W imieniu tego co siedząc z uczniami
Na wzgórzu chlebem karmił lud podróżny,
Za bracią w nędzy co się karmią łzami,
Ja do was wołam: *jałmużny! jałmużny!*

Bracia na górze, bracia w powodzeniu,
Patrzajcie, oto—idzie rzesza ludu:
Spieszmy na pomoc, pocieszyć w cierpieniu,
Chrystus powtórzyć nie odmówi cudu.

Gdy pytał uczniów wiele mają chleba,
—«Nie będzie dosyć»—odpowiedzieć śmieli.
Wiele jest biednych, liczyć ich nie trzeba,
Dajmy co można, Jezus ich obdzieli.

Na całym świecie od końca do końca,
Wszędzie się ręce błagające wznoszą;
Matka, sierota, ojczyzny obrońca
Wszyscy was bracia o współczucie proszą.

Niechaj ich prośba nie będzie daremną,
Odgłos ich jęków niech nie będzie próżny;
Wołają wszyscy przezemnie i ze mną
Bracia na górze: *jałmużny! jałmużny!*

Jam tylko echo, przedemną głos tkliwy
Wołał: *jałmużny!*—i poszedł do nieba:
O! jak ten w duszy musi być szczęśliwy,
Którego mowa daje biednym chleba!...

Gabryella Günther.

PRZEJAŻDZKA

Z ZA NIEMNA DO LITWY.

z Pamiętników młodéj Panienki.

Dotąd zwano mię dzieckiem i siedziałam w domu; oprócz cacek kramnika, kilku w rok nowin z Warszawy i odwiedzin z sąsiedztwa, nie znałam innych powabów świata i życia; mniéj też smieszności i złéj strony ludzkiéj widziałam. Wkrótce zostałam Panną. O! w tym perjodzie my biedne istoty, nieraz za książką lub w dumaniu samowolném, powietrzném, łzy lejem na ziemię tam—gdzieśmy się wesoło bawiły w oczach ludzkich! Lecz u mnie to tak rzadko bywało na szczęście, że jeden kwiatek nie wyrosłby w mym ogrodzie, gdyby był niemi polewany. Mało mam daru postrzegania; niech więc starsi powiedzą: czy wiosna czy lato—obfitsze w deszcze i rosę?... Po kilku latach sama to będę wiedziała.

Co dzisiaj za czasy! Niedozwalają myślić kobiétom ci niby rozumni mężczyzni; a jednak na złość im, snuje się dość często po głowie, i czuje się cóś w sercu, tak—iż pośród igraszek naszéj płci i wieku, nieraz przelotna dumka zatętni w łonie—ustaje śmiech i pierzchają z przed oczu te kolorowe malowidła, które się roją w szczerości dziecinnéj duszeczki. Musi to być jakiś

wpływ tajemny ziemi i nieba, miejsca i czasu, nakształt tych miazm w powietrzokręgu, które wzniecają pewne dolęgliwości ciała i panują w pewnych klimatach, porach i okolicach. Ta posępność jest tak miłą! ona nas przenika na wskróś; rzadki wiersz jest bez żałości; u naszych piszących mistrzyń, ciągle spływa z pod pióra jakiś obrazek moralny i rzewny—to stary wędrowiec, to młoda sierota, to wspomnienie, to rysy szczęścia, które już nie jest, lecz tkwi w pamiątce i nadziei, różne zjawiska życia domowego i powszechnego, dla jego własnéj nauki. O kiedyż ten świat cały zmalujem, my ludzie; kiedyż poznawszy go i swoje życie, wzniesieni myślą do Boga, tak się ulepszym, aby nam było lubo jak jest w królestwie nieba, w owéj dla duszy obiecanéj stronie miłości i pokoju? Tymczasem ta tęsknota jest pewną roskoszą; jedna jéj chwila więcéj warta, niż dziesięć dni przebytych wjednotonie codziennych uczuć i drobiazgów niby-to towarzyskiego życia!

Jednak te fraszki, któremi nas osypuje byt nasz powszedni, nie zawsze są usypiającym makiem; trzeba się tylko dobrze umieścić i mieć na zasadzce za sercem litość, a one będą dla nas mięszaniną pstréj niewinnéj arlekinady, co się sama przedstawia, jak niepłatny teatr, i bawi urozmaicając nam czczość w duszy. Pierwszym warunkiem względnéj pomyślności, jest zastosowanie się do wyobrażeń i charakteru miejscowego; a to najmniéj kosztować może łagodne kobiéty; czasem zaś zamienia się w dobrowolną i przyjemną potrzebę.

I tak, zrodzona w Litwie a wychowana w Królestwie, z radością usłyszałam od mojéj opiekunki, iż pojadę za Niemen, na Litwę, do mojéj bliższéj rodziny. Każda z nas kiedy wyjeżdża z domu, choćby tylko na tydzień, gotuje się jak na wyprawę; bo jeśli nie idzie o to aby *podbijać*, to przynajmniéj aby nie *upaść*. Poczułam, iż cała kobiéta 16 roku, ożyła we mnie. Przybywałam z Królestwa, winnam więc była pokazać się dobrze między Litwinkami. Jako Królewianka, nie jestem ja pyszna, ale też czuję trochę mego waloru: zdało mi się zawsze, że wiatr co od Warszawy wieje dochodzi tylko do granicy, a od Kowna wraca się nazad, więc do nich ni mody ni obyczaje nasze nie przeszły, a nowość wszędy zradza podziw i daje pierwszeństwo....

O! bodaj tego *stryjaszka!* Myśliłam, że już ktoś wypalił za mną z pistoletu, mszcząc się za chwałę Litwy; a to korek wy-

skoczył z butelki piwa, którą kazał postawić dla siebie przy moim stoliku.

Jakże wdzięczną byłam celnikom granicznym, kiedy już nas przewieźli za rzekę! Ostry mróz ciągle mi przypominał iż jadę na północ, i chciałam co prędzéj znaleść się u ogniska, przy moich dobrych siostrach i kochanych braciach do których tak tęskniłam!... Ale strażnicy! strażnicy! wiedząż oni co robią? Nie przepuszczą paczka igiełek, cło wezmą od lada chusteczki, a pozwolili przewieźć za rzekę mnie samą, kiedy prawdę mówiąc, ja byłam największą z całéj drużyny i z rzeczy—kontrabandą! Igiełki się połamią, chusteczka pójdzie do paku; ale ja,—ja zawichrzyłam spokojne siedziby litewskich gospodarzy, i serca ich troszkę ciężkawe, głuche jak te leśne kąty; ja więcéj dla nich byłam niż pruskie jedwabie, wstążki, koronki, bławaty,—bo któreż z tych rzeczy tańczy, ma słodką minkę, niebezpieczne oczki? Wywiozłam z sobą, w sobie, naiwną sztukę Królewianki—i troszkę przydatków łaskawéj natury; a wróciłam obładowana westchnieniami i oklaskami tamecznych wieśniaków—i oni nie wzięli ode mnie opłaty! o sprawiedliwości celna!...

Gdyśmy zajechali przed krużganek nie zbyt okazałego drewnianego domu, rojem wysypało się rodzeństwo, oddawna już czekające nas z gościnności objęciami. Julka, Anusia, Helenka i mała Emilka, wybiegły z twarzami rozjaśnionemi, na wyścigi całując, ściskając, witając; chłopców nie było w domu, gdzieś się uczyli biedaki po szkołach. Jakże miłą jest ta prostota, ta serca pełność, z którą spotyka gości obywatelski i pokrewny dom w Litwie.... Nie ubliżając sobie, u nas bywa więcéj oznak zewnętrznych grzeczności, a stąd nie tak ciepło dla duszy. W tejże chwili uczułam, że jestem jak we własnym domu; to mię przyjemnie na pierwszy raz zdziwiło; nieoszacowana moja wujenka, była to sama dobroć, naturalność, słodycz. Dla tego też przeżyła z mężem cały średni wiek człowieka, w świętéj ciszy i miłości;—błogosławieństwo było z niemi tak w dzieciach jak majątku, a ludzie lubili ich w okolicy.

Była to zima, czas wielkiego postu, myślano więc skromniéj bawić się niż w inne czasy; bywali goście, my grywałyśmy z sobą, a tyle nas tam było! W téj porze, umysł ludzki bardziéj tęskni do towarzystwa; każdy rad z ciepłego pokoju przy miłem gronie; coraz wychodził gospodarz powitać przybywających i niedozwolić zdjąć płaszcza w sieni; w tedy to rozwinęła się pod tą, doprawdy słomianą strzechą, szlachecka obfitość: od obiadu

do wieczora, na wyścigi dawano warzone w cukrze lub miodzie jagody, które słodziły nam gardziołka; łuszczyłyśmy orzechy, gryzłyśmy jabłka słodkie i kwaśne, suszone gruszki, śliwki, mak z miodem,—słowem: byłyśmy jak wiewiórki w swoim dębie! Cha! nie myślcie proszę, że orzechy są marną rzeczą; czasem służą do wielkich zadań, czasem one są psotą... a—powiem dla kogo: dla przyszłego małżonka,—czy jak po prostu tam mówią,—gacha, kawalera. Właśnie, był tam jeden z rzędu dzieci *marcowych*, który bardzo zabiegał, lecz niewiem o kogo; bo zdaje się, że tacy starają się o każdą, nie wymijając żadnéj. A że mają oni sobie za powinność grać rolę Adonisów,—to naturalnie dla takiéj nowinki jak ja tam byłam, ich starawy humor, nakształt śledzia przesolonego w beczce, uwija się aby podobać się i ująć. O! to za wiele. Niemasz nudniejszych nad tych, co mają wiarę w swoją przyjemność, kiedy nikt inny w to nie wierzy. Zostawszy prawie bez skarbu serca i życia, ufają jeszcze w potęgę swego długowiecznego zbiorku. Jacy biedni! jak ta nierozumna, co da się nakłonić częstym w téj mierze doradzaniom starszych! Zamiast co macie potém płakać całe życie, daję wam lepiéj wynaleziony przeze mnie sposób, zażartować z nich wcześnie, a to wystawiając im zagadkowie posiadanie siebie pod figurą twardego orzeszka. Dajcie tylko pół-wiecznemu bezżeńcowi, co główkę w dół nosi, mówi cicho, ocierając usta—lub ręką trzymając za guzik,—dajcie mu do zgryzienia parę orzechów, a jeśli to uskuteczni,—to niech was posiędzie. Nie potrzeba innych turniejów do poznania jego waleczności, żadnych ofiar, niech spełni tę probę. W prędkości trochę niebacznéj, rzekłam raz znużona: «zgryź Panie *Dziękuński* ten orzech, to weźmiesz mnie sobie." Miałam tę jednak uwagę, żem dobrze wybrała i sama wprzód w ząbkach wyprobowała, czy dość twardy do zgryzienia. Tu napadł nań strach paniczny, a choć to uśmiechem pokrywał jegomość, widziałam iż potém sam na sam ciskał go, ciskał napróżno, i nareszte wziął się do konceptu: nabrawszy za rękaw łuski, przyszedł prosić o powtórzenie, mówiąc iż teraz ma większą ochotę. Gryząc więc orzech z łatwością, powiedziałam mu: nie możesz pan mieć za żonę wiewiórkę! Byłam więc sama twardym orzeszkiem!

Stworzyłyśmy sobie bardzo niewinną komedję, i grałyśmy jednego wieczoru. Tam to się pociesznie wystawił powiatowy adonis. Ja miałam rolę kochanki... a żem dotąd jeszcze nigdy nie kochała, ktoś z boku powie: o, źle! ta panna zaczęła miłość

od komedji! Ależ i wielka część zakochań się i małżeństw czyż nie bywa często smutną komedją?

W téj sztuce najlepiéj się popisał stryjaszek moich kuzynek, który był *Seneszalem* i koniuszym razem. Ale trzeba wiedzieć naprzód, co to jest *stryjaszek?* Jest to rodzaj powiatowego urzędnika, dla dobroduszności jego i wieku, (oba przymioty łatwo zbliżające).—Każdy przybyły do Lelańc, bliski znajomy lub przyjaciel, nazywał go Stryjaszkiem jakby należał do rodziny. Trzeba zaś być bardzo złym, aby być z nią dalekim, aby prędko nie zawiązała się wzajemna poufność. Stryjaszek był znany ze swego uczciwego charakteru niegdyś na urzędzie; i dziś jeszcze wzywali go obywatele do służenia powiatowi; ale stary kawaler dziwaczył się, i chmurzył na myśl o honorowéj służbie, w któréj się dość nasłużył w swoje młódsze lata, i w niéj wszystkie swoje dochody i czas posadził. Czuł to wprawdzie, że temu nie tak był winien urząd, jak raczéj jego dobre, towarzyskie serce; lecz my ludzie, kiedy nie możem uderzyć winnego, to choć pluniem lub drzwiami zatrzaśniem. Humor tedy szarawy, jak szlachecka codzienna kapota, Stryja P. Wincentego, zwrócił się w opryskliwym sposobie na te zaprosiny; przenosił swoją swobodę bezżenną, nałogową nad wszystko, i przywiodłszy na koniec życie swe do najprostszego wyrażenia, miał tylko trzy pochodziste skarogniade koniki, z jakiemiś tam szczególnemi białemi pęcinami i gwiazdkami na łbie; hodował czworo czy sześcioro chartów długich, czarnych, lśniących, susistych, których zwał to *Kozakiem*, to *Narwą*, to *Szpyrką*, i które lazły za nim wszędy, do pokoju, pod stół, lub leżały na łóżku. Ciągłą miał robotę rozbraniać je, gdy się gryzły z pokurciami na dworze. Była to jego eskorta. Cicho leżąc na skórze, ruszał chart faworyt uchem, jakby dzieląc zwyczajne pańskie rozmowy o polowaniu i strzelbach, o szczwaniu zajęcy i lisów. Najważniejszém ze wspomnień i zawsze na placu, był Generał Kossakowski, który miał dziwnie strzelać. Leci gołąbek dziki,—mówił w przykładzie Stryjaszek,—to jak myślicie, on jego palnie? czy szrotem? czy czekając, mierząc się? Nie—stoi i nie patrzy za siebie, nabija lufę kulą, a kiedy już zmiarkował, że gołąb jest na mecie, odwraca się—i jak złożył się, tak i wypalił! Cóż Pan powiesz? nigdy niema *pudla*!—Niech kto sobie myśliwy opisuje te gawędy, ja wiem tylko, że nam siostrzenicom zawsze było dobrze ze stryjaszkiem, zawsze żartobliwym i szczerze grzecznym dla dam w szczegól-

ności. Przy stryjaszku, mówiły siostry, nigdy znudzić się nie można, zawsze ma cóś nam powiedzieć i za cóś upomnieć, i za cóś pochwalić nawet. Cały zimowy długi wieczór chodzi zwykle po pokojach wzdłuż i wszerz z fajką, nie należąc do zabaw; tylko jak postrzegacz z nienacka czasem szczypnie złośliwą satyrką i znów idzie dalej; a podczas tych przechadzek na chwilę fajki z ust nie wypuszcza. Jest to symptomat także dziennego znużenia się, przechadzkowém i w saméj nieczynności ciągle jakoś czynném życiem. Tytuń zdaje się być najdobroczynniejszym w podobnym perjodzie i stanie—lekarstwem, albowiem usypia; niewiem, czy spać pomaga; dość, że gdzie tylko przysiadł stryjaszek z cybuchem, wszędym go widziała natychmiast drzémiącego. Po kilku chwilach, w których jednak nie przestawał z dziwną wprawą nałogowie *pukać* ustami, ocykał się nagle, otwierał oczy i powstawał żywo. Zdawałoby się, że jest jego zadaniem i ma konieczny zamiar znaleść przestrzeń, wymierzyć świat swojemi krokami. Tak stale od wielu lat wykonywał tę czynność w towarzystwie i wszędy, zawsze był jakby na łowach, jak geometra na polu, nie znosił siedzenia, a—żeby więcéj chodzić, nie tańczył. Druga część obrazu, tryb drzémania przy fajce, dawała mu znowu podobieństwo do symbolu bezżeństwa w rzeczywistości.—Mimo to wszystko, stryjaszek był to nasz dobrodziéj, przyjaciel, opiekun; naprawiał małéj dziewczynce popsute cacka, i najwięcéj z nią wojował, tak iż ta czasem od śmiechu aż płakała z żartów stryjaszka, i biegła całować mu ręce, które wyrywał, mówiąc; porzuć, asanna! fe, głupstwo! idź jeść kaszkę,—ot podali, patrzaj!—Dla starszych kuzynek był jeszcze łaskawszy. To urządzał nam stolik do robótki, to poprawiał siedzenie a czasem i samo szycie, mówiąc: ach, jak szyć panny nie umieją, to aż mnie wstyd!"—Jadąc do kościoła, uwijał nas w chusty abyśmy nie przeziębły, i wsadzał do bryczki; sam także dobrze obwiązawszy się błękitną wełnianą chustą, jechał za nami na swoich koniach. Dodam, że był pełen zdań użytecznych i mądrych przysłowiów, do każdéj rzeczy i trafu; a wszystkie naiwne dziwactwa, dobro i zło tego szczególnego humoru człowieka, były brane za skutki bezżeństwa, i często mówiła nie jedna z dobrych ciotek: et, zwyczajnie, stary kawaler—im to trzeba darować; oni zawsze tacy; ale dobry człowiek!

Czy co mówić jeszcze?... Mam jednak cóś. O, ta powszechność tytułów w Litwie, któréj już dwa dałam przykłady!... czy to

w przyjaźni, czy w pokrewieństwie... dla niéj tu muszę wspomnieć jeszcze o ogólnym kuzynku. Młody chłopiec, trzeba przyznać, nie ze wszystkiém pusty, ale mogący nim być tyle, ile dla podobania się nam tego potrzeba, ze świata i od ludzi, na odetchnienie wolną piersią, wpadł w koło rodzinne, a czasem tak prędko witał się i żegnał, że sam nic więcéj nie poczuwał, ani po sobie zostawiał, prócz krótkiéj tęsknicy. Jego odwiedziny były drogie dla młodych serc i dla starych uszu, bo łączył wesoły dowcip z niezmyśloną czułością. Tego kuzynka mego piérwszy raz wtedy poznałam: odżałować nie mógł, (on, nie ja), —że tak póżno to się stało i na tak krótko! Miał dziwną łatwość w zbliżeniu się z ludźmi; z młodą i dobrą kobiétą, prędko staje się jak brat, bo umie ją podchwytać w myślach jéj serca, te delikatnie objawiać, szanując je; mówi, że ma serce, to już udowodnił i wszyscy wiedzą; a ponieważ wnosi, że kobiéty są już z przyrodzenia sercowe, więc on ich wszystkich jest *kuzynkiem* zawczasu,—z samego przyrodzenia. Rzadko która chce mu to zaprzeczać, nie miło opierać się kochaniu i czci: przytém ten rodzaj przyjaźni jest dziecinnie przyjemny: znaczy dobre, swobodne, towarzyskie serce i nic więcéj. Nie jest, sądzę, niebespieczny, bo choć sam się pieszcząc z łatwością może i nas rozczulić, ale tém samém serce u niego jak u kobiéty. Czujesz jak przypada ku tobie nakształt ustraszonego ptaka przed burzą, korzy się nawet, nie tak aby zwyciężyć, jak aby ująć i siebie ocalić. Lubiłam go słuchać, chociaż mówił, że mam taką słodką wymowę iż on woli milczeć przy mnie. Wszystko ożywia porównaniami, a te często mimowoli pochlebiają: wie,—że lubim kiedy nas chwalą zręcznie. Dla nas dość bywa ujrzeć zbytnią słabość, aby zostać mocnémi: kiedy mię chciał pocałować w kolano, nie wzbroniłam mu tego, aby przez spór nie stanąć na równi z nim; tym sposobem stałam się do razu jego panią. Zresztą, to niesztuka, przyznacie: wszak byłam wtedy niczém inném jak tylko bałwankiem. Doznałam, iż najłatwiéj przemieniać się w posąg, bo choć to kosztuje na chwilę trochę, miłości własnéj, ale zapewniona przez to do razu obojętna wygrana. Założę się, że po wyjeździe napisał do mnie lub o mnie, wiersz czy powiastkę jaką.

Przeprowadzani do Niemna i nawet aż na tę stronę od gościnnego wuja z córką, wróciliśmy już z poczynającą wiosną do domu. Ciepło południowe dogrzewało śniegowi, i ten znikał, jakby nań kto wołał: z drogi! Żywiona wewnątrz tym młodym *krwi*

zapałem, jaki się obudza w tej porze roku, i tą ciągłą zmianą miejscowości, śród życzliwych kuzynek i dobrych ludzi, gdy jeszcze dopalało słońce z góry, moja wyobraźnia z ochotą leciała do Ameryki, i widziała tam ogromną wegetacją, kłębami piętrzące się rośliny u brzegów rzek i skał i po wieczystych lasach. Tak przyjemnie sobie snuć w myśli obce obrazy, dalekie, pod wiosennem słońcem, które wyraszcza poezję w przestrzeni i budzi nadzieję w duszy. U *Piaskowéj Góry*, z pod wyrwanego dębu, ściekała po korzonkach woda z otopniałéj ziemi, w tysiącznych lekko burczących nitkach, i ściekała przez gościniec, jaszczurkami lecąc pod końskie nogi. Zostałam trochę poetką wracając z górzystéj Litwy!

Nareszcie wysiadłam na próg mój domowy. Uścisnęły mię dwie krewniaczki: jedna moja siostrzyczka, a druga siostra tego podróżnego kuzynka! Doprawdy ta miła dziewczyna tak go kocha, że zmusi nawet mnie więcéj go lubić: bo szacunek i miłość kobiét dla kogoś, ich łaski, zmuszają inne kobiéty dobrze uważać takiego człowieka. Zawsześmy z nią rade z czego bądź, to prawda, bo w czystém sercu jest zawsze jakiś kwiat co jak w szklance pięknie rośnie; a jednak tęsknię trochę, jak to bywa w duszach nawykłych żyć uczuciem po zmianie miejsc jednych na drugie, i towarzystwa wielu osób na samotność. Czytamy z Emercią i wspominamy: ona oczekuje powrótu brata, ja niczego nieczekam... to znaczy: czekam wszystkiego jeszcze!...

Weronika Podbereska.

Królowe-Krzesło.
1848.

Z POEZIJ
EDWARDA CHŁOPICKIEGO.

Płyń o mój duchu przez jezioro próby,
W bespiecznéj łodzi wiary i natchnienia,
By cię błędnego na skałę zaguby
Nie potrąciła fala niepogody,—
Abyś niezmienne przepłynąwszy cisze
Błogi zawitał do portu nagrody!..

Ostatnia pieśń Wład. Strzelnickiego.

GĘŚL LECHICKA.

Wstęp do nieukończonego Poematu.

O stare duchy pradziadowéj ziemi,
Zejdźcie tu do nas z pogrobowych cieśni—
W godowém kole s potomkami swemi
Znów się wam przeszłość złoeista odeśni;
I lica mroczne, i czoła omszone
Znów dawnéj wiosny oświetlą się zorzą;
I z rdzy wiekowéj piersi odsłonione
Czarowną mową usta wam otworzą!
Zejdźcie— w modrzewiów cieniu rozłożystym
Wnucy z dziadami orszakiem zasiędziem;
Wy— o swym wieku odległym i mglistym,
My— o swéj wiośnie rospowiadać będziem!..

I jak dwa stada z rodzinnej dąbrowy
Puszczone z gniazda od łona rodzicy,
Znowu się w wieniec upleciem domowy,
Na pobratymczéj słowiańskiéj ziemicy!
Ale wy śpicie, o ojcowie starzy,
Już się nie dźwignie hełm na waszéj skroni,—
Wasza pierś kuta już się nie rozżarzy,
Ni mowa polska z ust wam nie zadzwoni!
Śpicie,— a w okół tylko cisza święta
W sklepach pogrobnych błogością was wieńczy,
Tylko szablica powiewem wstrząśnięta
Czasem rycerską pieśń o was zabrzęczy!
Śpicie?— więc śpijcie dziedzice wawrzynów!
Wnuki nie wzruszą was z smętarnych cieśni—
Tryumfy wasze— pamięć waszych czynów:
Oto są skarby dla proroczych pieśni!
O! bo pieśń wieszcza— to lampa wiekowa
Co karty dziejów zakrytych wyświeca—
Lampa się srebrzy— i pieśni osnowa
Blaskiem jutrznianym promieni swe lica!
I taka czysta— jak przezrocze fali,
I taka rzewna— jak łzy przy modlitwie,
A groźna, kuta— gdyby z ojców stali
Skrzeszoną była w batorowéj bitwie!
O! pieśń— to słowo u Boga poczęte,
Przez usta wieszcza ludowi posłane,—
Lud ma gęśl w tony tajemne zaklętę;
Wieszcz kładzie na niéj swe dłonie świetlane;
A myśl bezmówna wcielając się w słowo,
Czarowną pieśnią z nad gęśli ucieka,
I zgodnie z księgą plemienia dziejową,
Bezśmiertny żywot szle z wieka do wieka!
Dajże więc dłonie, o młodzi słowiańska,
W zamierzchłe wieki zwrócim wzrok sokoli:
Nad czołem naszym zabrzmi gęśl niebiańska,
Przeszłość nas ziemią lechicką okoli—
Może w śnie błogim światło z niebios tryśnie
I nad grobami kagańcem zabłyśnie!.

(*Następują epoki pieśni*).

I.

PORANEK NOWEGO ROKU (1848).

Po kirowej mgieł firance
W sklepionego świata łonie,
Rospalając dnia kagańce,
Skrzydło wschodu blaskiem wionie,

A gdzie mknie— tam zmięte czoła
Ze snu larwy się dźwigają,—
W myśli— krążą tęczy koła,
W sercu— hymny wygrywają.

I co chęci, co nadziei,
Ile szczęścia w tym rozbudzie,
Przeszłość, przyszłość po kolei,
Dzień ten w marzeń skupia cudzie!

O tak! dzisiaj wiaro moja,
Przygaszona burzy tchnieniem,
Dziś się rozdmij— władza twoja,
Niech mię dźwignie odrodzeniem!

Bo choć w serce żal wpleniony,
Choć dusza zwątpieniem tleje,
Wiarą świętą namaszczony,
Wstęgę nadziei rozwieję!

I opaszę was tą wstęgą,
Gruppy cierpiącej ludzkości,
A kląkłszy przed losów księgą,
Zabrzmim chorem hymn miłości!

Wilno.

2.

SNY I UŚPIENIE.

O witajcie sny młodości,
Cacka moje brylantowe,
Rozwieszone, rozświetlone
Na szacie méj niewinności!
W waszym blasku, jak w obrazku,
Świat się dla mnie tęczą stroił,
A tych tęczy odcieniami,
Jak motyl ziół słodyczami,
Duch się młody żywił, poił!
Lecz niedługo ta pieszczota
Kołysała serce młode;
Ledwom zajrzał w życia wrota,
Ledwom wszedł w jego gospodę:
Wnet kruki z całego sioła,
Sępy żeru czatujące,
Postrzegłszy cacka błyszczące,
Otoczyły mię do koła;
Otoczyły i obdarły—
Napróżnom wzywał pomocy,—
Bo dóm cały o północy,
Sterczał głuchy, obumarły!
I jam także skłonił głowę—
Ciało zmięte spocząć chciało—
A choć serce się wzbraniało...
Lecz osłabłe i poklute,

Zmogło się w jedną minutę—
Jam wczął życie metalowe!..

*

Tak opoka doświadczenia,
Skryła słonko szczęścia jasne;
A jak badyl na ugorze,
O smutnéj grudniowéj porze,
Śród wszech natury uśpienia—
Usycham, mdleję i gasnę!!
Świat ten dla mnie— to kaplica
W pustém siole gdzieś stercząca:
Niegdyś tam Boga-Rodzica
Z obrazku lud witająca;
Niegdyś dzwonki, kapłan stary,
Chór i chłopcy tam służbowe—
Dziś pusty przybytek wiary,
Dziś milczenie w nim grobowe!.
A ja pielgrzym życiem zmięty,
Na progu téj strzechy świętéj
Szepcę pacierz do Wszech-Pana,
Ta mi jedna władza dana!
Ach, z tą władzą czuję jeszcze
Siłę, która w chwili skonu,
Jak natchnienie górne, wieczne,
Jak rozgłos wieczorny dzwonu,
Jak mamidła lat młodości,
Zburzy byt méj ospałości—
I powstanę i roskryję
Pierś mą dla was oniemiałą;
Znowu czucie w niéj ożyje,
Znowu siłą moją całą
Ukocham wasze plemiona—
A potém s krzyżykiem w dłoni,
Z wieńcem z różańcu na skroni—
Spłynę w wieczności ramiona!

Wilno. 1847.

3.

JAZDA SZALEŃCA.

Fantazyjka.

Siadłem, jadę— wrone konie
Nieście — pędźcie w orła lot!
Precz parowy, krzewy, błonie,
Cyt! naturo z swemi śpiewy:
Ja chcę słyszeć kopyt grzmot—
Ja chcę widzieć grzyw powiewy!

Dla mnie piorun— dla mnie burze,
Myśl zwichrzona— chmura dum;
Dzikość w sercu— szał w naturze,
Piosnka harda, niedouoba—
Gradu bicie— wichrów szum,—
To są bracia mego ducha!

Ej, sokoły szybko-nogie!
Lećcie światem — aż za świat!
Rozsiewajcie ćmy złowrogie:
Myśli moje poplątane—
Niechaj pierzchnie pamięć strat,
Niech osechną łzy wezbrane!

Widzę ludzi— niéma ludzi!
Szukam serca — widzę głaz;
Nikt ich duszy nie obudzi—
Ona drzymie lodowata,—
Urok życia dla mnie zgasł;—
Lećmy!— niechcę tego świata!

Parów nad Niemnem.
1846.

4.

SMUTNY WIECZÓR—SMUTNIEJSZY RANEK.

Miéj serce, i patrzaj w serce...

I.

Był wieczor chłodny o jesiennéj porze,
Księżyc się blady obwijał chmurami,
A wiater mroźny buszując na dworze,
Smutnymi dzwonił po szybach taktami;
I tęskno było o szaréj godzinie,
Świerszcz gdzieś w poddaszu szerzył swe wołania,
A wzdęty ogień gorąc na kominie,
Głębokie w myśli rozwijał dumania!
Dla czegoż takie omroczone lica
U ojca, matki— czemu siostra tkliwa
Tak zatęskniona, z ócz jéj łza wypływa—
I błędna za mną krąży jéj źrenica?!
O! ja wiém czemu—ja wiém, jutro rano,
Jutro daleko od moich odpłynę,
Jutro pożegnam, zostawię rodzinę,
Z okiem spłakaném— i myślą spłakaną!
Wieczór się kończył— w samotném ukryciu
Z ręką na piersi założoną stałem,
I tęsknie myśląc o mém przyszłém życiu,
Ze łzą na biédną rodzinę patrzałem.
Wszyscy milczeli— siostra zapłakana
Sparła swą głowę u okna na rękę;
Usiadłszy wreście koło fortepiana,
Dawną, znajomą zagrała piosenkę.
O ta piosenka, ten dźwięk pożegnania,
Te oczy łzawe— w nich odblask księżyca,
Co świecił wówczas, pod chwilę rozstania—
Zawsze się w mojéj pamięci prześwieca!

Zawsze— czy kiedy śród zabaw ponęty,
Czy w kółku bratniej drużyny ucztuję—
Żywo się w smutnej pamięci maluje,
I dworzec biały nad brzegiem Krożęty,
I koło małej rodzinnej gromadki,
I las na górze Miedziokalną zwany,
A w nim sadzone róże i bławatki.
O! tam najczęściej wśród ciemnej altany
Letnim wieczorem Adama.. czytałem,
Tam do piór orła nadniemeńskiej braci,
Przypięty w słabej pisklęcej postaci,
Natchnionej piersi owiany zapałem,
W dziedzinę cudów z nad ziemi pierzchałem!..

III.

I przyszło jutro— pogodny był ranek,
Słońce płynęło po niebios błękicie,
Lecz mnie nie cieszył ten urok o świcie,
Bom miał przed sobą bolesny rozstanek;
Bo odjeżdżając dóm mój i rodzinę,
Jak błędny żeglarz po wzburzonej fali
Musiałem płynąć ku mglistej oddali,
A później wrócić, i znaleść— ruinę!.
Mnie smutno było— lecz gdy łzy wezwałem,
Ból źródło święte wmroził w moje łono,
Jak posąg martwy z głową w dół schyloną
Na ruch w mym domu w milczeniu patrzałem!
I biła wreszcie godzina rozstania—
Czwórka bułanych wpłynęła przed ganek,
Miłej gromadki otoczył mię wianek,—
Jam smutne, łzawe spełnił pożegnanie!
I odjechałem!— jeszcze mi się zdało,
Że widzę zdala dziecinne pamiątki:
Tam lice murów bladawych błyskało,
Tam zabaw szkolnych zda się tlały szczątki,
I sina rzeczka— i bacik dębowy,
I ścieżka, którą na pensy chodziłem,
I mój ogródek— w nim bez lilijowy—
Wszystko widziałem, wszystkiem się cieszyłem!

Lecz jakże było przebudzenie srogie,
Gdy mary zbiegły z méj błędnéj źrenicy—
Patrzę— chcę złowić miejsca dla się drogie,
Szukam wzniosléj dąbrowy— kościelnéj wieżycy—
Próżno— wszystko już znikło, mgła oczy zawlekła,
Bystrą czwórkę z kurzawą popędził woźnica,
Jam westchnął— krwawa duszę ścisnęła tęsknica—
I gorąca po licach łza żalu pociekła!

Wilno. 1845 r.

5.

DO MOJÉJ MATKI.

Improwizacja.

O matko moja, matko kochana,
Czém cię pozdrowię w téj dobie?
Pewno źrenica twoja spłakana,
Pewno twe serce w żałobie!

Minęło lato— posępna jesień
Mroczne swe kiry rozwiała,—
O matko moja, jak nagi wrzesień
Tak tyś samotną została!

A dzieci twoje?— ich los surowy
W świecie bezbrzeżnym pochłonął,
I zarzuciwszy uścisk lodowy—
Mrozem ich serca owionął!

O! lepiej matko od urodzenia
Nieznać twojego objęcia—
Lepiéj w kolebce jadem cierpienia
Hartować duszę dziecięcia!

Bo cóż mi z tego, żem był szczęśliwy
W naszém gniazdeczku rodzinném,
Cóż, że głos matki méj pieszczotliwy
Igrał z mém sercem niewinném:

Kiedy dziś zwiany w życia odmęty
Muszę sieroce łzy ronić,
I wiek zapału— ten skarb mój święty,
W marnych obłędach rostrwonić?!.

1845 r.

6.

PAMIĄTCE

ZGASŁÉJ

KAROLCI JUCEWICZ *).

O gwiazdeczko,
Kochaneczko,
Gdzieżeś znikła, gdzie?
Ach po całym wielkim niebie,
Tęskna matka szuka ciebie,
Ukaż, ukaż się!

F. Żygliński.

Ledwo wyszłaś s kolébki— ledwo pączek drobny,
Z łodyżki wątłéj rąbek rozwinął nadobny,
Ledwo pnąc się w objęcia ojca, matki drżące,
Poczęłaś im szczebiotać rozmowy kwilące:

*) Dziecie to, objawiwszy w sobie, obok zadziwiającéj dobroci i tkliwości serca, niezwyczajną bystrość rannego rozumu, w piątym roku żyć przestało— unosząc z sobą do grobu szczytne nadzieje rodziców i społeczności!. (*Autor*).

Już zawcześnie aniołku niezrzały, zawcześnie
Główkęś swoją skłoniła w podmogilne cieśnie!
Ach, jak sennego szczęścia widzenie przelotne,
Jak s pod żałobnéj chmury ogieńko migotne—
Tak tyś błysła i znikła— i w niebieskie stropy
Pośród płaczących ciebie wzbiłaś swoje stopy!
Pozdrowienie więc tobie, zgasła nam dzieweczko,
Inneś— bespieczne sobie obrała gniazdeczko,
Gdzieć na łonie wieczności, w cherubinów chorze,
Majestatu boskiego opromienią zorze,
I duszę twą anielską piórkami oskrzydlą,
Ponętą raju serce łakotne usidlą,
I szczęsno ci z tém będzie— zapomnisz o ziemi,
Będziesz czekać aż znowu złączysz się z swojemi.
A jeśli to czekanie zda się długiém tobie—
Przyleć czasem w noc cichą— tu, przy twoim grobie
Ujrzész płaczącą matkę, biedną matkę twoją,
Któréj rany bolesne nie prędko się zgoją!—
Spłyń swemi skrzydełkami— popieść się z tą samą,
Twoją dobrą, kochaną i cierpiącą mamą:
Ach! jak ją tém pocieszysz, bo po twym pogrzebie,
I dla niéj świat mogiłą, pustkowiem bez ciebie!
Ona ciebie przytuli, obejmie, popieści,
Przedstawi stan sieroctwa— matczynnéj boleści,
A ty dla niéj w osłodę słowy miluchnemi
Rospowiesz życie swoje z Bogiem i Świętemi!
Wówczas wziąwszy łzę jedną mamy na rozstanie,
Tam, kędy Pan przedwieczny ma swoje mieszkanie,
Znowu w górę się wzbijesz— jak wiatru powiewy
Kołyszące przy grobie jedlinowe krzewy—
Zaszeleszczą twe skrzydła promienne, złociste—
I znikniesz uniesiona w krainy przejrzyste!
A mama twoja?— ona do Boga-Rodzicy
Wzniosłszy hymny dziękczynne, z uczuć swych krynicy
Wyleje łzy radości— i wróci do siebie
Spokojniejsza— bo pewna, że ci dobrze w niebie!

Kroże. 1844 r.

7.

POŻEGNANIE K. P.

W Imionniku.

Niedawnośmy cię jeszcze w serdecznym uścisku,
Z pobratymczą miłością przybylcem witali—
A już dziś—jakby w tęczy chwilowym przebłysku,
Żegnasz nas— i w nieznanéj kryjesz się oddali!

Ale jest ziarno czucia, co gdy w serce padnie,
W te serce szczére— staréj Polski szczątek—
To choć w nie wicher losu i podwieje zdradnie..
Wznijdzie jednak, zieleniąc tę niwę pamiątek!.

Tak i tobie, Konstanty, choć rozgarniesz dłonie,
Co cię potulném kołem oplotły żałośnie—
Chociaż znikniesz przed nami, lecz w pamięci łonie,
Ziarnko te kwieciem bratniéj miłości porośnie!

A gdy już poświęcimy kapłaństwo nam dane,
Gdy przed ołtarzem wiary klękniem oczyszczeni—
Wówczas ludzkość, jak bractwo święte i wybrane,
Kwieciem tém niepowiędłém skroń swą ozieleni!

11 Kwietnia 1847.
Wilno.

WYBRYKI DOBREGO HUMORU *).

I.

DUMANIE POETY.

Fantazja.

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro;
Tak ponuro i smutno jak w duszy poety,
Co siedząc przy stoliku temperował pióro.

* *

On szukał nowych myśli w swéj duszy odmęcie,
Myśli by je uwiecznić nieśmiertelném pieniem,
Ale myśli przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnéj głowie poety osiadły kamieniem.

* *

On po sklepieniu nieba wieszcze oko toczył,
I pół wieszczego pióra w wieszcze usta włożył,
I w wieszczym kałamarzu, wieszczy nos umoczył,
I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

*) Chociaż te *Wybryki* były drukowane gdzieindziéj, mam nadzieję, że czytelnicy nie będą się gniewać za powtórzenie ich w *Roczniku*.
(*Wyd.*)

II.

Do***

Z pałaców sterczących dumnie,
Znijdź piękna do mojéj chatki,
Tylko zabierz swe manatki,
Bo hołotę znajdziesz u mnie.

*   *

Święte pustki wszędzie, wszędzie,
Ale nie marz nic o chlebie,
Bo kochanek wierny, ciebie
Czułościami karmić będzie.

*   *

Zrana ci wianek uplotę,
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczerzę śpiew słowika,
A na noc marzenia złote.

*   *

A gdy cię dumanie czyste
W niebieskie sfery uniesie,
Przez otwory w mojéj strzesie
Obaczysz niebo gwiazdziste!

III.

ODA
z Horacyusza.

Quem tu Melpomene semel
Nascentem placido lumine videris.

Komu raz Muzo usiędziesz na karku,
Tego już rozum nie złapie,

Ten już nie pójdzie hasać po jarmarku
Jak cygan na chudéj szkapie.

Już go głos trąby śmiertelnie zatrwoży,
Sława go z pieca nie zwabi,
Już on w teatrze nie zasiądzie w loży
Nakształt fircyka lub hrabi.

Zato ulubi gdzieś pod drzewem suchém,
Lub przy kałuży swéj wioski,
Ległszy do góry wychudzonym brzuchem,
Układać rymy i zgłoski...

Muzo! co umiesz i na dudce z łyka
Dziwną i słodką pieśń stwarzać,
Ty, która lubisz nawet i indyka,
Łabędzim głosem obdarzać—

Tobie winienem mój obiad piątkowy,
Mą sławę, moje uczucie,
Oklaski, pustki kieszeni i głowy,
I łaty w moim surducie...

Lwk. Kdrtcz.

MAZUR.

Zagrzmiał Mazur, w górę wąsy!
Podaj dłoń-no, daléj w pląsy,
Serce rzesko zaigrało,
Dawne czasy przypomniało.

Gdy w kontuszu z karabelą
W uroczystość lub niedzielę,
Nasz brat szlachcic dumnie, żwawo
Ciął w podkówki, w lewo, w prawo!

Iskry migną jak z krzemienia,
Twarz mu zapał zarumienia,
Czarnobrewę wiedzie w tany
Przez komnatę, rozhulany.

A te piękne gładkolice,
Jak gołąbki te dziewice,
Uśmiechami twarz swą miłą,
Serca wszystkich k' sobie chylą.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

W tém ma luba w tan podskoczy
W sukieneczce jak w przezroczy,
Ledwie nóżką ziemi tyka,
Dalej hożo, w tan pomyka.

Jasnozłote włoski w pędzie
Gonią szyjkę jéj łabędzią,
I błękitne oko płonie,
A różyczka zdobi skronie.

Błyśnij chwilo zapomnienia,
Twarz niech radość opromienia,
Z podskokami, z hołubcami
Okręcajmy się parami.

Władysław Jankowski.

1845. 6 Stycz.

DWIE RODZINY:

PAN BURAK I PANI MARCHEW.

«Nędznym tu kmieciom.»
Uwagi o śmierci niechybnéj X. Baki.

Żyły w jednym domu z sobą, te dwie szlachetne rodziny Pana Buraka i Pani Marchwi. Pan Burak był wdowiec i cała jego rodzina była płci męzkiéj, co do jednego; Pani Marchew była wdową i kobiétą, wszystkie zaś jéj dzieci żeńskiego rodzaju. Pan Burak miał cerę z całém swém plemieniem, różową, mocno-gorącą,— krzepki był i popędliwy; Pani Marchew zaś i Marchewki— cieliste, łagodne,— spływne i nieznaczne ich barwy, jak i obyczaje.

Bywało, zaledwie Pan Burak stąpi przybyły z drogi, już Pani Marchew, wysławszy wprzód sługę dowiedzieć się— «idź obacz, kto tam przyjechał?" sama dąży natychmiast, spotyka i wita w ten sposób: «Czy to grzecznie Panie Burak, będąc w tak bliskiém sąsiedztwie, nigdy mnie nie odwiedzić?"— Ależ Pani, ja tylko co z wozu wysiadłem... rzecze na pół przepraszając szanowny pół-domnik.

Małe Marchewki i Buraczki też bawiły się z sobą, ale nigdy nie weszły w bliską, nierozdwojoną przyjaźń, jak to bywa na świecie— między dziećmi. Pan Burak był żywy i mówny; na targu w Butrymańcach ciągnięto go wszechstronnie na wódkę, dla jego rozgłośnéj towarzyskości, a Panią Marchwię zapraszano na słodką herbatę. W tém miastku były pierniki dziane jakąś sma-

żeniną, siekanką ciemną wiśniową z miodem, na które patrzali oboje ze wstrętem, jak na uwarzone ciało własne.

Burakowie jeździli w kutéj kałamaszce, w butach, odziani w płócienny worek zamiast wilczury, baranów, lub letniego płaszczyka; a Marchwie w prostéj, nieszczelnéj drabince,— i nie jedno mniejsze, wypadło czasem na gościniec, cicho, bez płaczu!

Historja ich ogrodowa. Burak nosem grubym, strasznie czerwonym, mocno wetknięty siedział w ziemi, i rzadziéj go los dotykał, wyrywał; a żółty, cienki nosik marchewki, dawał się łatwo wydobyć przez lada malutką chciwość człowieczków.

O upodobaniu do źwierząt,— tylko z jednéj strony to wiem, że marchew lubiła młode cielęta i koźlątka: te lizały jéj ręce, jakby sól, i ogryzały w poufałości zielone strzępki jéj pomarańczowych sukień i chustek. Burak tylko zgodzić się mógł z jednym wołem.

Życie towarzyskie i stołowe Buraków w ogóle, było *kwaśne*,— Marchwiów zaś *przaśne*. Pierwszy większy miał pociąg do mięs, octu i chleba, druga do bułek i masła. Pani Marchew częstowała swego gościa kwasem, i on w nim się topił prawie, jak w swoim żywiole; sama zaś przeciwnie poiła się mlekiem,— w niém z całą rodziną pływała ochotnie, jak w łaźni rozkładały się jéj miękkie cząstki: oho! ucztują z kwasem Buraczki!— mówiły przechodząc Marchewki; oho! Marchewki hulają sobie szczęśliwie z mleczkiem!— oddawały nazad Buraczki.

Burak mając krew popędliwą i żartką, dla ochłody brał kąpiele w kaduszce napełnionéj płynem; tamte zaś w suchym piasku, jak jarząbki. Przeżywając lato swobodnie na dworze, zimą idą pokutować do sklepów warzywnych; gdzie też jak się święci, często zazielenią się.

Pan Burak był dość kłótliwy, i wszedłszy do kogo burczał i rozdymał się pychą; Pani Marchew zawsze miękka, rozklejała się niemal w swéj dobroci i uślizgała od wszelkich zaczepek. Kiedy Burak w gniewie,— mówią sąsiedzi: «*otpiecze się jak rak!*— a o Marchwi: patrz, cała *gotuje się* ze złości!

Albowiem Burak był, powiadają, budowy roślinnéj, bez serca,— na jego miejscu tylko jakieś fladry w piersi: u Marchwi zaś serce było czwartą częścią jéj całego ciasta! to też była

słodką w obcowaniu i czułą! Z daleka lękała się chrzanu, z którym tamten miał pewne przyjazne stosunki, zapewna będąc twardszego nosa.

Pan Burak przyjął prawie marszałkowstwo we wszystkich litewskich domach i zawładnął nad innémi służkami, przeznaczonémi do karmienia naszych rodzin.

Pani Marchew lubiła czasem i podleczyć chorych swémi lekami: była za *osłabieniem* i *małością krwi*, to też od beczki jéj lekarskich soków, przybywała w rok jedna téj kropelka. Pan Burak zaś miał tylko chętnie do czynienia ze zdrowymi chłopaki, i utrzymywał zawsze, że kwas krzepi zucha (kiśl mołojca dierżyt)! Sławny też był naokoło *burakowy rosół!* codzień się nim niektórzy wzmacniali: ulecza nawet chorego konia, zmięszany z solą.

Na *przemiany* Buraka, napisał wiersz naśladowca Baki:

Był Burak,
Jak Turek,
A Ćwikła
Wynikła!—

To miało już im służyć za nagrobek; gdy w tém przyleciał Cietrzew,— zapiekł się z radości jak w rumianém maśle przed ogniem, i —

Ćwikła
Znikła!—

Buraki zaś plenią się i żyją, karmią ludzi i poją; Marchew wiecznie podnosi im grzanki i kotlety. Każde z nich umié żyć z sąsiadami.

Ów pisarz dodaje jeszcze:

Trzeba żyć
Póki zgnić!
Koléj taka,
Ladajaka,
I u zwierza i u ptaka,—
Toż Buraka:
Być, być, być,
Potém gnić!—

Kto nie wierzy w magnetyczną, spółczuciową, odgadującą skrytoście duszy siłę, niech powie: zkąd mi przyszło, wziąwszy do rąk pióro, napisać: «*Burak* i *Marchew*,"— zaledwie noc przenocowawszy w majątku, w którego wsi są rzeczywiście dwie Rodziny tego nazwania,— nic o tém jeszcze nie wiedząc??— Nie jest-że to jakieś przeczucie, miejscowy wpływ, tajemne duchów poduszczenie?...

Na uniewinnienie się z obranego przedmiotu, powiém, że dawniéj podług historyjki polskiéj dla dzieci, u nas mięszano i na jednéj misce dawano— *groch z kapustą.* Czémże gorszą jest moja piśmienna potrawka?

Ludwik Podbereski.

1843. r.



AEROLIT *).

Z POEZIJ

LUDWIKA PODBERESKIEGO.

Pannie J.... ....skiej, poświęca Autor.

I.

ZGASŁE MIŁOŚCI SŁOŃCE.

—Słońce już weszło— wstań pracowniku
Kto masz dla ludzkości zasłużyć się błogo!
Może swą ranną chwałą zyskasz i dla siebie
Jakieś tu szczęście, k' czemu'ć bije serce.

*) *Aerolit*, czyli kamień meteorologiczny, który siłą atrakcji do dwóch centrów pociągany, krąży pomiędzy niebem a ziemią,— to zbliża się do słońca, to ku ziemi pomyka,— nareście na ten lichy padół upada. Rozkład chemiczny pokazał że aerolit jest natury żelaznéj. Pochodzenia aerolitów jako i *gwiazd spadających* astronomowie z pewnością nie wiedzą: mogą bydź ułamkami planet przez komety roz-

Pracuj, cierp, męcz się— pono za twe trudy
Bóg świat ten natchnie, aby cię nagrodził,
Na plon ich, miłość ześle ci w tém życiu,
Godząc cię z losem, któryś dawno przeklął!...

—Słońce koło południa— patrz, ziemi nędzniku!
Długoś ty zaspał,— wszyscy szli swą drogą
Co cel mieli na ziemi, lub złożyli w niebie;
Tylko twa jedna dusza, śród żywych, nie żyje.

—Już spada do zachodu!— jakież twoje lica,
Ty uczuć, bolów, zgryzot męczenniku!
Kędyż prac twych owoce i twojéj poprawy?
Wszystko w sercu twém starto na popiół umarły.

Przed tobą leży tylko trud twój— i świat smutku,
A w duszy sroga nicość zwiedzionych nadziei!
Próżno się siliłeś nowemi porywy
Przyśpieszyć bieg twój, trwożąc zajście światła.

Cień, co padł na twe życie, niczem nie zsunięty;
Snop twoich mozół, jest ofiarnym stosem,
Na którym spłoniesz także zapomniany,
Jak radbyś sam zapomnieć o swojém dziś życiu.

—Słońce upadło gdzieś za krawędź świata,
Lud pochyla się do snu, aby wstał na nowo;
Twój żywot już raz minął w znoju, bez miłości,—
Zostaw tu ciało— dla duszy tam szukaj lekarstwa.

Może spotkasz znów słońce, które cię ożywi,
I gdy twe prawdy wzrosną po téj stronie ziemi,
Dobroczynne dla ludzi wskrześnie twoje imie,—
To świat drugi ci wtedy odda karm' roskoszy,

---

dzielonych; mogły też powstać ze starcia się gwiazd pomiędzy sobą. Bryły oderwane od sfer swoich, dłużéj lub krócéj krążą około ziemi, wreście rozognione przez tarcie i tracąc swą szybkość, wpadają w naszą atmosferę, a skutkiem ciążenia spadają na ziemię. Oto— co dało autorowi powód do upatrzenia podobieństwa między swemi poezjami, a tym poetycznym fenomenem.

(*Red.*)

Nasyci cię kochaniem, któregoś był głodny,
W pośrodku czarów niebiańskiéj piękności,
Która cię w piérwszém czarowała życiu,
Gdzie zło ziemskie ją mroczy, wzbrania los pokutny...

2.

DO RYCERKI.

Gdzieżeś ty siło natchnienia poety!
Że kiedy piszę o rycerce młodéj,
Mojemu pióru tak braknie podniety,
Jak kulawemu urody?—

Oto,— żem nie wart ogłosić jéj imie
Bo ona wyższa nad moje zapały;
Usycha myśl ma w tym nieżywym rymie,—
I czyjeż słowa jéj duszy zrównały?

Na koniu strojna, myśliwa Djana,
Latałaś po błoniu krainy zielonéj;
Tunika czarna kryła twe kolana,
A biały pas twój rozwiewał na strony.

Wystrzał doganiał w lot chyżego zwierza,
Trąbka budziła okoliczne knieje;
A żaden z łowców w jéj serce nie zmierza,
W nikim się płonne nie snują nadzieje.

Ona wysoka, jak topól nad krzewy
Tak buja duchem nad innemi duchy;
Jako przed słońcem nikną złe wyziewy,
Tak swe zabiegi tracą gminne zuchy.

Miłości wierna, bez przedmiotu, celu,
Szuka zachwytu w czarodziejstwie pieśni;

Lecz wolny smyczek nie wtórzy weselu,
Dźwięki żałości rwą się z duszy cieśni.

. . . .

Lecz z dzionkiem bożym żegnasz się na długo,
Ni promyk, ni muszka do ciebie nie wzleci;
. . . .
. . . .

Straszliwa dolo, bezdenna boleści!
Jakaż cię dusza przetrwać zdoła stale?
W czyim się łonie twoje piekło zmieści,
Któż nie utonie w gorzkim przekleństw szale?

Lecz mężna dobroć k' Bogu się ucieka,
I chociaż dusza rozdarta na ćwierci,
Módł goi rany od złego człowieka,
Za drugich płacze— nie z obawy śmierci!...

O czyliż słońce dla niéj zajaśnieje?
Czyż kiedy wyjrzy na ten świat uroczy
I dzielny żywot znowu odmłodnieje,
Z łzawéj boleści oschnąż śliczne oczy?....

3.

ROZUMNA PANNA.

Do... na odjeździe.

Na spodzie pod twéj patronki obrazkiem
Jest drugi wzorek: panny mądre, głupie;
Owe Zbawcę witają z nocnych świateł blaskiem,
Te jak owce posnęły w bezrozumnéj kupie.

Tyś była pośrodku pobożnic klasztoru,
Niedolą wniesiona do tej tęsknej klatki;
Twe światło gorzało zrana do wieczoru,
Bez dzwonka pobudzań, bez rozkazów matki.

Z łez ono kwitło, śród duszy boleści,
Gorące modły szły do łona bóstwa;
Duch się potężny swem światłem obwieści
W ciemności pieczar, pośród sideł mnóstwa.

. . . .
. . . .

A kiedy dzisiaj, goszcząc już na świecie,
Może się znajdziesz pośród panien głupich;
Rozumna, stracisz twego serca kwiecie
Chcąc światło rozpalić na ich łonach trupich.

Wszędy gaśnie oliwa— i proba daremna!
Tyś błoga panno jak córa mądrości;
Lecz wkoło się tłumi ciżba duszek ciemnych,
Co w sobie nie chowa, ni daje światłości.

Jak słońce śród tych lampek i pogasłych świeczek,
Tak tyś pomiędzy pannami świeckiemi....
Naksztalt pasterza od trwożnych owieczek,
Co nań ciskają oczkami błędnemi;

Nie wiedząc gdzie biedz, ani w którą stronę,
Choć głos naczelny zwołuje do szyku,
Próżno daje im stróża, od wilków obronę,
Rozbiegą się becząc, nieposłuszne w szyku.

Gdy miłość przyjdzie niosąc im zbawienie
One wyjdą bez ognia, lub nie przyjmą gościa,
Brnąc w sen leniwy i ponure cienie;
Lecz ty, mistrzyni! ujmiesz ją z żywością!...

4.

Do***

Ledwiem raz cię zobaczył— już w sercu zostałaś!
Odtąd nie patrzę na nic, nic więcéj nie czuję,
Tylko dla ciebie żyję, bo mi myśl wyrwałaś,...
Chodzę by spocząć, ale niepokój znajduję.

Obyś chciała wzajemną oddać mi miłością!
Twój obraz byłby dla mnie zadatkiem zbawienia;
Serceby się okryło nadziéj zielonością,
Pod którą wieczny ogień czucie rozpłomienia.

5.

W NOC CHOLERY.

Nocy bezsenna mów!
Ja nie mam myślić co!
Uczucie zmarło me,
Nie stało mowy już!

(*po pauzie*).

Nocy bezmówna milcz,
Gdy głosić niechcesz nic!
Ja dumy przeszłych lat
Rozsnuję w nowy dym!

O nocy ciemna, głucha!
Dymna, zasmucona!
Oboje niemi, zimni.....
Zacichła nasza moc!...

Zczerniałe widma ducha...
To nie taneczny ruch;
Nie świetli się dziś noc,
Weselem nie poi duch!

Ni dźwięków, ni gwaru!...
Pomroka leży w krąg—
Jaki w tobie duch, nocy!
I w duszy takaż noc.

Cisz grobu na mieście,
Śpi serca czujny wąż,
Ni go miłostka zapieści,
Ni zbrojny przyśni się mąż.

Zbudzi się słońce znów,
Lecz mię nie powita
Żaden przyrody wdzięk,
Miły, rzeźwiący śpiew!

W dniu tylko bielsza śmierć,
I równie posępny wiew;
Lecz nie ożyje myśl
Gdy w duszy tęskna czczość!

Wnet znowu nadchodzi noc
A z nią złych duchów moc;
Choroby, moru jęk,
Głuszony wyciem psów.

Samże zostałem ja,
I ze mną tylkoż noc?
Nic-że nie wskrzesi cię,
Świecie żywota już?

Nadziéj, kochania
Nie wróciż już zdrój?
Na wyrok skonania
Pójdzież, o Panie!
Lud Twój?

Rychlej się kończ, nocy!—
Przetrwać-że ją muszę!...
Straszny jej niemy głos!..—
Zgiń ciemności mocy!
Ty Ojcze! zbaw duszę!

Wilno. 1848.

IMPROWIZACJA.

Wyżej, wyżej duchu wzleć,
Stamtąd myśli na dół mieć,
Orlim wzrokiem spójrzyj— zbadaj
Wsze tajniki i mi gadaj
Wielkie bytu tajemnice.
I mi odsłoń prawdy lice—
Niech nad błędów— fałszu marą
Wzlecę wyżej z Świętą Wiarą,
Obym przejrzał — i obszary
Zmierzył okiem prawdy— wiary,
I okrzyknął na wsze ludy,
Że co ziemskie to ułudy,
Jedno boskie trudu warte,
Co swe ślady niezatarte
W pięknościach przyrody ściele,
Jak w wielkim bożym Kościele.—
Bo jak piękną ta przyroda,
Lasy czarne— jezior woda,
I szumiące te potoki,
I ciekące te obłoki—
I zarysy gór w przestrzeni,
I te łąki— co zieleni
I ubarwia kwiatem wiosna,
I ta ptasząt pieśń radośna.—
Wszystko piękne w świecie Boga,
Bo choć cierniem słana droga

Ku zbawieniu, szczęścia zdroju,
Ta wspaniałość krzepi w znoju.
Myśl swą wznieśmy pod niebiosa,
A wnet spadnie boska rosa
Co przemyje nam powieki
I my przejrzym na wsze wieki,
I uwierzym w krzyż na niebie;—
Ufność w rozum, ufność w siebie
Spadnie, jako spróchła szata,
A zostanie duch co wzlata
Na promieniu prawdy świętej—
Wielkiej— boskiej— w niebowziętej.
A więc wznieśmy myśl swą tam
Skąd wypływa prawdy zdrój,
I uwierzmy, że tu nam
Staczać trzeba wieczny bój,
Bój— to z ciałem— to ze światem
Napuszonym mędrkowaniem,
I dla bliźnich swych być bratem,
Chrystusowym obcowaniem—
By wnet prysła moc ta ziemna
Ducha śmierci— moc ujemna.
Bo uwierzcie i poznajcie,
Głosu Boga usłuchajcie,
Bądźcie w duchu odrodzeni,
Wasze życie niech się zmieni—
Myśli— sądy i mniemania
Z samego siebie kochania,
Z ciał martwości wylęgnione,
Niech będą w grobie złożone;
A gdy chwilkę ulecicie
W łasce Boga i zachwycie
W wyższą sferę ducha kraj,
I poznacie co to za raj—
Kto się z Bogiem duchem zleje,
Wówczas serce rozboleje,
Wstąpi święta w was otucha,
Grzechy wasze stopi skrucha,
Życie całe przemienicie,
I do bliźnich tak rzekniecie :

„Wiara tylko— Wiara zbawi,
Wszystko próżność co tu bawi,
Ziemskie cacka— świecidełka
Są dla głupich mamidełka;
Szczęście i spokój człowieka,
Na drodze Krzyża go czeka.”

Wł. Jankowski.

1846 r. 18 Maja
Wilno.

POMYŁKA NA ZOSI.

PIOSENKA

Na nótę: *Stach i Basia.*

Mnie się zdało, że to Zosia,
Lecz nie Zosia to, na Boga!
Ani Zosia, ni Antosia,—
A któż jesteś moja droga?

—Dość ci tego żem nie Zosia!
Przypatrz się mnie dobrze proszę:
Takąż twarz ma twoja Zosia,
Czy też takie suknie noszę?

Chyba nie znasz swojéj Zosi!
U Zosi nie takie oczy,
Uśmiech z ust się nie wyprosi,
Nie taki splot jéj warkoczy.

Czy takie serce u Zosi?—
—O co to, to nikt nie zgadnie!
—A któż Pana o to prosi,
Sam wklepałeś się szkaradnie!

—Ja nie mogę dość wyrazić,
Jak mi przykro to złudzenie;
Daruj Pani, ją obrazić
Bolałoby mię sumienie.

Ja myśliłem, żeś jest Zosia —
Takeś Pani z nią podobna,
Zbyt mała różnica w głosie,
A licem równieś nadobna.

—Dość, nie mówmy więcej z sobą,
Bo to w świecie się rozgłosi,
Na mnie bieda, a Bóg z tobą!
Dalej kochasz się w twéj Zosi.

—Jaka szkoda żeś nie Zosia!
Na cóż usta mię zdradziły?
Bo uciekła gdzieś ma Zosia,
A ja tobie byłbym miły.

Ciągle sercu się wydaje,
Żeś ty Zosia, Zosia, Zosia,
Masz też same obyczaje,
O! bądź dla mnie drugą Zosią!

—Żem ja Zosia, to najpewniéj,
Lecz nie twoja jestem Zosia!—
Drugą Zosię kochasz rzewniéj,
Ja choć Zosia, inna Zosia!

—Tyś jest Zosia?— o, to pewno!
Niemasz w świecie drugiéj Zosi,
Ma kochanka jak królewna,
Z tysiąca to imię nosi.

O ma Zosiu, złota Zosiu!
Jedna dla mnie, droga,... miła!
Więc nie mylę się żeś Zosia,
Coś mi lubą zawsze była!

Teraz, teraz to u Zosi
Niech się wzrok błękitny śmieje,
Radość się na lice wprosi,
Włos po szyjce się rozwieje.

Bądź wesoła ma kochana!
Ja szczęśliwy znalezioną;
Dusza po Zosi stroskana,
Wieńczy się jasną koroną.

A więc dajmy sobie ręce,
I ślubne zmieńmy pierścionki;
Co spoiło samo serce
Nie lęka się już rozłąki.

—Lecz mój mężu daj mi słowo,
Że ostatnia to pomylka;
Zapłaciłabym mą głową,
Jeśliby ich było kilka!

Ludwik Podbereski.

1843 r. 10 Paźdz.
Wilno.

CHWAŁA KOBIET.

w Albomie P. Stan. S.........iéj *)

Chlubnie przed światem za chwałą gonić
Kobiety! kiedy smie która;
I pełną blasku przyszłość odsłonić
Mocą oręża lub pióra.

Jednak cóż lepiéj serc czułych zdaniem,
Być sławną czyli kochaną?
Nazwano wyższość świetnèm wygnaniem,
Ktoraż chce zostać wygnaną?

Jeśli jest chwała dla nas u świata
Co słusznie pychę podnieca,
To genjusz ojca, matki lub brata,
Jak promień niech nam przyświeca.

Jeżeli kiedy wieniec podwaja
Powaby młodéj kobiéty,
Niechaj on pierwéj czoło umaja
Rycerza albo Poety!...

Gabryella Günther.

w Dobrowlanach
1842.

*) Wierszyk ten zawiera myśl tak piękną, tak zręcznie wydaną, iż znalazłszy go w *albomie*, nie mogliśmy się wstrzymać od zamieszczenia w naszéj książce, nawet bez pozwolenia szanownéj autorki, za co ją jak najgrzeczniéj przepraszamy. (*Wyd.*).

DZWONEK.

Dumka.

Wśród milczenia, wśród wieczora,
Echo z dali niesie dzwięk, —
Ach! to dzwonka z wież klasztora
Konający słychać jęk.

* * *

I uronił łzę młodzieniec,
Wspomniał szczęście znikłych lat, —
I miłości cudny wieniec
I swych złotych marzeń świat!

* * *

Miłość, roskosz, uniesienie
Wszystko srogi stargał los, —
Zostało po nich wspomnienie
Jak daleki dzwonka głos . . .

Wilno.

Weronika Podbereska.

W ALBOMIE

P. Stanisławy z Chodźków Świąteckiéj,

W dzień Zwiastowania Najświętszéj Panny.

Gdy okiem ze szczytu góry
Rzucim na lice natury,
Na łąki, błonie i gaje
I gór źwierciadła i zamków szczyty
I na niebieskie czyste błękity,
Na te nadpowietrzne kraje,
Jutrzenki wschodem różowe,

Promieniem słońca błyszczące,
Blaskiem księżyca się lśniące,
Strojne w gwiazdy brylantowe,
W każdym promieniu, w każdym atomie,
Jawi się nam Bóg widomie,
W każdej roślinie, w każdej gwiazd iskierce
Mówi Jego boskie serce.
A znów gdy okiem rzucim w głąb' ducha
Tam inne cuda, tam inne blaski,
Inne dowody wszechmocnej łaski,
Inne tam głosy dolecą ucha.
Tam jakby promyk księżyca
Blady nam smutek przyświeca,
I myśli, gwiazdy złociste
I serca błyski ogniste;
Nadziei zorza jaśnieje
Miłości słońce goreje,
Pamięci błyszczą źwierciadła,
Mglą się tam marzeń widziadła,
Złamane szczyty zamiarów,
Pogorzeliska z pożarów
I krzyż na niebie!

Och! zniknie ziemia, znikną i te nieba,
A Bóg zostanie, krzyż Jego zostanie;
Daj nam sił dosyć—dźwigać go o Panie!
Daj nam miłości powszedniego chleba.

Michał Bogusz Szyszko.

1844.

WIERSZYKI
Panny Kamilli Narbutt.

I.

Śmierć.

Umierał magnat—w złoconéj komnacie,
Umierał kmiotek—w swéj ubogiéj chacie;
Przy pierwszym siedział Doktor z lekarstwami,
Przy drugim Kapłan z Chrystusa słowami.
Bogacz—złorzecząc—z śmiercią się pasował,
Kmiotek—z pokorą Krzyż Zbawcy całował:
On przeszedł pracy i nędzy koleje;
On w Niebie—swoje pokładał nadzieje,
Nad nim widziano światłości promienie:
Nad dumnym Panem—czarnéj nocy cienie.

II.

ADAM.

«Jeden z mych przodków—był wielkim Hetmanem,
«Drugi podpisał traktat z Sultanem;
«Trzech Wojewodów, czterech Kasztelanów:
«Mogę się szczycić—że pochodzę z Panów."—

Tak mówił Adam dumny z urodzenia,
Ciemny potomek świetnego plemienia.

Nikt nie oddycha cudzemi płucami,
Nikt się nie śmieje cudzemi ustami,

Nikt nie zostanie sławnym z cudzej sławy,
Na nic więc przodków ordery, buławy,
Ci zacni ludzie już oddawna w niebie,
Powiedz Adamie, czem jesteś sam z siebie?

XIII.

CMETARZ KSIĘŻY MISSIONARZY
w Wilnie.

Ilu dumnych w pył obróconych...
Bożków z gliny, glinie zwróconych!
Co tytułów! w marmurach rytych
Obok mogił, piaskiem okrytych...
Czy i tu jest różnica stanow?
Klassa niższa, klassa Panow,
Gdy ich koście równie spróchniały,
I wiatry proch z prochem zmięszały?

XIV.

DUMANIE.

Cóż jest Swiat?—Ziemi bryła,
Z niej życie... z niej mogiła;
Cóż życie?—słabe tchnienie
Czczych rzeczy, czcze marzenie...
Cóż jest grób?—Cichy kątek
Bez zgryzot—bez pamiątek....
Co wieczność?—życie inne
Niezmienne i niewinne.

DO JADWIGI L.....

Października 1839 r.

Kiedy nadejdzie chwila pożegnania
I zniknie szczęście co dziś z nami gości,
Dwie łzy wylejesz z żalu i kochania,
J—.. . może trzecią—z litości.
I łzy nie będą wylane napróżno,
Józio i Zosia czują twoję stratę;
Trzecia łza twoja niech będzie jałmużną
Za którą Bóg da zapłatę.

*

Pomnisz za miastem ów gaik zielony
Samotne krzyże i mogiły biedne?
Po długim czasie, wracając w te strony
Spójrzyj na gaik i uroń łzę jednę.
Bo gdy powitasz progi tego domu,
I łzami szczęścia twe oko się zrosi,
Dwie z nich poświęcisz Józiowi i Zosi,
A trzeciej—nie będzie komu....

Dobosna. *Leon Janiszewski.*

Modlitwa Obywatela.

W Tobie jedynym o wszechmocny Boże!
Ufność pokładam z najgłębszą pokorą,
Wszak nikt z śmiertelnych ostać się niemoże,
Jeśli Ty świętą niewesprzesz podporą.
Ty mię podźwigniesz z méj nieszczęsnéj doli,
Ty mię zachowasz na łonie rodziny,
Włos mi niespadnie bez Twéj Swiętéj woli,
I skrócić raczysz nieszczęść mych godziny.

Al. P.

JADWIDZE I EMILII K*

W wieczornej porze
Burza na dworze
Deszcz gęsty po szybach dzwoni,—
Z zamku Dobosny
Słychać szum głośny
I turkot, i tętent koni.
I kocz na przedzie
Znajomy jedzie,
I dzieci uradowane:
„Jedzie babunia!
„Dziadunio jedzie,
I jadą ciocie kochane!" —
Nie tak kochanka
Wita u ganka
Młodzieńca—cel swej miłości;
Jak czułość matki
Jak dobre dziatki
Najdroższych witają gości.
Lecz pocóż jeszcze
Przeczucie wieszcze
Na progu dziecinę trzyma?
Czegoż w dal ciemną
Z trwogą tajemną
Łzawemi patrzą oczyma?
Próżno czekają
I wyglądają
Z wyrazem trwogi dziecięcéj;
Nie słychać szumu,
Nie widać tłumu,
Już nie przyjedzie nikt więcéj!—
U biednych dzieci
Łzą oczko świeci
Nie cieszą cacka, łakocie;
Smutku nie tają,
Wszystkich pytają
„Czy prędko przyjadą ciocie?"

„Czemu nie jadą,
„Co im zawadą?"
I marzą w główce dziecięcej;
I myślą sobie:
Czy chore obie?
Czy nie kochają nas więcej?—
O miłe dziatki!
Wam uśmiech matki
Dobréj Babuni pieszczoty,
Łaski Dziadunia,
Żywa Belunia,
Rozpędzą chmurkę tęsknoty.
Lecz biada temu
Sercu czyjemu
Ludzie doradzić nie mogą.
Czyje pytanie
W sercu zostanie
Bo nie ma pytać u kogo.
Kogo przeczucie
W tęsknéj minucie
Tą czarną myślą zasmuci,—
Że z chwil przeszłości
Z dawnych radości
Żadna już nigdy nie wróci!—
Żeglarz pędzony
W nieznane strony
Widzi dwie gwiazdki wysoko
Za temi gwiazdy
Stér błędnéj jazdy
I łzawe prowadzi oko.
Lecz w nagłéj burzy
Niebo się chmurzy
Gwiazd przewodniczych blask znika;
Na wzdętéj fali
Widać łódź w dali
Lecz już w niéj nie ma sternika!—

Bobrujsk
1840.

Leon Janiszewski.

LOT ORŁA.

Patrz! jak orzeł bystremi szybujący pióry,
Unosi się w powietrzu coraz wyżej, wyżej,
Pod nim ziemia niknąca, przed nim burze, chmury,
A im dalej od ziemi, tem słońca jest bliżej.

I leci, jeszcze leci, z dumą i roskoszą:
Potomek gór, z pogardą w bystrym locie mija
Te owadki co przy nim rojami się wznoszą,
I ten pył, co się z ziemi pod obłoki wzbija.

Tak dusza, na rozmyślań i modlitwy łonie
Dąży, gdzie Święci Twórcę, w wdzięcznej chwałą nócie:
Im bardziej wzrok zapuszcza ku Syonu stronie,
Tem polot jej silniejszy, tem wznioślejsze czucie.

Wiary i cnoty święte unoszą ją skrzydła,
Leci, żadna jéj lotu trudność nie zachwieje;
Widzi, lecz z wzgardą mija cześć świata mamidła,
Bo ją wyższe zajmują i krzepią nadzieje.

X. A. Moszyński.

PAMIĘĆ,

SONET IMPROWIZOWANY

w Sztambuchu Pauliny Ł*

Pamięć, gdy słodkich wspomnień ubarwiona kwiatem
Cierpkich życia kolei jakąż jest osłodą!
Z nią choć troski dręczące ucisną pierś młodą,
Serce zostanie jeszcze dość w ulgę bogatem.

Próżno tego los straszy z miłemi rozbratem
Komu myśli z stron drogich serca nie odwiodą,
Bo chociaż z ukochaną rozstal się zagrodą,
Sercem jéj niepożegna aż chyba wraz z światem.

Tak wędrowiec z ojczystych w obce chwycon progi,
Chociaż ztamtąd spełnienia swych nadziei czeka,
Zawsze do lubych krain pamięcią ucieka.

Ach i ten co w tym domu przepędził czas błogi,
Dopóki promyk życia w swém łonie przechowa
Że o was niezapomni—niech świadczą te słowa!

Horyńgród
183 * r.

Mirosław Molczanowski.

DO
STASIA K.....WIGKIEGO.

Z pociechą Stasiu na cię patrzymy
I w twego życia koleje,
W to czém ty będziesz, czém cię mieć chcemy
Miłe wplatamy nadzieje.

Rośniesz poczciwie, rośniesz ochoczo,
W świat ci otwiera się droga,
Wszystko rokuje przyszłość uroczą,
Lecz przyszłość—w ręku jest Boga!...

Kto z Opatrzności dostał w udziale
Więcéj niż rolę i radło,—
Więcéj niż drudzy,—temu przypadło
Światu odpłacić się wiele.

Bo szczęście nasze jest jak plon roli,
Gdzie nic nie będzie źrałego,
Bez naszéj pracy, bez Bożéj woli,
I dobrych życzeń bliźniego.

Ptakiem przez młodość człowiek przeleci,
Przez życie idzie oraczem ;
Często za grobem dopiero świeci,
Nadzieja w życiu tułaczem! . . .

Życie mozolą—bez łaski Boga
Trudno i wybrnąć samemu,
Trudno i toru wskazać bliźniemu,
Bo długa, ciężka to droga!

O pomnij Stasiu! gdy sam dziedzicem
Będziesz za czasem,u siebie,
Że lud sierotą, co'ć ziemskim rodzicem,
Byś mu był ojcem w potrzebie . . . .

Śród niego'ś urosł, śród niego'ś chrzczony
Śród niego masz myślą ożyć,
I w grobie ojców głowę twą złożyć,
Tu masz pamięcią być czczony.

Idź prosto życiem jak lud zagonem,
Mierz sprawy treścią i plonem,
. . . .
. . . .

A gdy urośniesz bierz skarb dziedziców
To, co najdroższe po Bogu:
Błogosławieństwo w domowym progu,
Błogosławieństwo Rodziców,

I szczere modły drużyny małéj, —
A gdy w dalekie udasz się kraje,
Miłością, wiarą przejdziesz świat cały,—
I to w *błogosławieństwie* ci daje

* * *

WSPOMNIENIE.

ROK 1845.

To co miłe, i co nam niemiłe, wszystko na tej ziemi przemija z *Czasem!* Rok ten brzemienny tylą klęskami, okryty naszemi złorzeczeniami,—czémże jest jeżeli nie epoką *czasu*, zamkniętą przez nas w pewne okresy, któreśmy rokiem nazwali?—Tenże sam rok znowu, czémże jest, na tym wielkim zegarze wszechmocną Prawicą w nieprzerwany ruch wtrąconym,—co na nim jedna wskazówka lata, druga wieki, znaczy!—jedna—godziny naszych roskoszy i boleści, druga—pokolenia zmiata? Także *Czasem*.... mkną więc skazówki niedościgłe, téj wielkiéj machiny, a ich licem podróżném, jest powierzchnia światów, na któréj zaledwo jak przez mikroskop zmniejszone, mglą się w przestrzeni wieków, uspione w hieroglifach, lub w zbutwiałych podaniach, ślady już to istnienia narodów, już wycierpiane klęski ludów!! Czémże więc są w tém olbrzymiem porównaniu, nasze cierpienia? Czém ten Rok nasz który za chwilę jak kropla—wpadnie w otchłań wieczności?...

Przy całéj wzniosłości takowych rozmyślań, dusza wszakże, w obecnéj niedoli, niezaspakaja się niemi, i radaby dla ulgi, wynurzyć swe żale; uniesiona jakiemś rzewném uczuciem, życzyłaby się przelać w łzy lub poezją... w takiéj to chwili natchnie-

nia, gdy biorę pióro i podług zwykłej formy kładę dzień na początku, widzę iż to jest 31 Maja. Ostatni dzień najpiękniejszego miesiąca, bieżącego roku.

Bądź więc zdrów maju zielony,
najpiękniejszy z roku pór,
twych przyjaciół milijony
nócą pożegnalny Chór.
Słowik resztę pieśni dzwoni,
resztą wdzięków kwitną bzy;
jabłoń blady listek roni,
na przelaszczce błyszczą łzy.
Bekas, herold twej młodości
gdzieś na błocie zatknął nos,
cicho zasiadł przy jejmości,
poważniejszy marząc los.
Kukułeczka, twa arfiarka,
z gajów zbliża się do chat,
niewiem, za co jak zbrodniarka
nieśmie się wychylić w świat,
Bo gdzie tylko się pokaże
czy nad wieczór, czy to w brzask,
drobnych ptasząt liczne straże,
wnet otoczą, w krzyk i wrzask.
Och! te krzyki głosy ludu,
a głos ludu, Boga głos;
przeczuwają, że bez trudu
chce zapewnić dzieci los.
I pilnuje dniem i nocą,
by wyrzucić słabszy ród;
gdyby zdradą lub przemocą
w cudze gniazdo złożyć płód.
Już po lasach pierwszą paszą,
przysłużył się młody wrzos;
wypędzamy trzodkę naszą,
komu co zostawił los.
Idzie krówka suchotnica,
a za nią fanfaron byk;
obu zgniotła motelica,
głodny, smętny słychać ryk.
Tamta wody zagraniczne
ten bezżeństwa chwali los;
idą gromadki nieliczne,
spuściwszy na kwintę nos.
Pełno skórek po oborach
jak w firanki stroją żerdź;
pełno mogił po ugorach,
co je własny kopał skierdź.
Pseudo-badacz, gdy zajedzie
za pół wieku lub sto lat,
to wnet pewno ci dowiedzie
strasznej bitwy wielki ślad.
I znalazłszy goleń byka,
lub pacierza krowy kość;
zaraz wskrzesi nieboszczyka,
i w olbrzyma każe rość.
Stworzy knechtę albo Szweda,
Tatarowi każe być;
głodnym kościom spocząć nieda,
przez pół roku będzie ryć.—
Po ugorach trawki pełno,
macierzanki wonny liść,
czeka gości z ciemną wełną,
co ją tak lubiły gryść.
Ale ze stu ledwo jedna
bez jagnięcia, suchy pień:
łysa, chuda, chroma biedna,
wywlekła się jako cień.
Gdzież cielątka? przyszłych trzodek
jedyny nadziei cień?
Znikły krówki, i przypłodek
razem z niemi zniknął w pień.
Już na łąkach koniczyna
w różowy zabłysła kwiat;
zbiera się dawna drużyna
jeden koń, na dziesięć chat!!

Dawnych towarzyszy niema
poszły dla kruków i wron;
więc teraz tego Olbrzyma
zakładajże w dziesięć bron.
Szyja długa, jak Wielbląda,
a na krzyżu z kości garb;
chcąc to oddać jak wygląda
trzeba pędzla, trzeba farb.
Dawniéj z lekka, dziś niežartem
czuję w sercu wielki ból;
żem się niezrodził Hogartem
dla obrazu naszych pól.
Już czeremcha przebielała
rannym kwieciem pośród drzew,
co słowika okrywała,
tajony—magiczny—śpiew. (cych
Skowroneczków ćma brzęczą-
strzela w Niebo, nakształt rac,
co leniwych albo śpiących
do zwykłych budziła prac.
Ale próżno piosnka dzwoni
niwę kryje gruba darń;
braknie wołów, braknie koni,
na posiewek braknie ziarn.
Rolnik żytnie obszedł pole
skąd ratunek żądał mieć;
i znalazł wymokłą rolę,
zamiast żyta ujrzał—śnieć.
I załamał ręce obie,
i do Nieba posłał wzrok;
i głęboko myśli w sobie,
jak przebędzie przyszły rok?

Magazyny przy skończeniu;
słońce pali jarzyn płod,
Ja dla ulgi w mém cierpieniu
wybierałem się do wód.
O! wyrzekam się méj drogi,
gdy mym bliźnim grozi głód;
woléj zniosę, ból ten nogi,
nie pojadę już do wód.
Woléj udać się pod strzechę,
otrzeć smutną łezkę z rzęs;
Zanieść radę czy pociechę,
lub podzielić—chleba kęs.
Oto wbity niegdyś kołek—
dzisiaj wierzba, kwiat i puch;
ileż dawniéj przy niéj pszczołek
jaki brzęk był, jaki ruch.
O! Wszechmocny! i w téj chwili
przez Twą dobroć, zmniejszasz
inni wszystko potracili, (ból;
mnie się jeden został ul.
A ja z niego, Wielki Boże!
nieszczędząc trudów ni trosk;
wszelkich mych starań dołożę,
bym uzbierał biały wosk.
Zrobię świecę ku Twéj chwale,
padnę złkaniem przed Twój Tron,
jednę na Ołtarz zapalę,
drugą schowam na mój zgon.
I wołać będę ze łzami:
przyjmij serce, łzy i wosk;
racz się zlitować nad nami,
przemień w radość, chmurę trosk.

Alexander z Bratomierza.

JUŻ GO NIE MA!

Powieść.

I.

Było to w wigilję dnia, który w naszém rodzinnem kole, wiele smutku i boleści sprawił, wiele łez i rozpaczy kosztował, wiele serc mocno utrapił; a wszystkich nas przyjaciół i znajomych srodze dotknął przerażającym, lubo uprzednio już zapowiedzianym wypadkiem śmierci Szymona—jednego z młodzieńców, najświetniejsze rokujących na przyszłość nadzieje. Byłem obecny przy jego zgonie;—nikt może z żyjących przytomniéj, z większą godnością i rezygnacją nie rozstał się z życiem jak Szymon.

Doktor silnéj wziętości i znanéj w całém mieście nauki wyrzekł, po długiem uwięzieniu jego na łożu choroby, iż on jutra nie przeżyje. Siedzieliśmy tego wieczora przy otwartém oknie na miasto, z Edwardem bratem Anny, która była narzeczoną Szymona;—i obaj zajęci smutną przepowiednią doktora, w milczeniu poglądaliśmy na niebo, gdzie zmrok pogodnego lata zaczął gdzie niegdzie gwiazdki zapalać.

—Ach! zawołał Edward z boleścią, jedna noc tylko—a jutro! jutro już go nie ujrzym!

Kiedy nieszczęście rzetelne człowieka dotknie, trudno, niepodobna odjąć się cierpieniu—i chłodne uwagi rozumu najczęściéj na nic się w ówczas nie zdadzą; a człowiek w chwilach cierpień moralnych, tak zupełnie sobą nie władnie, że nie ma nawet mocy

wstrzymać nawału myśli, cisnących się do głowy, palących i ziębiących serce.

Głowa moja paliła mię, i serce mnie paliło — i biło się tak silnie w piersiach, że—zdaje się, rozłamie je i poleci tam gdzie on cierpi. Musiały takież same uczucia i Edwarda dręczyć, gdyż— znagła przerywając dumanie, zawołał z wyrazem rozpaczy:

—»Ha! nic nie pomoże—bezsilni, bezsilni jesteśmy! choćbym duszę własną z ciała wyzionął, jego nieocalę!”... I z wysilenia czuł się tak osłabionym, iż mu głowa mimowolnie na pierś spadła.—Jakiś chaos, męt, pył tysiąca różnych myśli, kręcił się wirem w mej głowie—czułem jak mię gorącość paliła.

— Przejdźmy się nieco, rzekłem do Edwarda, w nadziei że cichy, pogodny, majowy wieczór, nas obu nieco rozerwie—a oddech świeżego powietrza ochłodzi moją rozpaloną głowę.

Szliśmy w milczeniu — z uczuciem boleści za umierającym przyjacielem; ale to jedno uczucie jak iskra, zapaliło tysiące smutnych myśli—a wszytkie o Nim, lub po Nim!!

—Biedna twoja Anna! ona tam przy nim.

—»Biedna moja siostra! powtórzył z westchnieniem Edward. Ale stokroć biedniejsza matka Szymona, co traci w nim jedynego, najlepszego syna!”

—A! to okropnie!”

—»O! boleśnie! boleśnie!! powtórzył Edward—i w milczeniu, bez celu postępowaliśmy dalej. Kroki nasze machinalnie stawione, mimowolnie jednak zawiodły nas ku mieszkaniu Szymona; cośmy stojąc już przed bramą, zaledwo spostrzegli.

—»Zajdziemy do nich, rzekł Edward, a kiedy nic lepszego uczynić nie możem, będziemy przynajmniej cierpieć spólnie z niemi.

—Oby nas Bóg wszystkich pocieszył, rzekłem, i weszliśmy w bramę.

Za zbliżeniem się ku pomieszkaniu Szymona, ujrzeliśmy okna zasłonięte, a światło lampy słabo przez ciemną zasłonę przebijające się, okropne jakieś wrażenie, na sercach naszych sprawiło.—Wstępując na schody, kilka razy musieliśmy zatrzymać się, dla nabranie oddechu, którego brakło nam w piersiach. Edward już się trzymał za klamkę, a nie miał siły drzwi otworzyć; i nadstawiał ucha, czy nie posłyszy jakiego znaku dobrej wróżby, jakiego słowa nadziei.

Próżno!—wewnątrz tak cicho, jak w grobie.

W przedpokoju siedział wybladły sługa od ciągłego czuwania.
—»A co Antoni? a panicz?”.... zapytał wchodzący Edward. Antoni w milczeniu pokiwał smutnie głową—i ocierał łzy co mu się w téj chwili potoczyły. Przez kilka minut Edward milczał, nie mogąc ust dla słów otworzyć; bo w sercu czuł boleśne ściskanie, a w oczach łzy pałające.

—»Może lepiéj ma się?” nakoniec z przymusem zapytał.

—»Już ksiądz spowiada Pana Szymona—żadnéj nadziei!”

—»A Pani? a siostra moja?”—

—»Niech Pan wejdzie—obie płaczą i płaczą”...

Ach! kto niewidział smutnego obrazu rodziny, tracącéj ojca—głowę familji, matkę—jedyną sierot podporę, syna—jedyną matki pociechę; kto nie płakał sam po stracie ukochanych osób,—ten nie pojmie, ile podobny widok przerażającą boleścią dotyka, temu niedostateczne będą wszelkie najrzewniejsze opisy. Ale któż z nas może powiedzieć: oto ja, który niepłakałem gorzko żadnéj w życiu straty; oto ja, który nie przebolałem sercem nad nieszczęściem bądź własnem, bądź cudzém! Ani wieś, ani miasto, ani pałac, ani chata, ani mąż, ani niewiasta; słowem—dziecię i dojrzały, ubogi i bogaty, nikt nie jest wolny od ciosów bolesnych, jakie śmierć zadaje całym rodzinom, porywając z ich grona ukochaną osobę. Dla tego, każdy pojmie przerażający widok utrapienia, jakiego, za przybyciem do Szymona, byliśmy świadkami.

W przyległym pokoju, gdzie kapłan poraz ostatni spowiadał Szymona, i duchowną nauką do tamtego świata uspasabiał, siedziała matka jego Pani Narska łzami zalana; u stop jéj klęczała Anna, narzeczona Szymona a siostra Edwarda i głosne łkania tuliła na łonie Pani Narskiéj, swéj matki przybranéj. Przejmujący był widok Anny! Blada i piękna—jak biała róża, opromieniona czarnémi zwojami włosów w niełądzie spadających, zwróciła swoje blade oblicze ku wchodzącemu Edwardowi, i łzawym, pełnym boleści wzrokiem, zdawała się mówić: już go tracimy na zawsze! Edward milczał—tylko dwie łzy bujne zakręciły się w jego oczach.

—»Szymon nasz gotuje się do nieba!” przejąknęła bolejąca matka—i ukazała drzwi pokoju, gdzie się on spowiadał. Edward

i Anna podnieśli oczy ku niebu—i oboje jedném uczuciem natchnieni, myślą posłali zań modlitwę do Boga.

W tém kapłan wezwał do smutnego obrzędu ostatniego pomazania. Matka Szymona, Anna i Edward drgnęli; zbliżyli się słudzy i domownicy łączyć swoje z kapłanem modliwy i błogosławieństwa nad chorym; schyliły się wszystkich kolana ku ziemi, zaszemrały pacierze domowników, zajęczały łkania Anny i głośniejsze ubolewania matki, do których się mieszał spokojny i uroczysty głos modlitwy spowiednika, błogosławiącego po raz ostatni żyjącemu, ku przyszłemu życiu.

Po skończonym świętym obrzędzie i wyjściu kapłana, boleść Anny jego obecnością hamowana, wybuchnęła gwałtownie w rozgłośnych żalach.

—»Anno moja! Siostro droga!” upominał Edward strapiony,—»upamiętaj się, proszę, w żalu twoim. Alboż ty przez to wskrzesisz umierającego!?”

—»O! zawołała Anna, załamując w rospaczy dłonie,—czemuż mnie Bóg nie daje na tę chwilę, na tę jedną chwilę, mocy robienia cudów. Matko moja droga!... tybyś więcéj nie płakała!... jabym tobie wskrzesiła umierającego syna.”—

—»Dziecię moje drogie! Anno moja!... upamiętaj się!... przeciw Bogu...—wołała zatrwożona Pani Narska tak niepomiarkowaną rozpaczą Anny; a padłszy na kolana i podniosłszy ręce ku niebu, zawołała: »Boże! daj nam w téj chwili panować nad boleścią; daj moc i cierpliwość znoszenia tego ciosu wytrwale i bez szemrania przeciw woli twojéj! Boże pociesz nas w utrapieniu!”—Ta uroczysta, pełna boleści i zapału modlitwa, wycisnęła łzy wszystkim obecnym i Annie przywróciła nieco rozwagę, która skłoniwszy pokornie głowę, przeżegnała się; a całując ręce przybranéj matki, rzekła wstrzymując łkania:

—»Dobrze, matko droga! będę cierpieć w milczeniu”—i padłszy na kolana z wzniesionemi w niebo oczyma, w milczeniu się modliła.

Potém wstając nieco uspokojona, rzekła rozważnie:

—»Bóg mię natchnął dobrą myślą; pójdę ku Ostrejbramie, pomodlę się do Najświętszéj Panny”—

Była to myśl prawdziwie z natchnienia Bożego. W chwilach rozpaczy nic nas tak dzielnie nie uspokaja, nic nam tak wiele sił do zniesienia ciężaru nieszczęścia nie dodaje, jak modlitwa.

Anna, mając i serce czułe i charakter do exaltacji skłonny,

przechodziła we wszystkich swych uczuciach zwykłe ludziom granice—i obecne nieszczęście mogłoby dla jéj zdrowia najgorsze skutki sprowadzić, gdyby gruntowna pobożność, wcześnie w jéj sercu zaszczepiona, nie miarkowała zbyt wybujałych uczuć. Lubo tedy rozpacz niezwykła—w téj chwili była wypływem jéj wrodzonéj czułości—nie byłaby się jednak w niéj pomiarkowała, gdyby nie ten zwrót ku Bogu.

Pani Narska znając dobrze charakter Anny dziękowała Bogu w duszy, za to jego natchnienie, które mogło przynieść zbawienną ulgę w zatrważającéj czułości Anny. Pospieszyła tedy poprzeć jéj zamiar i poleciwszy Edwardowi towarzyszyć siostrze ku Ostrej-bramie, sama udała się do chorego syna.

Uroczysty jest widok Ostrejbramy w czasie nabożeństwa, kiedy tłumy modlących się zalegną po obu stronach całą jéj długą ulicę, kiedy klęcząc na bruku, pod odkrytem niebem, pobożni różnego stanu, wieku i płci, na głos dzwonka, jak kłosy od wiatru, chylą przed obrazem Matki Boskiéj pokorne czoła ku ziemi, a serca ku niebu podnoszą.

Wzniosły jest widok Ostrejbramy, kiedy w dzień pogodny czy to ciepłego lata, czy to przy iskrzącéj się białości zimowego śniegu, cały lud jak jeden człowiek, przy dzwięku muzyki, przy brzmieniu uroczystem organów *Ave Maria* na cześć Matki Boskiéj śpiewa; kiedy hymnem »Pod twoję obronę" Matce Boskiéj w opiekę się poleca.

Ale nic niedorównywa świętéj uroczystości Ostrejbramy, w czasie letniego, pogodnego wieczora.—Ta ulica na wpół blaskiem księżyca oświecona i łamiące się między filarami cienie; ten widok jasnego nieba nad nami, blask lampy migający przed obazem Matki Boskiéj, ta cisza nocna—wszystko to uspasabia duszę do niezwykłéj rzewności.—I,—pewno nigdzie może człowiek żarliwiéj się nie modli, jak w Ostrejbramie podczas cichego, letniego wieczora.

Modlitwa Anny, pod wpływem własnego utrapienia, była rzewna i łzawa;— ciche jéj słowa często były przerywane łkaniem— i wtenczas Edward błagał ją tkliwémi wyrazy, aby się miarkowała w żalu. Anna usiłowała przytłumić boleść swoję;—

aż póki, takowém pasowaniem się z sobą zmęczona, nie wpadła w jakąś bezwładność umysłu— i była przez chwilę bez ruchu, jak posąg marmurowy, z wlepionem okiem w oblicze Matki Boskiéj, z wyciągnionemi ku Niéj rękami, zdawała się cudu oczekiwać. I rzeczywiście, jak cudem jakim przy końcu modlitwy, umysł jéj zaczął się powoli uspakajać— ulżyło nieco jéj sercu, i zaczęła się modlić z większą przytomnością i poddaniem się. Nareszcie, jakaś niewiasta przybyła,— a ukląkłszy pod filarem w cieniu, rozpoczynając modlitwę żałośnemi westchnieniami i płaczem, zwróciła jéj uwagę na siebie.

W utrapieniu nie mało boleść naszą umniejsza myśl, że są ludzie również z nami nieszczęśliwi. Anna z kilku wyrazów modlitwy przybyłéj niewiasty, głośniéj wymówionych, opamiętała się, że nie ona sama jedna potrzebuje pociech w modlitwie. Oto także, myśliła, jakaś kobiéta! i ona— jak ja w utrapieniu unika zgiełku i tłumu— nieszczęśliwa!.... Wtenczas mimowolnie przyszło Annie na myśl, że oto ona jedna klęczy na ulicy śród tysiąca ludzi, mieszkających w tém miejscu. Za nią, przed nią, naokoło wszyscy w śnie głębokim spoczywają, nie wiedząc, co się z nimi jutro stanie. Gdzieniegdzie w oknach mieszkań błyskają światła. Może tam matka czuwa nad łożem bolejącego dziecięcia; może tam przyjaciel opłakuje stratę przyjaciela; może tam kto, jak ja....

A oto, nad nią— niebo jasne iskrzy się tysiącem gwiazd; a oto przed nią— miga lampa Matki Boskiéj i pocieszycielki w utrapieniu! I Anna z błagalną modlitwą za cierpiącymi i uciśnionymi padłszy na kolana, ze łzami wzruszenia wołała: «Pod twoję obronę uciekamy się.”

Anna po téj modlitwie, w któréj myślą obejmowała wszystkich nieszczęśliwych bliźnich, czując niezwykłą ulgę w boleściach i więcéj mocy duszy do ich zniesienia, udała się ku domowi. A tam, jakaż ją chwila oczekiwała!... Anno! westchnij jeszcze do Matki Boskiéj, proś ją jeszcze raz o wytrwanie i rezygnację.

—«Moja matko, nie płacz, nie martw się proszę; mówił Szymon, wyciągając skrzepłe ręce ku matce— cóż to pomoże!... ja... ja... już skończyłem swoje; tylko mi żal was, matko moja!— ciebie i Anny.”

Biedna matka, tylko łzami rzęsistszemi i załamaniem rąk od-

powiedziała Szymonowi na te słowa;— i w pokoju chorego znów milczenie, najokropniejsze milczenie, bo matka starała się wydobywające się z piersi jęki przytłumić.

— «Gdzie jest Anna?”— zapytał po chwili Szymon.

— «Anna na modlitwie u Ostrejbramy”— wyjąknęła Pani Narska.

— «Dobrze robi moja Anna, że się modli.... ja tylko modlitwy potrzebuję;.... ale jeszcze chciałbym ją widzieć.... chciałbym ją pożegnać.... raz ostatni;... ach! matko moja, jak mnie słabo!...”

— «Mój Szymonie! zawołała strapiona matka;— i ściskała jego zziębłe ręce, ogrzewała je oddechem, i obsypywała pocałunkami.”

— «Czy Anna nie wróciła?”

— «Jeszcze nie”...

— «Jakże ona długo nieprzychodzi.”

— «Oby Pan Bóg wysłuchał jéj modlitw!”

Chory stawał się coraz widoczniéj niespokojny; oddech jego był częstszy, krótszy, ręce i nogi skrzepłe;— chwile życia jego były policzone. Za najmniejszym szmerem zwracał oczy ku drzwiom— i pytał czy to nie Anna idzie?

Wkrótce ona cicho, ostróżnie weszła; a za nią Edward. Chciała zapytać o Szymona;— ale skoro okiem nań rzuciła: jego rysy twarzy już grobowéj bladości, jego oczu przygasajace życie, dały jéj poznać, że to są już ostatnie chwile. Cała moc duszy jéj znikła; zatuliła chustką oczy i rzuciła się z płaczem w objęcia Pani Narskiéj.

Na widok Anny zdawało się, że twarz Szymona nieco się ożywiła.

— «Dobrze żeś przyszła w porę.... moja Anno! przemówił z cicha. Daj mi proszę rękę twoją... ręka, która miała być moją na całe życie— niechże ona będzie przy mnie.... w ostatniéj chwili.”

Anna w rozpaczy podała mu rękę, którą on zimnemi usty pokilkakrotnie ucałował. Potém rzekł z wysileniem:

— «Posłuchaj mnie Anno.... po co rozpaczać!... prawda, może ciebie kochać nikt tyle nie będzie.... ile ja ciebie kochałem... stracisz wiele we mnie, ale więcéj ci jeszcze zostaje. Moja Anno, na świecie jest wielu ludzi dobrych, lepszych ode mnie.... godnych twojéj miłości i szacunku. Oto brat twój, którego martwisz podwójnie w téj chwili.... matka moja, co i twoją być

miała— ileż cierpią za mnie... i za ciebie. Ja umrę.... pamiętaj moja droga, że ty żyć będziesz— i oni żyć będą— na cóż sami sobie przykrości przyczyniać macie”....

Tu głośne łkania obecnych przerwały mówiącemu, który zdawał się niezwykłém uczuciem ożywiać się i mówił jak w natchnieniu. Jego ton uroczysty, na łożu boleści, sprawiał nadzwyczajne wrażenie na obecnych, którym się zdawało, iż słyszą głos zagrobnego objawienia. Po chwili przerwy znowu się zwrócił ku Annie:

— «Prawda, miłość ziemskiego kochanka.... dla serca kochającéj dziewicy,.... jest może najpiękniejszym z kwiatów życia; ale czyż jest rozumnie,— że gdy robak wonną różę podtoczył,.... zapomnieć, że w sadzie są jeszcze inne kwiaty, również starania potrzebujące. Anno moja!... ziemia jest tak piękna, tak zielona.... a człowiek jeden, co z niéj zchodzi, nic z sobą nie zabiera.... nic z jéj piękności nie ujmie....

— «Szymonie! Szymonie mój!” zawołała Anna w rozpaczy.

— «Człowiek u grobu stojąc, mówił znowu po chwili, mocno czuje jak jest ważne ziemskie jego życie.... z którego na tamtym świecie będzie musiał zdać rachunek przed Stwórcą. Ja dla was umiéram... ale wam zostaje cały świat bliźnich. Jeżeli choć na jedną chwilę dla mnie zapomnicie o tém, iż są tysiące nieszczęśliwych w około was żyjących... którym wy dobrze robić możecie w każdéj chwili; jeżeli, powiadam, żal wasz po mnie, choć na chwilę przeszkodzi wypełniać wasze obowiązki, zobojętni waszę miłość ku bliźniemu— powiadam wam teraz.... na łożu śmierci.... iż wolałbym abyście nic z tego we mnie nie widzieli, co za życia uwielbienia godnem znajdywaliście.....

Anno moja! jeżeli byłem dla ciebie kiedy czémkolwiek.... jeżeli kiedy uprzyjemniłem ci kilka chwil życia,... jeżeli kiedy przyznawałaś mnie dobroć, szlachetność.... jeżeli oceniałaś niekiedy moję miłość bliźniego.... jeżeli kiedy w sercu twojém chlubiłaś się z miłości młodzieńca pełnego wzniosłych uczuć, szlachetności i zapału.... zapomnij o tém wszystkiém!... Niechaj w tobie pamięć exaltowanego marzyciela nie zmniejsza przywiązania do ludzi;— niechciéj na miarę cnot jednego człowieka porównywać wszystkich— abyś nie uczuła ku nim pogardy. Kochaj bliźnich takimi, jakiemi ich Pan Bóg stworzył; albowiem prawy człowiek kocha ich nie dla tego, i nie wtedy tylko,— że— i kiedy oni są dobrzy; ale dla tego, aby ich lepszymi sam uczynił, i do

godności człowieczéj swoją miłością ich podniosł.... Matko moja! Anno moja! nie płaczcie — bo ja co schodzę z tego świata nie jestem do pożałowania; już waszych starań więcéj potrzebować nie będę,.... a za te coście, matko moja, mnie.... przez całe życie udzielali, serdecznie ci dziękuję;... ale zostawiam dla was tysiące cierpiących, nieszczęśliwych moich i waszych bliźnich— na nichto niech wasza czułość i troskliwość się zwróci. Anno! jeżeli będziesz mogła ... szukaj godnego siebie kochanka; ale niechaj to nigdy z twojéj pamięci nie wyjdzie, co piérwszy twojéj miłości kochanek.... na łożu śmiertelném tobie powiada: że miłość bliźniego jest bliższą nieba, niżeli miłość kochanka!.... Matko moja! bądź zdrowa!.... Oto twoja córka.... Edwardzie i ciebie przyjacielu żegnam.......

— «Szymonie! Szymonie nasz!" zawołały zewsząd w niebogłosy. Ale oto— JUŻ GO NIÉMA!!

Takich to uczuć i myśli były ostatnie chwile, tego najpiękniejszych nadziei młodzieńca; również i całe krótkie życie jego, bo ledwo 28 lat liczące, było jedném pasmem najszlachetniejszych usiłowań i czynów. Szymon w piérwszych latach dziecińswa nie rokował po sobie nic nadzwyczajnego; jednakże bardzo młodym będąc, bo zaledwo w 12-tym roku życia, już nauki wysoko umiał cenić i wartość czasu pojmował, a gdy inni spółrówiennicy jego na zabawach czas trawili, on z książką w ręku rozwijał w sobie budzący się zapał do nauk, albo karmił w cichości duszę celniejszemi utworami Poetów naszych. W szkołach początkowie, nie tak nadzwyczajnemi zdolnościami, jak bardziéj niezwykłą pilnością wszystkich zadziwiał. Dla tego zdolniejszych spółzawodników prześcignął i zawsze przed innymi piérwszeństwo otrzymał.

W jego piérwszéj młodości znać już było w nim wielkiéj szlachetności i energji charakter. Łagodny z przyrodzenia, łatwo się niezmiernie zapałem przejmował,— i wtenczas tracił zwykłą powolność; oczy jego jaśniały niepospolitym blaskiem, usta stawały się wymówne, a głos jego od wzruszenia nieco drżący, dziwnie był przyjemny. W obejściu się był nieco poważny, lecz ujmujący. Łatwo dawał się nakłaniać najmniejszą względnością, lub prośbą; a zaś przymus, lub niesprawiedliwość—

doprowadzały go do niesłychanego uporu. Już wtedy można było sądzić, że to będzie jeden z tych kamiennych i stałych charakterów, co tylko własném przekonaniem, albo dobrowolnie przyjętem— dają się powodować.

Skoro wyrosł na młodzieńca, takiż sam charakter stale objawiał. Łagodny, czuły, szlachetny— niepospolitą energję w wykonywaniu wszelkich przedsięwzięć okazywał.

Był wzrostu średniego; miał skład ciała dorodny, delikatny— lecz czerstwy; była to jedna z tych organizacji wybornych, gdzie w najpiękniejszéj harmonji temperament krwisty z nerwowym się jednoczy. Jego czoło szerokie i otwarte, twarz blada, rysy twarzy kształtne i pociągające, oczy czarne pełne blasku, słodyczy i przenikliwości— wyrażały wzniosłe uczucia, tak pięknie znamionujące jego charakter.

Jak dalece cenił i miłował wszystko, co było prawdziwe piękne, lub szlachetne,— tak dalece nienawidział i jawną wzgardę okazywał dla fałszu, podłości, podstępu, lub nikczemności. To nieraz narażało jego szlachetną prawość na wiele nieprzyjemności, jego otwartość nieraz mu drogo kosztowała. Ale nie zważając na nic, nie szczędząc żadnych ofiar i poświęceń z siebie, szedł obraną raz rozmyślnie drogą, kędy go prawość, zapał, lub czułość wiodły.

Oto własne jego słowa z dziennika jego wyjęte, który w rozmaitych okolicznościach życia pisany, wielostronnie tę piękną duszę daje poznać. Dla tego tutaj kilka wyjątków, wybitnie malujących jego sposób myślenia lub czucia, przytaczamy:

«Jakże dalekim jest w każdym stanie człowiek od tego, co pospolicie szczęściem nazywają na świecie. Mienie, byt niezależny i dobry, spokojność i t. p. wszystko to człowieka nie wyłącza od trosk i kłopotów tysiąca, które różnym sposobem nas dręczą. Dopóki człowiek musi żyć z innymi ludźmi, noszącymi w sobie różne skłonności, złe i dobre,— z których te ostatnie jakże są rzadkie!— dopóty będzie walczył z nałogami, przesądami, zapalczywością, chytrością, podłością i egoizmem innych ludzi, jeżeli czuje w sobie zarody wyższych i szlachetniejszych od gminu popędów. I biada mu, gdy w wypełnieniu obowiązków jakie nań rozum, serce i towarzystwo wkładają, da się powodować mniemaniami ślepo sądzącego gminu, albo do ich sądów przywiązuje zbyt wiele obowiązującéj dlań powagi.

Człowiek prawy, co czuje swoję godność, i szlachetność swoich zamiarów rozumie,— w dopełnianiu swoich obowiązków, nie ogląda się na to, co ludzie o tém mówić będą, ale je wykonywa z własnéj pobudki, sam siebie rozumiejąc. Bo w tym świecie pełnym egoizmu i samolubstwa, rzadki się znajdzie, coby umiał czyn szlachetny dopatrzyć, a jeszcze rzadziéj coby go umiał bezstronnie ocenić i poznać się na nim. Wszyscy mierzym innych ludzi na miarę własnych wad i zalet; a że się drugie rzadko spotykają, skłonniejsi jesteśmy do nagan— bo nam błędy bliźnich częściéj biją w oczy. Dla tego człowiek prawy, co sam siebie i zamiary swoje rozumie, niechętnie je powierza innym ludziom. On wie z doświadczenia, że opowiadanie pięknych czynów, nieprzypadających do miary słuchaczów, wywabia nie raz na ich usta niedowierzający, a nawet pogardliwy uśmiech. Woli więc pracować sam w sobie, nad dziełem własnego i drugich udoskonalenia, nie powierzając się nikomu, niesłuchając nawet opinji ogólnéj. Często musi postępować ku wzniosłym celom, kłócąc się i walcząc z ludźmi.

O! jakiejże to potrzeba wytrwałości, jakiéj mocy duszy, aby człowiek prawy utrzymać się potrafił na drodze ku wzniosłym celom! Ileż to walk wycierpieć musi! ileż to szyderstw ponieść od niedowiarków w najwyższą wzniosłość,— którym się niepodobném być zdaje, aby człowiek jaki mógł zaprzeć się samego siebie, mógł wyrzec się egoizmu na korzyść i pożytek innych ludzi; od odszczepieńców prawości i cnoty,— którzy za utopję chcą mieć niezachwianą moc duszy i wytrwałość w upadku prawego; od błaznów tego świata,— którym się zdaje, iż człowiek stworzony na to tylko, aby jadł, pił, drugich śmieszył i sam jak najwięcéj śmiał się!”......

Z epoki młodości Szymona, zostało wiele pismiennych pamiątek prozą i wierszem; szczególniéj te ostatnie odznaczają się głęboką czułością i mocą. Co do jego prozy, mogliśmy piękność jéj z powyższego wyjątku ocenić....

Jego spostrzeżenia i uwagi nad życiem towarzyskiém, dowodzą niepospolitéj zdolności zgłębiania serc ludzkich. Między témi jest wiele zdań tém trafniejszych, iż własném jego doświadczeniem są nabyte. Oto kilka:

«Szukaj towarzystwa równego sobie stanem, wiekiem i upodobaniem, jeżeli chcesz wesoło się bawić. Z niestosownie do-

branego towarzystwa, rzadko co wyniesiesz innego, jak niesmak i nieukontentowanie.”.......

«W towarzystwie, jak mówią, *wielkiego świata*, albo umiej się zastosować do wszystkich jego zwyczajów, wymagań i głupstw, albo musisz się poddać szyderstwu i poniżeniu. W piérwszym razie zostajesz głupim w oczach prawdziwéj mądrości; w drugim— jesteś miany za głupiego w oczach głupich.”..

«Nie troszcz się wiele o zjednanie sobie łaski, albo względów bogatych; ale staraj się ich szacunek pozyskać— bo ten daleko trwalszy od ich łask. Zobowiązuj zaś do kochania cię biédnych,— bo ich przywiązanie szczére, i nie tak zmienne. I we wszystkich wypadkach życia, ile na miłości uboższych, tyle na szacunku bogatszych od siebie polegaj,— a bardzo rzadko się zawiedziesz.”

«Zastanawiałem się nieraz nad tym faktem życia ludzkiego: dla czego między ludźmi w potoczném życiu, zło tak jest rozgłośne, a dobro tak cicho przemijające,— że tysiące dobrych przykładów, tysiące cnot domowego pożycia, na które się codziennie zapatrujem, tysiące wielkich ludzi w kole swojéj familji, o których się codziennie ocieramy, nie dziwią nas, nie zwracają nawet bynajmniéj naszéj uwagi. I nie jedna, najszczytniejsza cnota, i nie jeden dobroczyńca ludzkości zchodzi z tego świata, niepoznany, niedostrzeżony nawet. Czy to dla tego jedynie, że dobroczynność jego otoczyła się obrębem swojéj wioski, że cnoty jego kwitły w zaciszy domowéj? Przecież i na to patrzają ludzie— ludzie czują jego dobrodziejstwa. Czemuż, choć dla przykładu nie wskazują go sobie, mówiąc: Oto człowiek!?— Czemu ludzie jemu czołem nie biją, wołając: oto idzie dobroczyńca swoich poddanych; oto ten uszczęśliwia swoją familję; oto dobry ojciec! oto dobra żona! oto dobre dzieci!— Nie— nie masz tego między ludźmi.— Rzadki co umie cnotliwego pochwa-

lić; rzadszy jeszcze ten, co umie cnoty w bliźnim dopatrzyć i ocenić. Niechże zdarzy się między ludźmi jakiś pozor występku, niech jakaś pozorna nieprzyzwoitość moralna popełnioną będzie— nie ostoi się to w ukryciu. Zło bijąc w oczy ludziom, zwraca ich uwagę na siebie bardziéj niż najszlachetniejszy czyn w życiu; i jest śród społeczeństwa cierniem w odzieży ukrytym,— tak ludzkość kole, niepokoi. Ludzie nań stokroć więcéj ukazują palcami, z ust do ust podają; od chat do domów, od domów do pałaców, ode wsi do miasta,— wszędzie o występku głośna wieść szerzy się; wszędzie o nim mówią,— a mówią ze zgrozą, z oburzeniem się, z uczuciem obrażonéj ludzkości, jak o żadnym najwznioślejszym czynie ludzkości nie mówią.

Czémże się to dzieje? Oto,— że cnota i prawość, jako wrodzone duszy ludzkiéj przymioty, nie wzbudzają tyle podziwu w umyśle, jak występek, który jest przymiotem nie ludzkim. Ludzie widząc spełnianą cnotę, czują, iż tak być powinno, i dla tego bynajmniéj się jéj nie dziwią, nie tyle ją uwielbiają, ile wzgardy, ile oburzenia dla występku i podłości okazują!”.....

Ale jakże często ludzie unoszą się pozorem! jakże często niewinność zabijają fałszem, obmową, złośliwém oszczerstwem! a wtedy jakże się podłymi muszą wydawać ci ludzie we własnych oczach, przed własném sumieniem, gdy prawda wychodzi na wierzch, i okazuje się niewinność oszkalowanego?! Węże zjadliwéj zgryzoty powinnyby stoczyć ich własne sumienie, gdyby u takich ludzi było jakie sumienie”....

O! kto tak pięknie umiał cnotę czuć i pojmować— ten nie jest pospolitym człowiekiem! Cześć tobie szlachetny przyjacielu ludzkości, coś własne twe zdania czynami popierał. Niech te kilka słów pamięci Twojéj poświęconych, będą tłumaczem uczczenia, jakie wzbudzałeś w sercach bliżéj ciebie znających!!

January Filipowicz.

OD REDAKCJI.

Widzą tedy łaskawi Prenumeratorowie, że robiono co było można dla podniesienia wartości książki. Nie można więc zaprzeczyć, że usiłowania Redakcji są na drodze postępu. Książka wydana w Wilnie, nie tylko że nie ustępuje edycji Petersburskiej, ale ją przewyższa pod względem elegancji i poprawności, co czyni prawdziwy zaszczyt typografji pod firmą Józefa Zawadzkiego.

Co do jéj wewnętrznéj wartości, kołataliśmy z pokorą ducha do serc tych wszystkich, których nie mogliśmy podejrzywać o obojętność na podtrzymanie *honoru* jedynego, w kształcie Noworocznika, zbiorowego pisma w Wilnie;— jeżeli przeto Publiczność nie ujrzy w tym zbiorze imion, którychby mogła spodziewać się z miejscowości wileńskiéj, to niech raczy obwiniać nie opieszałość Redakcji, ale raczéj duch wygórowanego przekonania o sobie, który im nie pozwolił przyjąć udziału w tym *Groszu Wdowim* na ofiarniku pismiennictwa krajowego. Samo z siebie się objaśnia, iż nierozumiemy tu tych pisarzy, których poważne naukowe prace, obszerniejszego zakresu czynią niemożném udzielanie wyjątków do pism zbiorowych na małą skalę.

Co się zaś dotycze litografji Wileńskiéj, to bardzo zawiedliśmy się na niéj, więc na nią niech spada odpowiedzialność przed Publicznością, bo już nam czas niepozwala zastąpić ją inną.

20 Grudnia.

Ign. Danilowicza, przez *Romualda Podbereskiego*;— Wiadomość o życiu, pismach i pracach Archeologa Adama Czarnockiego, znanego pod imieniem *Zorjana Dołęgi Chodakowskiego*, czerpaná ze źródeł dotąd nieznanych, przez *Rom. Podbereskiego*;— Wędrówki w niedalekie okolice, przez *M. Czajkowskiego*;— Wspomnienie o Marcinie Ciepliński, znanym w literaturze pod pseudonymem *Marcina Ossorji*, przez *Rom. Podbereskiego*;—Wyjątki z podróży po Wołdze, przez *tegoż*;—Kaleidoskop życia *Faustyna Wszędobylskiego*, przez niegoż samego opisany, i t. d. i t. d.

Poezje.

P. Ant. Edw. Odyńca, P. Władysława Syrokomli (*Pseudonym*), P. Aleksandra Grozy. P. Leona Janiszewskiego, tudzież przekład całkowitego Poematu Puszkina: *Graf Łoś.* Tyle tylko.

Wychodzić będzie poszytami, formatu *Rocz. Liter.* 8vo *majori*, drukiem scisłym (*kompaktnym*), od 6 do 7 arkuszy, mieszczących w sobie treść dwóch tomów, zwykle wydawanych u nas pism zbiorowych, na pięknym welinowym papierze, z dodaniem winiet i stosownych drukarskich ozdób.

Cena każdego Poszytu r. sr. 1.

(*bez przesyłki*).

Można też prenumerować *półrocznie*, t. j. za *trzy* poszyty r. sr. 3 z *przesyłką*.

A ktoby zaszczycił wydawcę ufnością i zgóry zaprenumerował na wszystkie 6 poszytów, otrzyma za 6 r. sr. exemplarze w angielskiej oprawie, razem z przesyłką.

Prospekt ogłoszony zostanie zaraz po wyjściu Poszytu I-go z druku.

Znana akuratność Księgarni P. Zawadzkiego zaręcza za regularność dochodzenia książek do rąk Prenumeratorów, w czasie jak najprędszym po wyjściu z pod prassy.

Wzywają się do uczęstnictwa wszyscy, dla których miłym jest postęp i rozwój pismiennictwa krajowego. Prace swoje raczą przysyłać wprost na imie głównego Redaktora; każdy korrespondent w swoim czasie odbierze dostateczną odpowiedź.

NB. Utwory i prace ważniejsze i stosowniejsze dla *Pamiętnika*, na żądanie, będą wynagradzane *pieniędzmi*, książkami lub innym sposobem, jaki sami Korrespondenci wskazać raczą.

Adress: *Romualdowi Podbereskiemu, w Redakcji Pamiętnika, przeciw Botanicznego Ogrodu, w domie Dra Czarnowskiego, w Wilnie.*

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI,

pod Redakcją

Romualda Podbereskiego.

PISMO ZBIOROWE,

ozdobione portretami znakomitszych spółczesnych Pisarzy, Poetów Uczonych, Artystów, ludzi krajowi zasłużonyrh i t. d.

Mające się wydawać, jak wszelkie zbiorowe pismo, bez zakreślenia terminu; w przeciągu roku wyjdzie zeszytów sześć.

Ot jest spis treści tomu I go, oraz materjałów do następnych tomów, z których czytelnicy niech sądzą o dążności i barwie tego pisma, o zamiarach i chęciach wydawcy.

Proza.

Rzut oka na Dzieje W. X. Litewskiego, przez *Zegotę Olizarowicza*, z wiadomością o życiu Autora i jego pracach;— Rys historji pierwiastkowych lasów Litwy, Białowieskiej puszczy, i znaczenia łowów na Litwie do XVI wieku, przez *P. Dalmatowa*;— O stopniu narodowości Królów polskich, przez Autora *Pamiątek Soplicy*;— O Kalendarzach przedstoletnich, przez Autora *Obrazów Litewskich*;— Obrazy i myśli z podróży do Tyflisu, przez *Leona Janiszewskiego*;— O wpływie dróg żelaznych i pary na ruch, postęp i zbliżenie krajów i narodów podług najnowszych dzieł zagranicznych, przez *Romualda Podbereskiego*;— Wiadomość o uczonych pracach i szczegółach życia Jarosława Linowskiego, zamordowanego przez własnego służącego w roku 1846 na Moskwie; zebrane przez *Romualda Podbereskiego*;— Wiadomość o życiu i uczonych pracach Karola Muyschela; Dra Med. i Chirurgji, przez *Romualda Podbereskiego*;— Pierwotne źródła kształcenia umysłu i serca, przez wydawcę pisma *Lud i Czas*.— O znaczeniu Kobiety w Ameryce północnéj, wyciąg z wielu dzieł zagranicznych, przez *Romualda Podbereskiego*;— Legenda o Złotej Bramie Kijowskiej, przez *Mich. Gr.*;— O nazwaniu Rusi, rozprawka przez *tegoż*;— Wiadomość o życiu Marji Szymanowskiej, przez *Rom. Podbereskiego*;— Wrażenia z podróży do Finlandji, odbytej przez *Romualda Podbereskiego*;— Powiastki z rękopismów *Hr. z Mniszchów Potockiéj*;— Wiadomość o życiu i uczonych pracach